This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Gift of

Henry Lanz Mem. Book Fund

STANFORD
UNIVERSITY
LIBRARIES

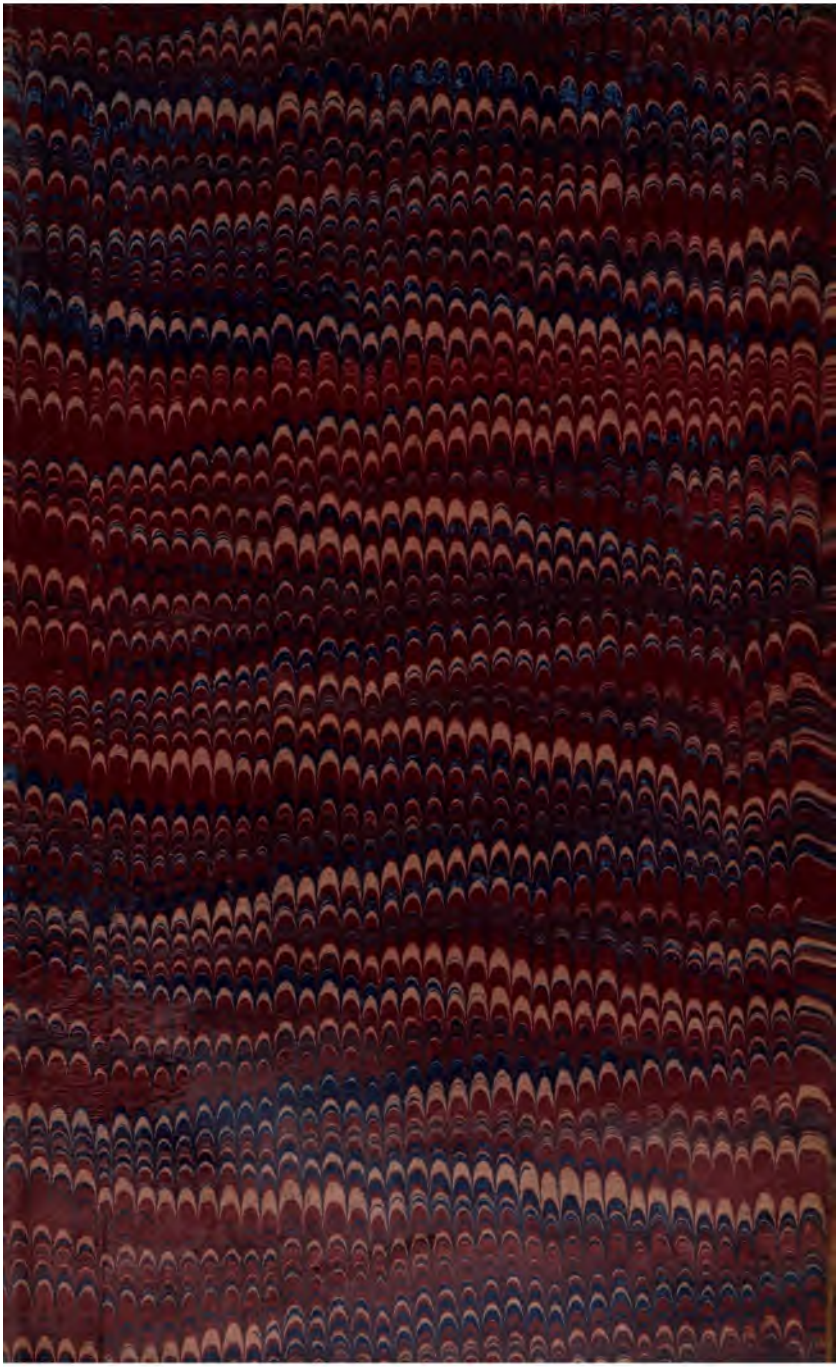

1230741

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM PIERWSZY.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

	złr.	ct.
Dr. Antoni J. Trzy opowiadania historyczne, 1 tom	2	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom . . . . . 1) Pod Półksiężycem. 2) Książe Sarmacji. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknej kobiety. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	3	—
— Nowe opowiadania historyczne, ... 1) Pod krzyżem, 2) Losy kresowego miasteczka. 3) Wartabiet. 4) Zemsta kozacza. 5) Porwanie króla. 6) Niedoszłe legiony.	3	—
— Gawędy z przeszłości 2 tomy	5	60
Biblioteka polska: Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct.. . . . . w oprawie . . . . . I.—II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową S. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III.—VI. **Mickiewicz, Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne, przez dzieci autora dokonane 4 tomy. VII.—X. **Zaleski, B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne przejrzane przez Dra. Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz, J.** Jan z Tęczyna, Powieść historyczna. XIII.—XVI. **Słowacki** Juliusz. Dzieła. Wyd. przej. przez Prof. dr. A. Małeckiego. XVII.—XVIII. **E...ly,** (Asnyk Adam) Poezje, 3 tomy. XX.—XXII. **Małecki, A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętnik.— XXIV. XXV. **Mickiewicz.** Dzieła. V. VI.	2	30
Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2	40
— Pamiętnik panicza. — Dziennik Serafiny	2	40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2	40
Chłędowski, K. Sylwetki społeczne	2	40
Jeż, J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2	40
Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z pozostałych papierów po ś. p. K. K. generał sztabs-lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski. 2. tomy	4	20
Kantecki K. Elżbieta trzecia żona Jagiełły	1	20
— Z podróży Oświęcima	1	80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tomy . .	3	60
Kubala, L. Dr. Szkice historyczne. Dwie serye każda . . .	3	40
Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy z rycinami w tekście	6	—
Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki . . .	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego	2	80
Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848 2 tomy	5	—
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom III. Wydanie nakł. Akad. Umiejęt., opracowane przez lwowskie grono człon, komisji histor. tejże Akademji . .	12	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu. . . .	2	20
Pamiętnik damy polskiej z XVIII wieku	1	60
Stadnicki, K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy.	2	40
Wilkońska P. Na teraz. Powieść.	2	40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiéj i na Syberyi	2	60
Zakrzewski, W. Powstanie i wzrost reformacji w Polsce . .	2	40
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	20

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STOSUNKU DO WSPÓŁCZESNEJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM PIERWSZY.

Drugie, poprawne i pomnożone wydanie.

LWÓW.
Nakładem księgarni
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

ŻUPAŃSKI & HEUMANN
KSIĘGARNIA
W KRAKOWIE.

PG 7158
S62M355
1881
v.1

Z drukarni „Gaz. narod." J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

PRZEDMOWA.

Oddawałem dzieło niniejsze, w pierwszém jego wydaniu, do rąk publiczności z obawą, żeby czy to zbytnia jego obszerność, czy też wypowiadane bez ogródki zdania co do pisarza, z pewném bałwochwalstwem uwielbianego z jednéj strony, z drugiéj zawsze traktowanego z uprzedzeniem i przesadną niechęcią, nie stały się powodem surowéj stąd i zowąd nagany. Przewidywania te nie zostały stwierdzone skutkiem; owszem miała ta książka powodzenie — nad zasługę. Dla tego też puszczam ją w świat i teraz głównéj rzeczy w niéj nie zmieniwszy, a tylko co do dat poszczególnych starałem się osnowę poprzedniego wydania w miarę materyałów, jakimi obecnie rozporządzałem, tu i owdzie uzupełnić albo sprostować.

Materyałami, o jakich tutaj wspominam, były mi listy, które od znajomych i przyjaciół Juliusza po wyjściu już dzieła tego i z jego właśnie powodu otrzymywałem z szczegółami poprzednio nieznanymi. Szczególnie ważne były pomiędzy nimi notatki i objaśnienia, jakich dostarczył w kilku listach do mnie pisanych ś. p.

Eustachy Januszkiewicz, dokładnie obeznany ze wszystkiém, co się działo w emigracyi, szczególnie w kołach literackich. Drugiém takiém nader ważném źródłem był świeżo odszukany, własnoręczny Pamiętnik Słowackiego, o którego osnowie, a nawet istnieniu nic zgoła przedtém nie było wiadomo. Pamiętnik ten był pisany w dwóch pierwszych latach pobytu Słowackiego za granicą, t. j. w roku 1831 i 1832. Obejmował całe dzieje młodości poety, lata szkolne, uniwersyteckie, i co po nich nastąpiło aż do chwili, gdzie te zwierzenia już autor pisał — po czém zamiast Pamiętnika był prowadzony już Dziennik, zapełniony zdarzeniami bieżącymi z roku 1832, opowiadanymi pod ich bezpośredniém wrażeniem.

Wielce ubolewać należy, że ta praca Słowackiego doszła czasów naszych w skąpych tylko urywkach. Kto ją odszukał, skąd jéj dostał — powiedzieć nie umiem. Wszystko, co się tylko znalazło, mamy oddrukowane w krakowskim Przeglądzie Polskim z roku 1879 (w zeszycie za miesiąc lipiec). Otrzymała redakcya Przeglądu te szczątki od pana Wacława Gasztowta w Paryżu, a ten je zawdzięcza panu Hieronimowi Żychoniowi, który mu ich do ogłoszenia udzielił; jak zaś pan Żychoń do nich przyszedł? nie powiedziano. Tyle tylko będzie pewném, że ten rękopis autentyczny, jakkolwiek do tak rychłych lat w życiu poety odnosi się, wyjść musiał z jego papierów albo przed samą jego dopiero śmiercią albo też nawet po jego już zgonie. Obejmował on bowiem w sobie oprócz tych pamiętnikowych fragmentów także i brulion pierwszego rapsodu Króla-Ducha, zatém dzieła będącego ostatnim jego utworem i drukowanego pod sam już koniec życia Juliusza.

Urywków odrębnych jest w téj ocalonéj pozostałości w ogóle cztery. Pierwszy urywek jest zatytułowany jako „rozdział czwarty“ (trzech pierwszych rozdziałów nie ma). Był on pisany w Dreźnie, dnia 17 lipca roku 1831, a zawiera w sobie wspomnienia z pierwszego roku po przeniesieniu się ponownem matki poety do Wilna, t. j. z roku 1817. Potém następuje próżnia aż do „rozdziału dziesiątego“. Ten rozdział powstał już w Paryżu, był pisany dnia 20 lipca roku 1832, a opowiada o rzeczach z roku 1827. Jedenastego i dwunastego rozdziału znowu nie ma. Znalazł się dopiero „rozdział trzynasty“, opowiadający dzieje z końca roku 1827 i 1828: to było pisane dnia 22 lipca 1832. (Te daty co do postępu Pamiętników dają nam widzieć, jak szybko szła ta robota: w dniu 20 lipca rozdział dziesiąty, w 22 tegoż miesiąca już rozdział trzynasty — zatém na czas między tymi dniami pośredni, t. j. na dzień 21 lipca, przypada jedenasty i dwunasty rozdział!) Z trzynastym rozdziałem styka się bezpośrednio „czternasty“, z wspomnieniami roku 1828 i początku 1829; data nad tym — nb. niedokończonym — rozdziałem: „Paryż, 24 lipca 1832“. — Dalszego ciągu Pamiętnika nie mamy! Musiał on jednak być prowadzony co najmniéj aż do roku 1832, w którym zaczęły być notowane zajścia współczesne, bieżące, w postaci już Dziennika.

Z tego Dziennika zostało kilka tylko kartek, pisanych dnia 20, 21, 22, 23, 24 i 25 lipca roku 1832. Szczegóły tu opowiadane jednakże są już albo pomniejszéj ważności albo też powtórzył je nasz autor w listach swoich do matki z owego czasu: tak naprzykład odwiedziny chorego przyjaciela swego Zien-

kowicza w Wersalu, o których pisał obszernie i prawie tymi samymi słowami w liście z dnia 30 lipca tegoż roku. To upoważnia do wniosku, że w znacznéj mierze mamy pewnie w korespondencyi Juliusza i gdzieindziéj pewien reflex jego zapisków w tym Dzienniku zawartych.

Pisałem dnia 13 czerwca, 1880 roku.

Autor.

PRZEDMOWA

DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Oddając do rąk publiczności tę książkę o Juliuszu Słowackim, uważam za potrzebne wytłómaczyć się, skąd mi przyszło na myśl pisać tak obszernie o człowieku, który w społeczeństwie zajmował tylko skromne stanowisko pisarza, a którego dziełom przy całéj ich genialności sam nieraz niedostatki wytykam. Że mnie z téj strony będzie zaczepiała krytyka, o tém wcale nie wątpię. Niechże przynajmniéj — jeżeli nie rozbroi, to bodaj złagodzi surowość jéj zarzutów szczere i otwarte opowiedzenie, jak ta praca moja powstała i w jakim celu była podjęta. Dała mi do niéj główny powód oddana do rąk moich w odpisie korespondencya Słowackiego, prowadzona z różnymi osobami: z Zygmuntem Krasińskim, z Teofilem Januszewskim, wujem poety, z Kornelim Stattlerem, znakomitym niegdyś profesorem malarstwa w Krakowie, a przedewszystkiém z matką. Do matki swojéj pisywał poeta nasz w stałych i częstych odstępach i zwykł jej był przez cały czas życia swego na emigracyi szczegółowo

zdawać sprawę ze wszystkiego, z czego się tylko życie jego splatało. Rozczytując ten nader znaczny zbiór listów (jest ich tyle, że zapełniłyby dwa spore tomy), nie mogłem się oprzéć w pierwszéj chwili urokowi, jaki wywiera to rzeczywiście bezprzykładne bogactwo wyobraźni, strumieniami rozlanéj w owych potocznych i poufnych rozmowach nieznanego zupełnie dotychczas z téj strony wieszcza; i porwany myślą, że to prawdziwy pamiętnik wewnętrznego życia poety, że to istna fotografia najskrytszych poruszeń serca — zamierzałem nakłonić koniecznie krewnych jego do bezzwłocznego ogłoszenia téj całéj korespondencyi. Dalsze czytanie jednakże dało mi uczuć niebawem niestósowność tego żądania. Nie tylko bowiem czas obecny zdaje się być cokolwiek jeszcze za rychłym, żeby wszystko, co się w niéj mieści, bezwarunkowo można było drukować; ale i tego nie mogę zataić, że kiedy się odczytuje zbiór listów cały w jednym ciągu jeden po drugim, doznawać się zaczyna z czasem przy tak wielkiéj ich obfitości — znużenia. Ostatecznie bowiem każdy list jest tylko listem, choćby go pisał i genialny poeta! Doniesienia o bieżących potocznościach życia, o zdrowiu, kłopotach, powodzeniu itp. zajmują tu zawsze miejsce sobie właściwe; a nawet i najpoetyczniejsze ustępy nie mogą się nie powtarzać w podobnym ciągle sposobie. W skutek czego czytający te wynurzenia poufne traci coraz bardziéj zmysł dla rzeczy prawdziwie niepospolitych, ginących w tym nawale powszednich konwencyjności.

Nie uważając zatém jak na teraz za pożądane, żeby korespondencya ta była drukowana w całości, a nie mogąc z drugiéj strony i tego z przekonaniem swojém pogodzić, żeby pojedyncze z listów urywki, wyjęte na chybi trafi ze związku, było właściwém dawać do

rąk publiczności w sposób, jak to uczyniono naprzykład z listami Krasińskiego lat temu kilka: wziąłem sobie za zadanie zużytkować ten materyał inaczéj. Postanowiłem z osnowy listów rozwinąć wątek autentyczny życia Słowackiego tak mało komu znanego dotąd dokładniéj; a zapomocą lepiéj rozwidnionego poglądu na koleje tegoż życia, rzucić też nieco światła i na jego dzieła. I oto w taki to sposób powstała książka niniejsza, poświęcona zarazem i biografii poety i krytycznemu rozbiorowi pism jego, w odniesieniu do całego ogółu ówczesnych usiłowań w literaturze naszéj, stanowiących jakby tło dla wyłącznego uwag moich przedmiotu. Przyznaję otwarcie, że kiedym się zabierał do téj roboty, nie wystawiałem sobie, że się ona do téj objętości rozciągnie. Nie ręczę nawet za to, czybym się był zabrał do niéj, gdybym to był przewidywał. Ale zabrnąwszy raz w rzecz, i spostrzegłszy się, w co ja wszedłem, trochę zapóźno: nie chciałem się już cofać po czasie. Prowadziłem tedy coraz daléj naprzód pracę zaczętą, pocieszając się nadzieją, że cokolwiek się stąd wywiąże, nie będzie bez pewnego interesu a może i pożytku. Mianowicie zaś towarzyszyło mi w tém zajęciu to przekonanie, że warto jest przypatrzeć się choćby też raz jeden z bliska... życiu Poety! Warto poznać w tym autentycznym, z własnych świadectw utworzonym obrazie, z czego to u natur wyjątkowych, noszących to chlubne miano, zazwyczaj splata się ów wątek uczuć, szałów, rzadkich pociech, częstszych boleści, niebiańskich natchnień i cierpień nieraz najdotkliwszych, który tłum ludzi, stojących u ich piedestalu, nazywa późniéj sławném życiem genialnego człowieka... Tyle o tém już pisano w romansach! Każdy wystawia sobie stan duszy tych ludzi nadzwyczajnych — po

zdawać s[illegible] może być nigdy
jego spl[illegible] głowy bra-
stów (j[illegible] sposobność
nie m[illegible] pory jedyna,
jaki w[illegible] [illegible]ych zwie-
wyob[illegible] stanowczych,
i pou[illegible] przypuszczać,
z téj [illegible]cznie drapo-
wdzi[illegible] pozuje... mo-
istn[illegible] [illegible]em towarzyszyć
rzał[illegible] pasmo dni jego
czn[illegible] genezę i dziejów
ta[illegible] jako artysty. Dla-
te[illegible] z téj sposobności?
by[illegible] przynajmniéj tyle
s[illegible] i opisy przygód wy-
a[illegible]
[illegible] przecież Słowacki
[illegible] poetą! jeżeli więc o to
[illegible] kogoś takiego, któ-
[illegible] za pomnikowy posąg
[illegible] — Prawda! Autor Lilli We-
[illegible] w duchu swoim chorobli-
[illegible] ostatecznie dokonał, a
[illegible]ności, która w pojedyn-
[illegible] niego całym blaskiem
[illegible] już tylko „dymi przez
[illegible]sunku. Z tém wszystkiém
[illegible] w osobie jego uderza, nie
[illegible] i czysto osobisty. To było
[illegible] było cierpienie właściwe mniéj
[illegible] do któréj Juliusz należał.
[illegible] jednéj przyczyny uważam życie

za przedmiot pod każdym względem godny głębszego rozpatrzenia.

A zresztą — należy zawsze korzystać ze sposobności, jaka się właśnie nadarza. Mickiewicz nie zostawił po sobie takiego materyału do odtworzenia wizerunku całego swego żywota; dlatego też niejedno z źródeł jego natchnienia na zawsze dla potomnych pozostanie zagadką.

— Obok Słowackiego, stawionego na pierwszym planie, umieściłem w obrazie moim cały chór osób różnych współczesnych, z którymi łączyły go bliższe lub dalsze stósunki i o których często mówi w swojéj korespondencyi. Zdawało mi się, że nie mogą być obojętne szczegóły dotyczące ich doli, wpływów na nich działających i okoliczności, śród których żyli. Ściąga się to głównie do tych pisarzów naszych, co życie spędzili na wygnaniu. Jeżeli wreszcie szczegóły podobne wydają się może dzisiaj jeszcze pomniejszéj wagi, nie będąc tak dalece nieznanymi rzeczami dla pokolenia dzisiejszego: to rozumiem, że nie będą bez interesu dla późniejszych, do których tradycye żyjące pomiędzy nami, dójdą tylko w drobnych okruchach. Cóżbyśmy dziś za to dali, gdybyśmy tyle wiedzieć mogli naprzykład o znakomitościach naszych z Zygmuntowskiéj epoki! Byłaby to nielogiczność, rozbijać się za najdrobniejszymi wiadomostkami, jeżeli takowe dotyczą od dawna zgasłych — a za nic ważyć sobie wspomnienia dotyczące osób, których mogiły jeszcze w ziemi nie zaklęsły i zaledwie darnią porosły. Przyjdzie czas, że i te grobowce znikną z przed oczu żyjących, a wtedy będzie tém droższą wiadomość o wszystkich, którzy w ich głębi spoczęli...

— Ze stroną opisową i historyczną dzieła mojego połączyłem i część krytyczną. I wytłómaczyć się muszę, dlaczego rozwodzę się tak obszernie nawet nieraz nad takimi utworami Słowackiego, którym sam wielkiego znaczenia artystycznego odmawiam. Dzieła tego poety, niesłusznie przez ogół mało poszukiwane, zaczęły od lat kilku tu i owdzie prawie znowu nad zasługę i miarę entuzyazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze powiększać. Przy takiéj sprzeczności sądów i punktów widzenia — bardzo wiele zależy na tém, ażeby sobie zdać raz sprawę na usilniejszych studyach opartą, tak ze zalet jako i przywar właściwych Słowackiemu. Krótkie wyroki na nic się tu nie przydadzą. Doraźnie wypowiadane mniemania nikogo jeszcze nie przekonały o niczém. Zresztą wszelkie krytyczne rozbiory zdaniem mojém wtedy tylko mogą być prawdziwie pożyteczne, kiedy nie ograniczając się do tego, żeby czy to naganą czy pochwałą wpłynąć na dalsze roboty krytykowanego pisarza, poruszają pytania sięgające donośnością swoją nieco po za zakres poruszonego właśnie przedmiotu. Niech mi się tu wolno będzie odwołać do wielkiéj w takich rzeczach powagi. Krytyki Lessinga, w jego „Hamburskiéj Dramaturgii“ objęte, są ciągle jeszcze pouczające, chociaż mało która ze sztuk przez niego tam rozbieranych bywa jeszcze grywaną, a choćby tylko czytywaną przez kogo ... Daleki jestem od chęci przypisywania moim krytycznym wywodom znaczenia, któreby je zbliżać mogło do mistrzowskich rozbiorów Lessinga; ale godzi się każdemu iść w ślady za człowiekiem, którego sposób się uznaje za godny naśladowania.

— Na zakończenie powiedzmy słówko, czy się godziło robić użytek, przeznaczony dla wiadomości całéj publiki, z listów prywatnych. Poruszył to pytanie co do Mickiewicza niedawnymi czasy znakomity nasz krytyk Julian Klaczko i bardzo się stanowczo wyraził za tém, że „ogłaszanie poufnych pism i listów znakomitych w narodzie ludzi nie jest rzeczą ani tak niechybnie godziwą, ani też nad wszelką wątpliwość pożyteczną, jak się to niejednemu wydaje.“ Rozróżniając pomiędzy ludźmi czynu, do których policzył polityków, wojowników i dyplomatów, a mistrzami słowa i sztuki: uważa szanowny autor, że tylko pierwszych uważany być może i prywatny nawet żywot za godziwy przedmiot badań powszechnych, podczas gdy osobistość drugich radby on usunąć ile tylko być może z przed oczu ciekawych natrętów, a to dlatego że biografia artystów i poetów bywa prawie zawsze mikrografią ducha.

Przyznaję chętnie, że mogą niewątpliwie zdarzać się wielkie przesady w nieoględném traktowaniu prywatnych stósunków czyichkolwiek, czy tam kto walczył na świecie bronią, czy wreszcie piórem. Z tém wszystkiém zdaje mi się, że jednak podnosić do reguły powszechnéj zaleconéj tu dyskrecyi nie można. Koniec końcem, trudnoby było zaprzeczyć temu, że pospolicie dzieła poetów wtedy dopiero zaczynają być należycie zrozumiałe i pożyteczne dla wszystkich, kiedy się wie dokładnie, wśród jakich okoliczności one powstały, to jest kiedy się dobrze zna przebieg życia ich autora. A już to samo upoważnia do tego, aby się starać zbogacić biografią jego szczegółami jak najdokładniejszymi skądkolwiek bądź. Zresztą i najszczytniejsza poezya, ażeby nie była próżnym blichtrem i tumanem

dla niedoświadczonych, powinna być popartą życiem poety. Mam to przekonanie, że narodowi służy wszelkie prawo do dochodzenia tego, co mu poeta daje: czy to szych, czy złoto szczere? czy przedewszystkiém wierzył on też w to wszystko, co słowami swymi wygłaszał, i czy sam żył podług tego? Gdzie bowiem rozdział nieprzeskoczny między pismem a czynami, tam zwykle i czyny liche i pisma wielce podejrzanéj wartości!... A nakoniec nie zapominajmy i o owém odwieczném zdaniu, że *natura horret vacuum*. Jak w świecie fizycznym, tak też i w biografiach znakowitych ludzi aż nadto często się zdarza, że niezapełnione niczém próżnie lubią zapełniać się czémkolwiek bądź: w rzeczach fizycznych zapełniają się wiatrem, a w ludzkich — ploteczkami. A te nie zawsze wypadają na korzyść osób, do których się ściągają.

(1866).

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnéj szkolnéj sali
Siedziało dwoje dzieci — niezmięszani w tłumie.
Oba we współzawodnéj wykarmieni dumie,
Oba wątłéj postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiém odetchnieniem —
Włos na czole dzielony na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy. —
Ludzie nieraz „on umrze“ mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia, i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzéc: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...“

„Młodszy wiekiem“, o którym mowa w tym wierszu, to właśnie nasz poeta. Powyższymi słowy sam on siebie opisał w wierszu zatytułowanym „Godzina Myśli“, który był po raz pierwszy drukowany na końcu III tomu „Poezyi“ paryskiego wydania. Godzina Myśli poświęcona jest wspomnieniom lat szkolnych, wspomnieniom pierwszych marzeń, pierwszych rozczarowań, pierwszéj przyjaźni i pierwszéj miłości. Wiersz ten stanowi między materyałami, które mam przed sobą, najważniejsze źródło do skreślenia wewnętrznego wizerunku Juliusza w téj właśnie życia jego epoce. Opowiadania osób, które pamiętają te czasy i na młodość jego patrzały, jakkolwiek ciekawe i zajmujące, nie potrafiłyby zastąpić tych zwierzeń z pierwszéj ręki podanych; dostarczają bowiem tylko szczegółów do zestawienia saméj zewnętrznéj strony tego obrazu. Drugiém źródłem jest Pamiętnik Juliusza, pisany w roku 1831 i 1832 już na emigracyi. Posiadamy z niego jednak tylko kilka urywków ocalonych, gdyż reszta zaginęła. Urywki te zamieszczono w roku 1879 w krakowskim Przeglądzie Polskim w zeszycie za miesiąc lipiec.

Odbywał więc Juliusz szkoły „wśród litewskiego grodu“ — w Wilnie. Tutaj także spędził najrychlejszy poranek życia, nim jeszcze został do szkół oddany. Jednakże właściwym jego krajem rodzinnym, krajem, który tyle razy w pismach swoich z wyłączném przywiązaniem wspomina jako swoję krainę,

„Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem —“

nie była to Litwa, lecz Wołyń. Urodził się w Krze-

mieńcu, dnia 23 sierpnia 1809 roku — z ojca Euzebiusza Słowackiego i matki Salomei z domu Januszewskiéj.

Ojciec jego zajmował wtedy jeszcze posadę profesora języka polskiego w liceum krzemienieckiém, którą z rąk założyciela tegoż zakładu, Tadeusza Czackiego, otrzymał był już w chwili téjże szkoły otwarcia. Nie długo potém zamienił ją na profesurę uniwersytecką. Właśnie bowiem w tymże roku 1809 ogłoszono w akademii wileńskiéj konkurs na katedrę historyi literatury, czyli jak to naówczas tam nazywano, na katedrę wymowy i poezyi. W dowód stósownego uzdolnienia do objęcia téj profesury, zażądano rozprawy „O sztuce dobrego w języku polskim pisania". W skutek tego — po upływie dziesięciomiesięcznego przeciągu czasu, tyle go bowiem dozwolono do wykończenia żądanéj pracy — zostało do Wilna nadesłanych kilka rozpraw téj treści. Była pomiędzy nimi i praca profesora z Krzemieńca. Po rozpoznaniu wad i zalet wszystkich pism nadesłanych, komisya rozpoznawcza, z profesorów akademii złożona, do któréj przedewszystkiém należeli sławny Godfried Grodek, profesor filologii, i rektor uniwersytetu Jan Śniadecki, przyznała stanowcze pierwszeństwo Euzebiuszowi Słowackiemu. W skutek tego nastąpiło w roku 1811 ostateczne powołanie jego na katedrę i przeniesienie się rodziców poety naszego do Wilna.

Zawód Słowackiego jako profesora wszechnicy był tém użyteczniejszy, że przypadł na czasy, gdzie konieczna potrzeba téj profesury coraz dotkliwiéj czuć się dawała. Przez cały ośmioletni ciąg trwa-

nia odrodzonego pod kuratoryą księcia Adama Czartoryskiego uniwersytetu wileńskiego aż do owéj chwili, przez cały czas od roku 1803 do 1811, katedra poezyi i wymowy ciągle tam wakowała. Nauk tych nie wykładał tam aż potąd żaden nawet zastępca profesora. Wzywano wprawdzie ze strony uniwersytetu od czasu do czasu różne co sławniejsze w epoce owéj znakomitości literackie i naukowe do objęcia rzeczonéj posady: powoływano na nią najprzód Kopczyńskiego, późniéj Karpińskiego, a daléj Niemcewicza, nakoniec Franciszka Xawerego Dmóchowskiego i Woronicza. Lecz wszystkie te kandydatury rozbijały się o jakieś już to polityczne, już osobiste i uboczne trudności, tak iż dopiero więc w roku 1811 zasiadł na téj katedrze po raz pierwszy Słowacki. Był to mąż wielce oczytany i światły. Wprawdzie więcéj on wykształcenie swoje zawdzięczał własnym swoim usiłowaniom, aniżeli mistrzom jakim i zakładom naukowym głośniejszéj sławy. Za granicą bowiem za młodu na żadnych akademiach nie bywał. Krajowe zaś szkoły, w których się kształcił, w tamtych jeszcze czasach zbyt wysoko nie stały. Pomimo tego wszelako, przy gorliwém pełnieniu obowiązków, przy rzetelném zamiłowaniu tak powierzonego sobie przedmiotu, jako i młodzieży, działał Słowacki w zakresie swoim z wielkim dla niéj pożytkiem. Co większa, starał się i posunąć daléj samę naukę, którą miał sobie poruczoną, jak o tém najlepiéj świadczą pozostałe jego pisma.*) Jak wia-

*) Pisma Euzebiusza Słowackiego wyszły w 4 tomach, w kilkanaście lat po zgonie autora, w Wilnie r. 1824—26.

domo, próbował on sił swoich nawet i na polu poezyi. Mianowicie wiele tłómaczył, np. Henryadę Woltera i różne ustępy z dzieł kilku poetów łacińskich. Ułożył wreszcie dwie tragedye oryginalne niezgorszym wierszem, t. j. Mendoga i Wandę. Sztuki te pisane są wprawdzie zupełnie jeszcze na sposób francuski, czyli jak to zwykle nazywamy, klasyczny; jednakże pamiętać tu należy, że takie to już wtedy były u nas w téj mierze powszechne wyobrażenia. Nikt w tym rodzaju literatury nie pisał inaczéj za Księstwa Warszawskiego. W każdym razie tedy działanie takiego profesora, wśród grona dzielnéj litewskiéj młodzieży, obiecywało Wilnu jeżeli nie takie plony, jakie się — dzięki innym okolicznościom — okazały w późniejszych latach, kiedy to liczył się do uczniów uniwersytetu Zan i Mickiewicz, to zawsze jednak zapowiadało ono rzetelne i przeważne korzyści. Do ziszczenia ich zupełnego atoli nie przyszło; we trzy już bowiem lata po przeniesieniu się swojém do Wilna, t. j. w roku 1814, zakończył profesor życie. Umarł przedwcześnie, w czterdziestym drugim roku wieku, na piersiową słabość, która o wiele rychléj wycieńczała już siły jego.

Tyleśmy mieli do powiedzenia o ojcu.

Co się tyczy matki, to opowiadania wszystkich, którzy ją znali, w tém się zgadzają, że jeżeli które z rodziców usposobieniem swojém mogło wpłynąć na ów wyższy i excentryczny nastrój ducha Juliusza, to rozumieć to należy właśnie o matce, która też w nim całe swoje szczęście widziała. Był on dla niéj jedynym celem życia, jéj dumą, jéj nadzieją, jéj wszystkiém na ziemi.

Ze strony syna także niemniejsze było przywiązanie do matki. Od pierwszego dziecięctwa swego aż do zgonu — przez wszystkie życia koleje, czy to pod jéj okiem wzrastając, czy trawiąc na wygnaniu długie lata samotne, zawsze on ją z głębi serca, rzewnie, wyłącznie i niemal bym rzekł religijnie czcił i miłował. Już same listy jego do niéj pisywane przekonywają, że nie miał on przed nią nigdy nic skrytego, nic coby w jakikolwiek sposób zakrawało na tajemnicę. Z szczerą ufnością dziecięcia i ze swobodą przyjaciela zwierzał on jéj się z każdéj pociechy i nadziei, z każdéj boleści i troski, ze wszystkich uczuć, rojeń, a czasem nawet i szaleństw drażliwego swego usposobienia. Ale bo była téż to osoba rzadkiéj giętkości ducha. Łączyła w sobie własności, których harmonijne, miłe dla wszystkich otaczających połączenie w jednéj osobie tylko się rzadko kiedy i chyba wyjątkowo spotyka. Łatwa, potoczna, nadzwyczaj żywa, a jednak czująca głęboko i z natury jakiegoś już tęskniejszego nastroju — pociągała ona ku sobie każdą szlachetniejszą naturę. Zawsze potrzebując czegoś takiego koniecznie, coby jéj myśl żywszém napełniało zajęciem, brała udział we wszystkiém, co ją otaczało, i znajdowała w sobie nawet dla rzeczy małych dość téj skrzętnéj drobnostkowości, która naturze niewieściéj dodaje tyle powabu, jeżeli się z nią kojarzy zmysł i głębsze wyrozumienie także i dla spraw wyższych, dla spraw wynikających z obowiązków matki, obywatelki, chrześcijanki... Matka Juliusza wszystko to w sobie godziła. Sercem i wykształceniem stawiona prawie na równi z duchowém stanowiskiem syna, odgady-

wała mimowiednie, a często i pojmowała świadomie tajne nieraz intencye jego poetyckich utworów. I nie tylko nie ukrywała przed nim swojego zdania o wszystkiém, cokolwiek jéj przedłożył; ale niekiedy nie szczędziła mu i wyraźnéj nagany, jeżeli rzecz nie zupełnie smakowi jéj zadość czyniła. Nagany takie przyjmował Juliusz od niéj — może od niéj jednéj — z bezwarunkowém poddaniem... Słowem, była pomiędzy tymi dwiema naturami jakaś tajemnicza a szczególnie ścisła sympatya. Wielu zaś dostrzegało nawet pewnego wręcz podobieństwa pomiędzy matką a synem, które im téż tłómaczyło niejednę stronę skądinąd dziwnie uderzającą w charakterze poety. A jeśli w dalszych ustępach życia Juliusza rysy tego podobieństwa coraz więcej się zacierały, a wychodziły natomiast na wierzch pod niejednym względem różnice: — to było to skutkiem dyametralnie odmiennych życia kolei, jakie każde z nich przechodziło. A krom tego było to następstwem i téj jeszcze okoliczności, że poetyczne usposobienie matki było oczywiście więcéj bierném, a kierowało niém przedewszystkiém serce, swobodnie i miłościwie na świat zewnętrzny zwrócone: podczas gdy fantazya poetyczna syna, w sobie zamknięta, twórcza, lecz dumna, brała raczéj z siebie saméj pęd ku wszystkiemu, w czém się miała objawić, nie wiele dbając o świat i ludzi i o całe otoczenie zewnętrzne.

Po zgonie Euzebiusza Słowackiego, osierociała wdowa opuściła Wilno i przeniosła się z jedyném dziecięciem swojém, pięcioletniém naówczas, napowrót w strony swoje rodzinne. Osiadła na nowo w Krzemieńcu, w domu rodziców swoich Janu-

szewskich, którzy stale w témże mieście zamieszkiwali. Po upływie trzech lat jednakże poszła powtórnie za mąż. Oddała rękę doktorowi Bécu, znowuż profesorowi uniwersytetu wileńskiego w wydziale lekarskim. Dr. Bécu był także wdowcem i miał dwie córki niedorosłe, potrzebujące macierzyńskiéj opieki, Alexandrę i Hersylią. Oto, co o tém drugiém swojéj matki małżeństwie zapisał Juliusz w Pamiętniku swoim, w kilkanaście lat późniéj kreślonym:

„1817 roku w sierpniu przyjechał do Krzemieńca profesor Bécu w zamiarze ożenienia się z moją matką. Zdecydowali się rodzice (Januszewscy), już to żeby na przypadek ich śmierci miała opiekuna, już dla mojéj edukacyi, która w Wilnie mogła daleko lepiéj być przedsięwziętą. Trzema dniami przed ślubem dowiedziałem się o tém; myśl wyjazdu do Wilna bardzo mnie ucieszyła. Pamiętam ślub mojéj matki o godzinie 9 wieczorem w kościele licealnym. Mała liczba przyjaciół była przytomna. Widząc moję matkę płaczącą serdecznie, i ja także płakałem. Przy końcu sierpnia wyjechaliśmy do Wilna. Miałem wtenczas lat 8. Wilna nie pamiętałem zupełnie. Panny Bécu, Olesię i Hersylkę, a teraz siostry moje,*) zastałem w Dąbrowni: ledwo mogły dostrzéc małego swego przyjaciela, tak byłem mały i szczupły. Obraziłem zaraz jednę z nich zgryźliwą jakąś uwagą. Przy wieczerzy opowiadałem w zapale jakąś komedyą, tak że aż wstałem od stołu, łącząc do opo-

*) Do tych to więc sióstr przyrodnich Juliusza odnosi się owo miejsce w przytoczonym powyżej ustępie z Godziny Myśli o dziewicach „gładkiemi dłońmi trefiących co dnia czarne włosów jego pierścienie".

wiadania dziwaczne gesta. Przybywszy do Wilna, zaraz pobiegłem do mego małego ogródka. Potém z matką odwiedziłem grób mego ojca na Rossie: klęcząc na kamieniu, zmówiłem pacierz i płakałem, bo o łzy u mnie nie było trudno"... (Przegląd Polski, lipiec 1879, str. 32).

O szkolnych czasach i pierwszéj młodości Juliusza niewiele mam do powiedzenia. Tyle mi tylko wiadomo, że miało to być miłe dziecię, o pięknéj ale bladéj twarzyczce -- nikłe ciałem i zawsze słabowite. W czwartym roku życia odbył ciężką, kilkomiesięczną, nader niebezpieczną słabość, z któréj go ledwie przywrócono do zdrowia. Tém rychléj się za to obudzać w nim zaczęły duchowe siły i niepospolite jak na wiek jego zdolności. Za życia jeszcze ojca zaczęto go uczyć czytać. Elementarzem jego, t. j. książką w dosłownėm znaczeniu pierwszą, w której poznawał litery, były Bajki Krasickiego. Potém dana mu była do ręki Iliada Homera w przekładzie Dmóchowskiego. Dziwili się wszyscy, że to czytanie sprawiało temu dziecku przyjemność i że wyobraźnia jego zdążała za tymi obrazami wieszcza starożytnego. Po przeczytaniu Iliady, brał się do różnych innych książek, a dowiadywał się ciągle, czy nie ma jeszcze innego takiego dzieła, jak Iliada. Matka obiecała mu dać Eneidę Wirgilego. „Z jakąż niecierpliwością czekałem téj książki! Dostałem ją nakoniec, lecz mamże wyznać? Znudziła mnie okropnie i dotąd jeszcze (pisał to w roku 1831 w Dreźnie w Pamiętniku swoim) usypiające ma dla mnie skutki, gdy Iliada Homera i dziś mnie jeszcze zachwyca"...

To czytanie Iliady i Eneidy przypada na lata już wileńskie, w ciągu których Juliusz pobierał najpierw w początkowych przedmiotach naukę prywatnie w domu, a potém został oddany do szkół publicznych. W szkołach objawiała się we wszystkiém znowu pewna przedwczesność całéj jego organizacyi duchowéj. Objawiała się zaś nie tyle w postępach naukowych, chociaż i pod tym względem liczył się zawsze młody Słowacki do celujących uczniów; ale daleko więcéj uderzała każdego jakaś dziwna skłonność do samotnych marzeń, jakaś tęskna fantastyczność chłopczyny...

Jak wiadomo, lata 1818—1824 w obrębie akademii wileńskiéj — stanowić będą na zawsze w dziejach umysłowości naszéj czasy opromienione urokiem najpiękniejszych wspomnień i nigdy niezapomnianych zdarzeń. Zdarzenia te sięgały daleko po za zakres urzędowéj że tak powiem instrukcyi naukowéj. Był to brzask nowéj ery w myślach i pieśniach — świtanie nowego życia, życia rdzennie narodowego. Co tylko z młodzieży żyło duchowo, podzielało ten prąd powszechny. Promienie jego dosięgały i niższych szkół, z wysokości katedr akademickich. Poezya była jakby symbolem tych wszystkich uczuć, które młodzież łączyły. Świeża sława Mickiewicza i jego rówieników silnie działała i na najmłodszych wychowańców szkolnych zakładów litewskich. A jeżeli na kim wywierało to wszystko potężne, wstrząsające wrażenie, to na Juliuszu. Oddźwiękła w sercu jego ta struna poetyczna, która i bez tego już w duszy jego była napięta. Żądza wielkiéj autorskiéj sławy zaczęła go już nawiedzać w dzieciń-

stwie. Niejednokrotnie on sam o tém wspomina w listach swoich do matki, pisanych już w późniejszym wieku na emigracyi. — „Droga moja — mówi do niéj n. p. w liście z dnia 25 stycznia 1845 roku — ja ośm lat mając przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał — a za to za grobem o wszystko się upomnę“... — Albo w innym liście: — „W dzieciństwie, kiedy byłem exaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie poetyczne, choćby zresztą najnędzniejsze, — żebym był pogardzony przez cały wiek mój — i tylko żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci“... A w owym poemacie, z którego ustęp daliśmy na czele obecnego rozdziału, wręcz wyznaje mówiąc o sobie, że

„Dziecko z czarnymi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą
I wypadkami myśli żyło w siódmém niebie.
. . . . . .
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem,
Ma przed sobą krainę duchów do zdobycia“...

W ogóle tedy cały tryb spędzonego jego dzieciństwa, wszystkie jego zabawy, zajęcia, stosunki i zapędy okazują nam się w obrazie, który jak upoważniał do najpiękniejszych nadziei o tém dziecku, tak też mógł wzbudzać i pewne obawy o jego dalsze koleje... Jeżeli bowiem dumnie i poetycznie to brzmi, powiedzieć o kim, że cały jego życia poranek nie był taki, jak zwyczajnych ludzi: to z drugiéj strony wiele prawdy i w tém być mogło, co później sam on wyrzekł o sobie z goryczą

w jednym z listów do matki (Paryż r. 1832): — „Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

Teraz trzeba nam tu wspomnieć o dwóch okolicznościach nader ważnych w jego wieku młodzieńczym i bynajmniéj też nieprzepomnianych przez poetę w Godzinie Myśli. Jedną okolicznością taką była przyjaźń najściślejsza, idealna, dozgonna, jaką był zawarł od pierwszych ławek szkolnych z pewnym starszym od siebie kolegą. Pamięć jego często mu była przytomna w późniejszym nawet wieku, na emigracyi. Nieraz w listach swoich o nim wspomina. Jego to też i wtedy miał na myśli, kiedy mówił o owém dwojgu dzieci, niezmięszanych w tłumie, w szkolnéj sali obok siebie siedzących. Jedném z tych dzieci był to, jak już wiemy, sam Juliusz. Drugiém zaś był ów jego przyjaciel. Imię mu było Ludwik.

„Włosy miał jasne, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziwnie palące czuł głody —
Trawił się. — Jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki, łzawym kryształem pokryte
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty“...

A zatém i Ludwika usposobienie nie było takie, jak reszty uczniów, których oni obydwaj nazywali też — tłumem. Miało ono wiele podo-

bieństwa do natury Juliusza, tylko że tu sentymentalizm już wyraźnie był chorobliwy. Kiedy bowiem młodszy przyjaciel, Juliusz, jako poeta snuł sobie rojenia jakieś napowietrzne i tylko w sferze idealnéj: tymczasem „jego towarzysz większy nauką i laty“, odnosił się w swoich nieokreślonych cierpieniach duszy bezpośrednio do otaczającego go świata rzeczywistego, czyli jak się wyraża nasz autor, „nigdy od krain myśli nie odłamał życia, sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy“. Z czego atoli takie tylko wynikały następstwa, że

„Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy:
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Więc nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził — i rzeczywistość zimna roztrącała“...

Był to zatém najzupełniejszy Werteryzm, czyli owa to sentymentalna schorzałość i wycieńczenie ducha, które szczególniéj Niemców za młodu nawiedza i które oni technicznym terminem zwykli nazywać Weltschmerz. — Młodzieńcem tym był Ludwik Spitznagel, syn Ferdynanda Spitznagla, profesora wileńskiego w fakultecie lekarskim. Rychły koniec jego życia był bardzo smutny, a nastąpił z przyczyn równie niedocieczonych, a przynajmniéj nieokreślonych, jak i posępność całego życia nie miała właściwie żadnego określonego powodu. Po ukończeniu szkół wileńskich Ludwik zapragnął słuchać „wieków tajemnicy, wymówionéj niepewną twarzą hieroglifów“, t. j. odbyć podróż na Wschód, zwłaszcza do Egiptu. To mu poddało myśl poświęcenia się służbie pu-

blicznéj w zakresie dyplomacyi. Udał się przeto do Petersburga dla dokończenia nauk i przykładał się tam przez trzy lata szczególnie do oryentalnych języków. Przygotowany wreszcie najzupełniéj do rozpoczęcia karyery, jaką sobie sam obrał, przydzielony już do poselstwa jadącego „w p i r a m i d k r a i n y“ w charakterze dragomana tegoż poselstwa, zajechał jeszcze na Litwę, ażeby się pożegnać z rodziną i przyjaciołmi. — „Gdy przejeżdżał przez Wilno (są słowa poety naszego w jednym z odszukanych urywków jego Pamiętnika, obacz Przegląd Polski str. 34), odnowiła się nasza przyjaźń. Napisałem mu do sztambucha wiersze, które go zachwyciły, z których cztery tylko (wiersze pamiętam). Odjechał nareszcie, wesół z otwierających się przed nim nadziei. Wojaż ten był jakby początek romansu dla niego — ale myśl samobójstwa ulatywała nad nim. Przyjechał do Snowia (majętności Rdułtowskich zaprzyjaźnionych z rodziną Ludwika), gdzie kochał się zapamiętale w dwunastoletniéj dziewczynie. Kilka dni przy tém dziecku przepędził — nakoniec przyszedł dzień odjazdu, zaszły konie pocztowe. Ludwik pożegnał się z kochanką, z ojcem kochanki, i żartując niby, rzekł do ostatniego: — „Czy wiesz, że ja podług Galla mam organizacyą samobójstwa?“ — „Być może, odpowiedział R., ale się pewno nie zabijesz.“ — Ludwik wyszedł do pokoju, w którym mieszkał. Po chwili usłyszano strzał z pistoletu. Wpadłszy do pokoju ludzie, znaleźli go bez czucia, nieżywego: strzelił w samo serce. Mogiła jego na polu... Zostało mi po Ludwiku smutne wspomnienie; mam i chowam religijnie jego tłómaczenie poematu arab-

skiego pod tytułem „Szanfary“, lepsze daleko od tłómaczenia Mickiewicza (?! pisał to Słowacki w Paryżu dnia 20 lipca 1832 roku). Kiedyś może napiszę życie tego młodego człowieka. Był to kwiat piękny, który nie dał owocu. Wiersze jego, w moim dziecinnym sztambuchu napisane, są piękne przeczuciem i smutkiem. Oto są:

Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w drogiéj przeszłości się stawił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął — jak przeszłość nie wróci.“ *)

Otóż taki to był koniec tego kolegi i przyjaciela poety. Zdarzenie to zaszło w roku 1826. Wnosząc z wszystkiego, zdaje się, że cała ta jego rozpacz nie miała żadnéj realnéj przyczyny. Ogólny niesmak życia, excentryczny rozstrój w umyśle, zwątpienie — a bezpośrednio może i brak odwagi do rozstania się na czas nieokreślony z tą miłą ziemią rodzinną, która go właśnie z takim urokiem

*) Te cztéry wiersze wchodzą w skład i Godziny Myśli, dosłownie powtórzone. (Wydanie ostatnie lwowskie z roku 1880, tom I. str. 25).

Przytoczę tu jeszcze, co o Ludwiku Spitznaglu znajduję w notatkach mi udzielonych przez Eustachego Januszkiewicza: — „Bywałem u państwa Bécu i Spitznaglów, bo z Ludwikiem łączyła mnie przyjaźń. Razem z nim z klasy V gimnazyalnéj przeszliśmy do klasy VI, i najmłodsi ze wszystkich wpisujących się na listę uczniów uniwersytetu (mieliśmy lat 15), przez wyłączny przywilej jako „celujący z celujących“ ze wszystkich przedmiotów, po okazaniu naszych patentów zostaliśmy przyjęci“... „Ludwik zastrzelił się w Snowiu u Rdułtowskich; bo niby się kochał w pannie marszałkównie, w któréj był rozkochany inny młody człowiek, a przyjaciel Ludwika.“

w domu przyjacielskim żegnała — oto prawdopodobnie najwłaściwszy powód postanowienia, jakie Ludwik przywiódł do skutku, skoro tylko mu przyszło stawić pierwszy krok w zakresie rzeczywistego świata i praktycznego zawodu. Taki brak odwagi męskiéj może świadczyć o rzewności serca, o głębi uczuć, o idealności całéj natury tego nieszczęśliwego młodzieńca. Dowodzi jednak i tego, że mimo tych wszystkich zalet odłogiem tam zalegała i zeru się musiała równać ta silna praktyczna zdolność, ta energia woli, ta chęć dokonania czegoś pożytecznego na świecie, coby go zbliżyć mogło do wymarzonego ideału, słowem ta cała druga siła umysłu, bez rozwinięcia któréj sentymentalizm najpoetyczniejszy, najczystszy — ani ludziom ani sobie na nic się przydać nie może.

Że ścisłe, codzienne, nierozdzielne pożycie z rówiennikiem tak excentrycznego usposobienia, i to jeszcze w latach, gdzie wszelkie wpływy najsilniéj się w umysł wrażają, nie mogło zostać bez następstw dla towarzysza młodszego laty i mniejsze, jak on sam o sobie rozumiał, zapowiadającego nadzieje: to pojmie każdy.

Trwalsze jeszcze ślady w nastrojeniu duchowém naszego poety mogło zostawić po sobie inne uczucie, uczucie donioślejszego jeszcze znaczenia, aniżeli przyjaźń, a które zaznał także już w latach szkolnych — miłość.

Przez owe trzy lata, gdzie się Ludwik poświęcał w Petersburgu nauce języków wschodnich, dziecko z czarnymi oczyma

„Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była —
I najsilniejsza z uczuć“...

Ale nim przywiodę dalsze wyrazy poświęcone temu wspomnieniu, nie od rzeczy będzie udzielić tu kilka szczegółów, bez wiadomości których dalsze opowiadanie nie byłoby zupełnie jasném. Owoż rzetelne fakta co do tego epizodu pierwszéj miłości były następujące:

Rodzina profesora Bécu zostawała w najściślejszéj zażyłości z domem Jędrzeja Śniadeckiego, także profesora akademii. Przyjaźń mianowicie między córkami jednéj rodziny a drugiéj była tego rodzaju, że czy to w mieście, czy na wsi (podczas wakacyi), było to jakby jedno grono prawie nigdy nierozdzielne. Juliusz, młodszy wiekiem od panien, do grona tego oczywiście także należał i tém swobodniéj się w niém poruszał, że był niejako Beniaminkiem pomiędzy nimi wszystkimi. Wiedzieć zaś trzeba, że jak w tylu innych względach okazywała się w chłopcu pewna przedwczesność, tak téż i to w nim uderzało, że piękne rysy twarzy kobiecéj sprawiały na nim już w owych latach czar jakiś niewysłowiony. Był on zdolny godzinami całymi siedzieć u stóp jakiej choćby téż niekoniecznie młodéj osoby i wpatrywać jéj się w oczy, jeżeli te oczy miały dla niego urok. Widać wrodzony mu już był pewien idealny, artystyczny, platoniczny pociąg do niewieścich piękności, bez względu na wiek i tym podobne okoliczności uboczne. Otóż jedna z córek owego domu zaprzyjaźnionego z rodziną Juliusza, Ludwika, zaczęła sama może o tém nie wiedząc, obudzać w nim coraz żywsze zajęcie. Zajęcie to było oczywiście bez wzajemności; panna była bowiem znacznie od niego starsza, więc uważała go w porównaniu ze sobą za dziecko, a jego

zapały za dzieciństwo, za dziwactwo, za szał poetycznéj fantazyi, którym się w najlepszym razie czas jakiś pobawić można, ażeby go potém zimną przyjacielską perswazyą przywołać do równowagi. Nie przeszkadzało to wszelako bynajmniéj zarodowi uczuć, raz w sercu chłopca zbudzonych, rozwijać się coraz więcéj, tak iż w 17 roku życia rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca.

Jeżeli się godzi polegać na opowiadaniach, podług których przedstawiam te stósunki: powierzchowność osoby, o któréj mowa, nie miała w sobie nic tak nadzwyczajnego. Była to twarz pełna wyrazu i życia — miła, świeża, o czarnych oczach przy płci białéj i delikatnéj — lecz zresztą, jak wiele innych. Ale duchowo łączyła w sobie panna Ludwika wiele własności, znamionujących głębszą naturę i zdolnych właśnie przeto sprawić na drugim żywsze wrażenie. Tkliwa, czuła, ruchliwéj wyobraźni, wykształcona starannie, trochę nawet sawantka, nie bez skłonności do poetycznych zachwytów i posuniętych czasami aż do excentryczności uniesień — nic dziwnego, że wywierała ona jakiś urok niepokonany na umyśle młodego poety naszego, którego pociągało ku niéj nie samo tylko to pokrewieństwo ich duchowego nastroju, ale jeszcze i ta okoliczność w dodatku, że był on wtedy dopiero właśnie dążącym ku temu ideałowi, na wysokości którego tamta, jako doskonałość skończona, już mu się być zdawała. I dalsze życie panny Ludwiki Śniadeckiéj zawsze w niéj okazywało osobę mniéj zwyczajnego usposobienia. Lecz mówić o tém

nie byłoby tu na miejscu.*) — Owoż właśnie to wszystko działało silnie na wyobraźnię Juliusza: pokochał, ubóstwił, i zdawało mu się, że kiedy on podniósł się sercem na wysokość uczuć Abelarda albo Romea, to też powinien być, równie jak tamci, i wzajemnie kochanym. Ale po drugiéj stronie nie podzielano bynajmniéj tego przekonania. Tam nie zapominano ani na chwilę, że odgrywać rolę Heloizy albo też Julii w obec chłopca, który ledwie dzieckiem być przestał, narażałoby tylko na śmieszność. Przy całéj tedy przyjaźni i życzliwéj wyrozumiałości dla romantycznych uniesień młodego entuzyasty, nie chciała go panna ani łudzić ani też w nadziejach, jakie powziął, utwierdzać; choć z drugiej znowu strony nie zdawało jéj się stósownem doraźnie i wręcz niweczyć tych skłonności. Trwał tedy przez czas jakiś pomiędzy nimi ten szczególny stósunek, to sprawiając w młodym marzycielu zachwyty szczęścia, to go przejmując bo-

*) Obecnie nie przeszkadza mi nic już uzupełnić tego napomknienia bliższymi szczegółami, które daję własnymi słowami Eustachego Januszkiewicza, udzielonymi mi w listach jego już w przedmowie wspomnianych: — „Kiedy Juliusz niby to się kochał w Ludwice Śniadeckiéj, ona rozkochana była w synu generał-gubernatora Korsakowa, który zginął na moje nieszczęście w wojnie tureckiéj roku 1828. Powiadam na moje nieszczęście: bo gdy z rozpaczy dostawała prawie obłąkania, raz upatrzyła we mnie podobieństwo do zmarłego kochanka, i ja na prośby rodziców musiałem u nich bywać, służyć za lekarstwo. Powoli przyzwyczaiła się do świata — tańcowała na resursie, ale tylko ze mną — a potém wyjechała do Warny, założyła jakiś szpital w miejscu, gdzie zabity był Korsakow — i miała na zawsze wdową po nim pozostać. Poznała późniéj M. Czajkowskiego, poślubiła go i jak on oturczyła się.“

leścią; to mu z ust wyrzucając wyrazy uwielbienia, to znowu gorzkie skargi i złorzeczenie. I w téj téż chwiejności pomiędzy jedną ostatecznością a drugą widzimy go i w późniejszych jeszcze latach, czy to kiedy w listach do matki wspomina mimochodem o owych czasach i miejscach i stósunkach, czy kiedy je poetycznie maluje w Godzinie Myśli. W nader częstych wzmiankach listownych mówi zwykle o Ludwice tonem obrażonego, tonem niby obojętnym i chłodnym; ale widać ze wszystkiego, że tam zupełnie co innego kryło się na spodzie serca, jak sama tylko pamięć — minionéj przeszłości. W Godzinie Myśli zaś, pisanéj w sześć albo pięć lat po czasie, gdzie się to działo, wspomina o tém w następujących wyrazach:

„Dziecko z czarnymi oczyma
Poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy-anioła: —
Czarnymi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o życiu dziecka; bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
Przeciwko własnéj duszy i czczym chwilom ziemi.
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jéj tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanéj wyrazu“...

Ale rzeczywiście — zeznanéj miłości pomiędzy nimi nie było. Skończyły się tedy te sny urocze młodości rozejściem się obojga, każdego w inną stronę. Juliusz poszedł w swoję z uczuciem zranionéj dumy, cały zgorzkniały, z byronicznem rozczarowaniem i zwątpieniem o wszystkiém. Rozczarowanie to nie mając żadnego rzetelnego powodu i przypadając na wiek bardzo rychły, możeby jako prosty tylko objaw niedojrzałości moralnéj, nie zasługiwało wcale na wzmiankę w biografii autora Balladyny, gdybyśmy go i w kilka jeszcze lat późniéj, już na emigracyi, nie widzieli patrzącego na te rzeczy ciągle pod wpływem tychże samych ujemnych usposobień. Tak n. p. powiada, że po owéj rozmowie stanowczéj, która koniec położyła wszystkiemu pomiędzy nimi, „upadł bladą twarzą do ziemi, jak zabity słowami, dumnym wstydem drżący, gdyż miał już wtedy dumę wielkiego człowieka“...

. . . „Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi: — a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem...
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało —
I nie było w nim wiary w szczęście ani Boga;
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga!
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
Ta budowa ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszyć się i myślami przybrać karłów postać...

Gdyby teraz, obok téj tak posępnéj barwy wewnętrznych dziejów młodości Słowackiego, postawić obraz rzeczywistych stósunków, w jakich wzrastał i wśród których przebiegał szkoły wileńskie: okazał by się zaprawdę kontrast niemały pomiędzy wymarzonymi cierpieniami tego złamanego serca a istotną dolą, jakiéj zażywał!

Rzeczywiście bowiem zewnętrzne powodzenie młodego byronisty było jedno z najszczęśliwszych. Nie zbywało mu na niczém. Wszystkie jego potrzeby opatrywała matka, odgadując najskrytsze życzenia jedynaka. Nie zaznał, co to sieroctwo, co to życie pośród obcych, co to samotność i tęsknota za domem rodzicielskim, co to wreszcie niedostatek... Miał rodzeństwo przybrane, które go kochało, jak rodzonego brata, i żył sobie najszczęśliwiéj w otoczeniu swojém codziennem. Na łonie miłującéj, dobréj matki dano mu było przepędzić cały życia poranek. Co się tyczy wychowania — i tutaj czuwano opatrznie i troskliwie nad wszystkiém. Czego go nie uczono w szkołach publicznych, to mu było udzielane za pomocą lekcyi prywatnych. Środków na to wszystko było w tym domu dostatkiem. Uczył się muzyki; dawano mu lekcye języka angielskiego, rysunku, tańca; malował, — miał książek ile tylko chciał i jakich tylko żądał. W szkołach otaczało go grono miłych towarzyszy, pomiędzy którymi był liczony do celujących. Wakacye spędzał rok rocznie na wsi, w rozkosznych Mickunach, położonych nad Wilejką niezbyt daleko od Wilna. Była to majętność krewnych jego ojczyma, czy téż nawet własność samego doktora Bécu. Z jakąż lubością, jakże tęsknie rozpamięty-

wał nieraz Słowacki w listach do matki pisanych w późniejszém życiu, o tych cudnych okolicach, o téj upajającéj woni lasów sosnowych, o kwiatach polnych i łąkach zielonych owéj ukochanéj wioski litewskiej, w któréj mu lotem błyskawicy w takiéj swobodzie duszy ubiegały wakacye!... Gdyby, powtarzam, porównać więc młodość jego z losem na przykład Brodzińskiego... Kiedy Brodziński był jeszcze drobném dzieckiem, srodze poniewierała go macocha. Ojciec o niego nie dbał wcale, tak iż tylko chyba w czeladnicy pomiędzy służbą, albo na wsi pomiędzy dzieciakami wiejskimi był dla niego jakiś przytułek. Kiedy się już chłopcem podniósł nieco od ziemi, bito go w szkółce parafialnéj rózgami, za to że sobie z owym nieszczęśliwym katechizmem niemieckim nie umiał nigdy dać rady. Kiedy chodził do gimnazyum, morzono go głodem, bo go niedbały i niezaradny ojciec na stancyi zawsze najniefortunniéj umieszczał. A w wyższych klasach morzono go znowu innym głodem — głodem duchowym! Boć zabraniano mu pod najsurowsza karą wszelkich książek nieobjętych w ciasnym ówczesnym regulaminie szkolnym; a to, czego dozwalano, takie było jałowe, tak dalekie od wszystkiego, czego serce pragnęło, że naprzykład dzieła Kochanowskiego już były kontrabandą, za którą trzeba było odsiadywać kozę... Żył więc ciągle w niedostatku, biedzie, poniewierce — w upokorzeniu i sieroctwie... Nie znał, co to uścisk rodzicielski, co to kierunek życzliwéj ręki, co to pragnienie — najskromniejsze, najsłuszniejsze, a zaspokojone! Wzrastał jak ta płonka polna, wystawiona bez opieki na wszelkie słoty i wiatry. Do wysokości tego wszystkiego,

w co Słowacki codzień opływał, Brodziński się nie wznosił ani marzeniem! A przecież — miał i autor Wiesława dosyć téj tkliwości serca i téj żywéj wyobraźni, ażeby czuć boleśnie, w jakich żyje stosunkach!...

W roku 1824 nawiedziło dom rodziców Juliusza nieszczęście: ojczym jego, profesor Bécu, wśród dziwnego zbiegu okoliczności uderzony piorunem, zakończył życie. Smutny ten wypadek nie wywarł jednak zbyt niekorzystnych następstw na dalszą dolę 15-letniego już natenczas jego pasierba, ani też na los żony i córek zmarłego. Pozostały bowiem majątek wystarczał dostatecznie na przyzwoite utrzymanie całéj rodziny; a opieka troskliwéj matki sprawiała, że brak głowy domu czuć się dotkliwie nie dawał. Szło więc i potem wszystko swoim trybem, prawie równie pomyślnie, jak przedtém. Po skończeniu gimnazyum przeszedł Juliusz do uniwersytetu. Jego siostry powychodziły za mąż. A pani Bécu, chociaż jéj od czasu śmierci męża z wielu przyczyn bardzo posmutniało na Litwie, a wielce ją ciągnął ku sobie rodzicielski domek w Krzemieńcu, mieszkała jednak i nadal w Wilnie przez cały czas studyów syna uniwersyteckich, ażeby go tam nie pozostawiać samego. Jego ciągła słabowitość i ta niewprawa w radzeniu o samym sobie, która mu już była wrodzoną, wiązały ją do miejsca.

Zresztą w roku 1826 czy 1827 odbył Słowacki podczas wakacyi uniwersyteckich podróż kilkomiesięczną nad morze Czarne, do Odessy. Odbył ją już to dla rozrywki i roztargnienia, już ażeby użyć kąpieli morskich, poleconych mu przez

lekarzy z powodu jakichś dolegliwości piersiowych. Pokrzepiony na siłach, powrócił potém jeszcze do Wilna, ażeby dokończyć nauk w wydziale prawniczym, chociaż nie zdaje się, żeby był wtedy zamierzał obrać sobie jaki zawód, któryby wymagał studyów akademickich uwieńczonych examinami albo patentem doktorskim. Jeszcze i następnego roku pisał list do stryja Erazma Słowackiego, adwokata w Żytomierzu i właściciela dóbr w okolicy (ogłoszono list ten w warszawskiéj Gazecie Codziennéj 1860 roku), w którym o dalszych planach swoich w niepewności przemawia, to skłaniając się myślą ku projektom kilkoletniéj razem z matką podróży do Włoch, w którym to kraju możeby i na stałe zamieszkali, to znowu marząc o nabyciu jakiéj wsi na Wołyniu w okolicy Krzemieńca, z którego biblioteki licealnéj spodziewał się korzystać, jeżeliby miał jaki stały pobyt w pobliżu.

W roku 1828 ukończył wreszcie studya akademickie. Przyszło mu pożegnać teraz Ludwikę i Wilno, które to miasto, w ciągłéj i wtedy jeszcze niepewności co do dalszego losu swojego, na razie zamienić miał na Krzemieniec, dopókiby mu tu zgromadzona cała rodzina nie wskazała wspólną radą owéj drogi żywota, któréj sam znaleźć, odgadnąć nie umiał. Żyli tam jeszcze — w Krzemieńcu samym — oboje sędziwi rodzice matki Juliusza. Jéj bracia, Jan i Teofil Januszewscy, mieli także tam na Wołyniu niedaleko od Krzemieńca swoje majątki. Jednego z nich, Teofila, była żoną od niejakiego już czasu młodsza pasierbica pani Bécu, Hersylia. Tak więc cała prawie rodzina Słowackiego była już wtedy w tamtych stronach osiadłą,

a nawet i matka jego na kilka tygodni przed examinami syna podążyła na Wołyń, by się nacieszyć jak najdłużéj towarzystwem rodziców, z którymi (jeżeliby jéj przyszło wyjechać razem z Juliuszem w jakie strony dalekie, jak sobie w myśli roiła) rozstać się znowu miała na przeciąg czasu może długi, w każdym razie nieokreślony.

Ostatni swój dzień studencki i uczucia, z jakimi Wilno porzucał, opisał nasz młody poeta w Pamiętniku swoim, w cztéry lata późniéj, lecz pod wpływem tych samych jeszcze wrażeń kreślonym, następującymi słowami:

Upływał czerwiec (1828), „egzamina się zbliżały, i przepowiadano powszechnie w uniwersytecie, że wezmę premium.

„W dniu, kiedy przysądzono premium, zdarzyło się tak, że Ludwika z ojcem (Jędrzejem Śniadeckim) już na wieś na całe lato odjeżdżała. Zostawiłem więc myśl o premium, którego przysądzenia pewien byłem, i poszedłem ją pożegnać... Dzień ten był dla mnie dniem piekielnym, zapewne w życiu drugiego takiego nie będzie. Poszedłem o 3 popołudniu do Śniadeckich. Zastałem ją razem z innymi osobami — powiedziałem sobie, że na twarzy żadnego wrażenia nie ukażę. Pamiętam, jak dano lody: z filiżanką w ręku oboje stanęliśmy w oknie — wszyscy byli daleko. Milcząc oboje patrzeliśmy na ulicę — potém kilka słów obojętnych... Chciała mi wmówić, że się zobaczymy...

„I już zajechały powozy... pocałowałem ją lekko w rękę i powiedziałem: nie zobaczymy się nigdy może... Czułem, że zachwiałem się na nogach... Wkrótce odzyskałem zmysły, rozsądek, dumę — i nie podałem jéj nawet ręki, kiedy wsiadała do kocza. Konie ruszyły —

wyszedłem na ulicę i patrzałem za odchodzącym powozem. Widziałem jeszcze woal od jéj kapelusza — potém powóz się na chwilę zatrzymał, zapewne dla poprawienia uprzęży... i znów ruszył daléj — zniknął — i wszystko...

„Wracałem do domu ponury, w oknie zobaczyłem Domańskich: gdybym wziął premium, wybiegliby, uśmiechaliby się do mnie — oni siedzieli nieruchomi... Któż wziął premium? zapytałem wchodząc obojętnie. Powiedzieli mi, że Korewickiego*) i innych niższych profesorów intrygi zrobiły to, że się nagroda komu innemu dostała — ja zaś wziąłem pierwszy accessit. Nic nie odpowiedziałem Domańskim i wybiegłem na Bulwary. Chodziłem długo — byłem aż pod Antokolem... z rozżarzoną twarzą. A kiedy wróciłem do domu, zamknąłem się w pokoju i wtenczas płakałem. Wtenczas przysiągłem, że do Wilna nigdy więcéj nie wrócę...

„Lecz może dobrze, że to drugie nieszczęście uwagę moję nieco od pierwszego odwróciło. Inaczéj... możebym był nie został na świecie; ale myśl, że śmierć moję przypisywanoby zawiedzionéj nadziei szkolnéj, wstrzymała mnie.

„W kilka dni potém wyjechałem do Krzemieńca z Beaupré doktorem, moim kolegą. Jechaliśmy na Jaszuny, gdzie zastaliśmy tylko Balińskiego i Jana Śniadeckiego. Cieszyło mnie, że ten ostatni traktował mnie już jako człowieka, był grzecznym i u stołu mnie pierwszemu podawano półmiski. Jest to rzecz mało znacząca, ale to tak charakteryzowało moje wyjście z dzieciństwa, że mi się wraziło w pamięć.

---

*) Korewicki był profesorem prawa rosyjskiego w uniwersytecie — podobno dosyć lubionym.

„Lecz te Jaszuny, tensam stół, gdzie miesiącami trzema wprzód przy niéj siedziałem, teraz pusty, i tylko przy nim nas czterech, było to tak smutne! Oglądałem się mimowolnie na ściany — potém wszedłem do pokoju, gdzieśmy z nią tyle razy gadali lub czytali — usiadłem na tejsaméj białéj sofie. Potém wróciłem do ludzi — pożegnałem się czule z Janem Śniadeckim i z Balińskim i pojechaliśmy. Każdy idzie w swoję drogę... jak mówi Mickiewicz. Moja otwierała się przedemną smutna, pozbawiona wszystkiego.

„W kilka dni potém byłem w objęciach mojéj matki.

... „Tak się kończy pierwsza część mojego życia. Mam dopiero przy wyjściu z uniwersytetu rok 19, a jednak zdaje mi się, że już tak długo żyłem. Świat uczuć zniknął dla mnie i przez kilka następnych lat żyłem w innym świecie poezyi — w przyszłości. I tych czasów pamiętnik będzie tylko prawie historyą rozwijania się i formowania poezyi, które pisałem"... (Z Przeglądu Polskiego, str. 40).

W Krzemieńcu i na Wołyniu przeciągnął się pobyt Juliusza aż do lutego roku 1829. Przez to całe krzemienieckie więcej aniżeli półrocze, usposobienie poety było czegoś ponure. Jego melancholiczne pragnienia, z których sam nie byłby pewnie umiał zdać sobie dokładnéj sprawy, jego bierna zaduma w sobie, obojętność na tok życia zewnętrzny, bezporadność i niedbałość o przyszłość, wszystko to trapiło matkę. Zdarzały się między nimi chwile jakiegoś wzajemnego niezadowolenia, których reflex odbija się nawet w wspomnieniu owych krzemienieckich miesięcy, zapisaném w pamiętniku parę lat późniéj. Oto, co mówi o tém

w rozdziale tego pamiętnika XIV (Przegląd Polski. str. 43 i następne):

... „Mieszkałem przy matce mojéj w Krzemieńcu jakoby dla odpocznienia po pracach uniwersyteckich, choć prace te były bardzo lekkie dla mnie, i można powiedzieć, że dopiero po wyjściu z uniwersytetu zacząłem pracować, czytać dla nabrania wiadomości. Mackdonnald w Krzemieńcu dawał mi lekcye angielskiego języka, bo w całém Wilnie nie było nikogo, od któregoby się po angielsku nauczyć: profesor dający ten język w uniwersytecie tak je dawał, że sami Anglicy nie poznaliby, jakim on mówił językiem. Mackdonnald dziwił się nad moim postępem — we trzy miesiące już dosyć rozumiałem Byrona. Wziąłem się także do malarstwa i olejno po całych dniach malowałem pejzaże. Pierwsza z tych prac, poranek mglisty na morzu, znajduje się u mojéj matki. Ile razy jednak wstawałem od tych zatrudnień, byłem smutny i posępny. Dręczyła mnie nadewszystko moja matka, zawsze płacząca: było to skutkiem jéj ciągle trwającéj słabości (?). Ta osłabiwszy jéj fizyczne siły, dała nad nimi przewagę imaginacyi, karmionéj ciągle czytanymi romansami. Matka moja od dzieciństwa nigdy się nie zajmowała żadną kobiecą pracą i nauczywszy się po francusku, znalazła w tym języku mnóstwo dzieł, które czytała ciągle. Stąd miała wiele wiadomości — w towarzystwie jéj rozmowa była interesującą, lecz nie tchnęła sawanteryą, bo matka zapominała książki, które czytała, nie mogła więc robić cytacyj; ale koloryt tych książek różnych, smutnych lub wesołych, przydawał ciągle nowego wdzięku do jéj rozmów — tworzyła nieznacznie sobie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl. Miała dar bawienia zebranego u siebie

towarzystwa i postawienia każdéj osoby w jak najkorzystniejszém świetle; stąd każdy z naszego domu kontent wychodził. — Matka moja exaltowana roiła sobie ciągle, że skoro ja skończę nauki, to ze mną na wojaż wyjedzie. Ta myśl jéj była dla mnie niemiłą, bo jak mówiłem już, kochając się w Ludwisi, utworzyłem sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów powieści Byrona. Stąd myśląc o wojażu, myślałem o nim zawsze jako o poetycznéj pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzucony będę. Wszystka zaś poetyczność znikała, skorom pomyślał, że mam podróżować z matką. Byłbym wtenczas jak dobroduszna osoba odprawiająca świętą pielgrzymkę — nic nadspodziewanego, nic dzikiego w mojém życiu... Matka wymagała odemnie ciągłéj otwartości i zwierzania się. To być nie mogło. Wymagała odemnie tego wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i łzy pożerać w milczeniu. Stąd ciągłe jéj skargi i nudzący mnie płacz — i wychowany między kobietami, pragnąłem jak najprędzéj z rąk ich się wyrwać i być samotnym. Matkom trzebaby wmówić tę prawdziwą maxymę, że wszystko co one starań dają swoim dzieciom, dzieci nie im samym, ale swoim kiedyś dzieciom oddawać powinny: jest to dług zaciągniony od rodziców, a dzieciom wypłacany. Stąd uważałem, że kochani niegdyś przez rodziców ludzie najwięcéj dzieci swoje kochają...

... „Nudziłem się bardzo przez to całe pół roku w Krzemieńcu. Przez całe wieczory chodziłem po osobnym pokoju — i myślałem... Marzyła mi się wtenczas jakaś tragedya o Mahomecie. Chciałem go wystawić zakochanego w córce swojéj Fatymie, tak jak to nam historya opowiada: zazdrość Aishy jego żony — przy-

wiązanie Alego do Fatymy, miały stanowić intrygę. Mahometa miałem wystawić w guście Fausta lub Manfreda, rozmawiającego z duchami. Miałem go wystawić w paroxyzmie słabości czyli choroby, którą cierpiał i wyobrażał sobie, że z duchami rozmawia. O takiej to tragedyi, niepodobnéj do wykonania dla 19-letniego chłopca, marzyłem i wszystkie jéj części rozwijały się w mojéj imaginacyi.

„Matka moja żądała, abym robił cywilną karyerę w Warszawie w którém z biur. Czułem, że ja nigdy nie stanę na wysokim stopniu hierarchii cywilnéj.“

Powyższy przydłuższy ustęp, we wszystkich swoich częściach marzycielowi naszemu wcale i pod żadnym względem nie czyni zaszczytu. To jedno go tylko łagodzi, że był to wyraz jakiegoś chwilowego i chorobliwego wtedy jego usposobienia. A raczéj było to usposobienie rozpieszczonego dziecka. Dalsze życie ukaże go nam w innym stósunku do matki, i będzie on w późniejszych swoich zwierzeniach sądził o niéj zgoła inaczéj! W owych czasach zaślepiała go melancholia i źle zrozumiany Byronizm. — Położenie tamtoczesne matki i syna, po odczytaniu tego opowiadania, stawia nam się przed oczyma zupełnie jasno. Matka pragnęła jedynaka swego widzieć przystępującego niezwłocznie do jakiego praktycznego zawodu — albo chciała mu umilić ten twardéj rzeczywistéj pracy początek podróżą jaką w kraje dalekie w jéj towarzystwie, któréj nadzieją i sama się z dawna cieszyła. Sądzę, że nie były to bynajmniéj tak niepraktyczne i nieuprawnione rojenia, jak je tu Juliusz przedstawia. On przeciwnie do mozolnéj pracy

w biurze nie czuł w sobie żadnéj ochoty — a jeżeli miał podróżować, to chyba już „poetycznie“! A ta jego poetyczność migała mu przed oczyma w ciemnych barwach samotnych pustyń i desperackich Byronowskich postaci. Matka chciała, żeby jéj Julek zaczął myśleć nad sobą — Julek w samotnych pokojach wolał marzyć o Mahomecie. A ponieważ na dobitek zamykał w sobie przyczyny, dlaczego tego wszystkiego nie chce, czego matka pragnęła, i przeciwstawiał jéj projektom — nie swoje własne życzenia, ale samę tylko negacyą tamtych: więc nie dziw, że matka nie wiedziała, co o nim myśleć i łzami się zalewała...

Koniec końcem, wola matki przemogła i choć Juliusz, jak się wyraża, przeczuwał, że nigdy na wysokim stopniu hierarchii cywilnej nie stanie: jednak „dla dogodzenia matce, wchodził w jéj myśl i wkrótce jego wyjazd do Warszawy został postanowiony“.

Jakoż wyjechał z Krzemieńca dnia 15 lutego 1829 roku i we dwa dni stanął w Warszawie.

... „Jak tylko zajechałem do oficera Steina, mieszkającego za miastem, przebrałem się, wziąłem list do znajomego mi dobrze Odyńca i wyszedłem na miasto.“ (Tam zdarzyła mu się zaraz niemiła, choć nieszkodliwa przygoda, którą uważał za niedobrą wróżbę swego pobytu w tém mieście — sanki, którymi jechał, zderzyły się z końmi rozhukanymi, zaprzężonymi do jakiegoś drugiego powozu.) „Uszedłszy cało z niebezpieczeństwa, wsiadłem do innych sanek i szczęśliwie zajechałem do Odyńca. Ten poznajomił mnie z Hrehorowiczem, urzędnikiem komisyi skarbu, Litwinem, i u tego przez 2

miesiące mieszkałem. Wszedłem do biura, zająłem się nudną finansową pracą i przy zielonym stoliku Komisyi skarbu większą część dnia przepędzałem. Pamiętam, że mnie wtenczas jakaś rozpacz ogarnęła: zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tém biurze pracować.“ (Przegląd Polski, str. 45.)

Ministrem skarbu w ówczesném Królestwie Polskiém był książę Lubecki. Pod jego to zatém stérem zaczął Juliusz urzędowanie, na razie jako bezpłatny aplikant. Książę, gdy mu się przedstawił, przyjął go dobrze i był już korzystnie uprzedzony co do jego osoby. Przyobiecał mu swoję protekcyą i w rzeczy saméj okazywał się zawsze dla Słowackiego życzliwym. Sekretarz biura, do którego przydzielono poetę, nazywał się Miniewski, „który mnie zaraz od innych towarzyszów odróżnił i dawał mi uczuć, że mnie za najzdolniejszego uważał“. Bezpośredniego zaś naczelnika swojego miał Słowacki w osobie Dominika Lisieckiego, znanego w literaturze tamtoczesnéj pisarza z nieźle dokonanych tłómaczeń niektórych autorów francuskich. Był to zwolennik klasycyzmu, mianowicie wielbiciel Kornela i Woltera, którychto właśnie w latach młodszych przekładał, ale miał zmysł i dla nowszych pojawów literatury. Zaczém poszło, że spolszczył i Lamartina utwory niektóre, a wreszcie i inne rzeczy, np. Nieszpory Sycylijskie Delavignego. Ta żyłka poetyczna dyrektora wydziału ułatwiła Juliuszowi serdeczniejsze zbliżenie się do niego. Zawiązały się tedy między nimi przyjacielskie stósunki, tyle pożądane dla niedoświadczonego młodzieńca, rzuconego w sam wir nieznanego mu świata i obcych

zgoła żywiołów. Za jedną znajomością poszły i drugie. O Odyńcu, znajomym mu z wileńskich jeszcze czasów, jużeśmy wyżéj wspomnieli. Odyniec bawił wtedy od lat już kilku w Warszawie; jako poeta zażywał pewnéj wziętości, dawszy się poznać publiczności z rozmaitych wierszy i ballad, których zbiór we dwóch tomach był wydał jeszcze roku 1825. Jego Izora także już wtedy była znaną — wyszła w roku 1828. O ile wnosić z listów, późniéj już z emigracyi pisanych, musiał mieć Juliusz jakąś znajomość w Warszawie i ze Stefanem Witwickim. Ale nie przypadli sobie jakoś do serca — przynajmniéj Słowacki zawsze o nim wspominał z lekceważeniem i w sposób, który przekonywa, że go nie lubił. Czy znalazł jaką sposobność zbliżenia się do Brodzińskiego, tego powiedzieć nie umiem. Również niepewną jest rzeczą, czy się widywali z Lelewelem, choć go dobrze znać musiał z wileńskich jeszcze czasów.

Najwięcéj wrażenia sprawił na nim Niemcewicz, sędziwy patryarcha pomiędzy całą ówczesną intelligencyą warszawską, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeden z najpopularniejszych ludzi nie tylko w stolicy, ale i w całym narodzie. Złożył mu Słowacki pierwszą swoję wizytę w jego wiejskiém mieszkaniu w Ursynowie, małéj pod samą Warszawą wioseczce, która jak wiadomo, była aż do roku 1831 Niemcewicza własnością i jemu téż zawdzięczała tę nową swoję nazwę. Zawiózł tam Juliusza do niego hr. Tomasz Potocki. Było to w miesiącu wrześniu 1830 roku. Ponieważ to pierwsze zbliżenie swoje do czcigodnego starca sam on szczegółowo matce w dni kilka potém li-

stownie opisał i list ten — jedyny z przedemigracyjnych czasów — odszukany został pomiędzy papierami poety, miło więc pewnie będzie czytelnikom moim odczytać tu dosłownie z niego cały ustęp dotyczący rzeczonéj okoliczności.

...„W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin. Wymówiłem się z tém kiedyś dawniéj przed jednym z moich znajomych, i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie szampanem. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona — kawony — melony Wołyń mi przypominały i jeszcze bardziej dopomagały illuzyi. — W kilka dni potém, jednego poranka przyjechał do mnie Potocki, prosząc żebym z nim jechał do Ursynowa, maleńkiej wioseczki Niemcewicza. Muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek — trochę zimny — i mgła lekka jesienna pokrywała rozległe i piasczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśny. — Nareszcie stanęliśmy u celu podróży — pojazd nasz zatrzymał się w alei, w któréj z daleka widać już było dom poety — nie kazaliśmy jechać daléj, bo Niemce-

wicz stał przed gankiem — podobnie więc jak L. do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszoném. Przywitał nas dosyć obojętnie — zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle! pomyślałem sobie, na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? Szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. — „Panie Hrabio, rzekł do Potockiego, wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach — ja się muszę tymczasem przebrać.“ To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. — Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza. Z téj krowy, jak mi sam mówił — ma dwa złote na tydzień przychodu Przyszliśmy wkrótce do małéj altanki z kory, na któréj wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać każe przez skromność. Usiadłem w altanie — Potocki stał nademną, a widząc że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. Myślą odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz — słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem! Szczęśliwy... odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie! — Wtém lokaj przysłany od Starego zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!... Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na saméj tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe dziewczynki; są to córki jego ka-

merdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: „Pan jesteś tak głupi, jak ja“ — a stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. — Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę — kazał się jednéj dzeiwczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: kto jesteś? — odpowiedziała: żona Panowa. Potém kazał im odejść i cicho się sprawować. Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedyi Mindowe. Na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiéj sceny, w której Mindowe zrywa z Krzyżakiem: obrócił się nagle — czoło jego pomarszczyło się — widać było znacznie natężoną uwagę — patrzał mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare przenikliwe i wielkimi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiéj sceny wykrzyknął głośno: ach! czemuż téj tragedyi grać nie można! Ten wykrzyknik bardziéj mi pochlebił, niż wszystkie potém dawane pochwały. — Czytałem daléj — słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma.“ Potém dodał: „przepisz Pan tę tragedyą na kilka rąk — warto, niech czeka szczęśliwszych czasów!... Chciałbym ją całą czytać“... Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą — a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: — „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ — Prawda, jak to po staropolsku?“

Z powyższego listu wynika, że miał tedy Juliusz i w Warszawie przyjaciół, którzy mu dawali serdeczne dowody życzliwości, i że zdarzały się chwile, które go przenikały uczuciem szczęścia. Jednak w ogóle stolica nie podobała się naszemu poecie. Zrażało go do Warszawy szczególniéj to, iż przywykły do pięknych okolic Wilna i Krzemieńca, tutaj już nie znajdował nic podobnego. Często o tém w późniejszych nawet listach wspominał. Dla zwyczajnego człowieka takie względy są obojętne — w oczach poety ma to ważność niemałą. Prócz tego nie mógł też Słowacki zasmakować w téj suchéj biurowéj robocie, która z obowiązku miała stanowić pierwszorzędne jego zajęcie, zwłaszcza że go późniéj zaprzątano samymi prawie pracami mechanicznymi, t. j. kazano po prostu przepisywać. Drażliwy umysł Juliusza przyjmował to jako umyślne upośledzenie, które miało być następstwem jego nie dość dostojnego położenia towarzyskiego. Uważał zaś to sobie za tém dotkliwszą krzywdę, że wszakże pracował w biurze równie bezpłatnie, jak ci wszyscy, którzy byli protegowani... — „Mój wielki niegdyś protektor — mówi uszczypliwie o księciu Lubeckim w jednym z późniejszych listów — zaraz mi chciał dać pensyą: nie przyjąłem jéj. Cóż to pomogło? byli tam hrabiowie — ja przepisywałem!... Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem“...

Tymczasem nadeszła jesień 1830 roku, a z nią i koniec listopada, i wypadki listopadowe. Wywarły one zaraz w najpiérwszéj chwili na Słowackim

wstrząsające wrażenie. Dał się porwać tym entuzyazmem, który całą ówczesną ludność stolicy, a mianowicie młodzież ogarnął. Wyrazem tego usposobienia było kilka lirycznych jego utworów, jako to: Oda do Wolności, Hymn do Bogarodzicy, Kulik, wreszcie Pieśń Legionu litewskiego, które tak ściśle rymowały z powszechnym zapałem w chwilach owych pamiętnych. Obiegając w licznych odpisach, podawane z rąk do rąk — oneto dopiero rozsławiły w szerszych kołach imię nowego poety, którego talent znali przedtém najbliżsi tylko znajomi. Ogłaszane w pismach peryodycznych, a niektóre drukowane i w osobnych broszurach *) — pieśni te stawiały Słowackiego w obec całego kraju w szeregu idących przodem, powołujących cały naród do czynu...

Po upływie atoli pierwszych tygodni listopadowego powstania, zaczęły owe pełne ognia popędy u niego stygnąć i ustępować miejsca innym znowu uczuciom. Nadzieje z razu tak jasne, zaczęły się u niego ćmić i osłaniać chmurami — trudno wyrzéc stanowczo, czy chmurami trwogi o przyszłość kraju, czy tylko osobistego wstrętu do

*) Tak na przykład wyszła osobna broszura pod tytułem „Oda do Wolności i Hymn przez Słowackiego. W Warszawie w drukarni stereotypowéj przy ulicy Królewskiéj w pałacu Dembowskich Nro. 1065 roku 1830.“ Format ćwiartkowy, stron 8 i 2 nieliczbowane. Tę Odę do Wolności zamieściłem w III tomie Pism pośmiertnych. Hymn (do Bogarodzicy) jest w edycyi lipskiéj. — Również znany mi jest jako osobne pisemko: „Kulik Polaków przez Juliusza Słowackiego. Warszawa, 1831.“ 8o, stron 8 nieliczbowanych. — To więc były najpierwsze poety naszego publikacye.

wszystkiego, co się tam działo. Zwątpienie, niesmak, niemożność jakaś dłuższego wytrwania wśród stósunków, w jakich się widział, brały odtąd coraz więcéj górę nad excentryczném usposobieniem poety. Przyszło nareszcie do tego, że powziął, już na początku marca, stanowczy zamiar porzucenia Warszawy. Jakoż zaopatrzywszy się w formalny pasport ze strony ówczesnego rządu polskiego, rzeczywiście wyjechał za granicę dnia 8 marca 1831 roku.

Był to krok, który jak się okazało późniéj, miał być w życiu jego nieobliczonego znaczenia. Owa to chwila, ów wyjazd tak rychły z kraju, rozstrzygnął nie tylko o całém dalszém życiu jego jako człowieka, ale i o powodzeniu jego w zawodzie, któremu całe szczęście osobiste poświęcił, w wzniosłym zawodzie poety... Gdyby Słowacki był pozostał w kraju: lutnia jego byłaby niezawodnie strojniejsza, niebo jego poezyi byłoby niewątpliwie mniéj chmurne. I cóż go to wyprowadziło z ojczyzny? Co go rzuciło na niepewne fale wygnania? Dlaczegoto przyszło jemu rozpoczynać już wtedy owo bolesne życie bez celu, wśród żywiołów obcych, w okolicznościach, które tak rychło zdarły z oczu jego wszelkie illuzye, które jakkolwiek ułudne, przecież niezbędne są człowiekowi, ażeby sobie nie obrzydził tych znikomych kształtów istnienia? Czyż mu przewodniczyła, kiedy się na tułactwo sam wskazał, owa myśl podnosząca i wielka, która w kilka miesięcy późniéj tylu innych miała prowadzić na zachód? Czy szła przed nim ta gwiazda wiary, że to jeszcze jedyny, że to ze wszystkich, jakie były, ostatni sposób

spełnienia w obec świata i Boga obowiązku, najwznioślejszego na ziemi? — Nie! W téj myśli Słowacki z krajem się swoim nie żegnał. Byłaż to zatém tylko chimera fantastyczna, która go pchnęła w nieznane obszary świata, zaludnione ideałami nieokreślonych pragnień? Albo wreszcie może kazało mu tak sobie postąpić życzenie matki, trwożnéj o swego jedynaka wśród niebezpieczeństw otaczającéj go wojny?...

Na te pytania trudno odpowiedzieć stanowczo.

Pierwszy list Słowackiego z zagranicy pisany od takich się słów zaczyna:

„Kochana Mamo! zadziwisz się zapewne odbierając odemnie list datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanéj Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę"...

Z tych słów zdawałoby się wynikać, ze zatém matka to kazała mu oddalić się z Warszawy. Ale dodatek, że się to życzenie matki i z jego chęcią zgadzało, nasuwa przekonanie, że mieć musiał Juliusz jednak i inne jeszcze, swoje własne powody do wyjazdu za granicę. Nakoniec i życzenie matki musiało być chyba kiedyś tam dawniéj i bez żadnéj nalegliwości, więc nawiasowo tylko wypowiedziane, kiedy tak daléj ciągnie Juliusz zdanie to na początku listu owego stawione:

„I teraz z wielkim strachem oczekuję listu od Mamy, czy Ci się mój wyjazd podoba, czy nie." (Z listu z dnia 17 marca 1831 roku, pisanego z Wrocławia).

Daléj w tymże liście spotykamy znowu takie wyrazy:

„Wyjechałem w podróż 8 tego miesiąca — wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam: i teraz jeszcze często się kłócę z mojém sumieniem“...

W liście następnym (z dnia 12 kwietnia) powraca znowu do dziwnego wyjazdu swego z Warszawy i tak się tłómaczy:

„W biurze nie było żadnych widoków — nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane, z powodu... Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci. — Los jakiś rządzi moją karyerą i widzę, że zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał“...

W innych miejscach korespondencyi jego z owych miesięcy spotykają się wyrażenia, które dowodzą, że mu żal, że go nawet wstyd było, że wśród takich okoliczności, jak ówczesne, wydalił się z Warszawy. Były chwile, gdzie się wahał, czyby nie wrócić... Zdaje się, że i rodzina w Krzemieńcu z frasunkiem i nieukontentowaniem przyjęła wiadomość o tém. Do matki pisał Juliusz (dnia 6 lipca 1831 roku):

„Dzięki Ci Matko, za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano. Może potém znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte. Ale przyjdzie chwila“...

Wujowi zaś swemu, który snać tę ucieczkę Juliusza czy żartem, czy seryo kładł na karb nieodwagi albo wstrętu do służby w wojsku, odpowiedział, jak następuje:

„Teofilu kochany, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem — nie mogłem być użytecznym Ojczyźnie“...

Wszystkie te ustępy z listów Juliusza sprawiają w pierwszéj chwili wrażenie, jakby mu ciężyła na sumieniu jakaś wina upokarzająca. Wyjazd jego z Warszawy wygląda jak tajemnica, na dnie któréj ukrywa się coś, czego niemiło nazwać po właściwém imieniu. Pozory wszystkie mówią przeciwko niemu. Jakkakolwiek była to sprawa, która go spowodowała do porzucenia kraju, w takiéj chwili, w jakiéj go rzucał: w każdym razie było to coś, z czém nie do twarzy autorowi Bogarodzicy i Kuliku...

Taką się ta rzecz wydaje, jeżelibyśmy sądzić o niéj mieli wedle pozorów. A jednak —

Ja nie mam pod ręką bezpośredniego faktu, na mocy którego mógłbym tu stanąć w obronie Słowackiego. Rzetelny powód jego wyjazdu pozostał tajemnicą na zawsze. Zdaje mi się jednak, że przenikam tę tajemnicę. Była to okoliczność, która raczéj zaszczyt sercu poety przynosi, aniżeli żeby miała ujmę czynić jego charakterowi. Pomimo tego jednak tak się wtedy rzeczy składały, że nie mogła ona żadną miarą być powiedziana ani matce, ani krewnym.. Powody słuszne nie dozwalają mi zagadki téj wytłómaczyć już w tém miejscu. Znajdzie ją czytelnik dopiero wyłuszczoną między zdarzeniami z roku 1832. Gdybym to, co tu mam w myśli, wypowiedział już teraz: wyglądałoby to na luźną tylko hipotezę i na nic więcéj. W tamtym rozdziale

domysł mój się okaże podparty tylu przemawiającymi za trafnością jego okolicznościami, że zdaje mi się, iż nikt o istocie prawdy wątpić wtedy już nie potrafi.

Bądź jak bądź, tymto więc krokiem, tym wyjazdem wczesnym z Warszawy, Słowacki w 22 roku życia zamknął nierozmyślnie pierwszą połowę zawodu swego na ziemi. Pierwsza ta życia jego epoka, spędzona na ojczystéj ziemi — upłynęła mu między swymi, pośród stósunków normalnych i godzi się dodać: pod wielu względami nader pomyślnych. Od owéj chwili poczęła się epoka druga: wygnanie, poniewierka między obcymi, wieczna tęsknota do ojczyzny, nieustająca świadomość czczości życia bez celu, gorzkie zawody na każdym kroku, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem — i ten cały długi szereg trujących cierpień, z jakich się splata smutna dola tułacza. Takie to życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego zgonu! Czy exystencya wśród takich okoliczności wpłynęła na podniesienie téj potężnéj poetyckiéj zdolności, jaką go obdarzyła natura — to się okaże w dalszych rozdziałach.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster — Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatra — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obiecująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie.

Od pierwszéj chwili wydalenia się Słowackiego z kraju, rozpoczyna się jego korespondencya z matką. Korespondencya ta regularna, szczegółowa, prowadzona bez przerwy aż do ostatnich dni życia, leży w całéj zupełności przedemną. Od téj pory możemy tedy iść za poetą krok w krok i nawet własnymi jego słowami opowiadać o niejedném zdarzeniu.

Wyjechał z Warszawy dnia 8 marca 1831 roku. Wyjechał smutny i bez żadnych złudzeń co do sprawy publicznéj.

„Nudną miałem drogę — pisał w pierwszym liście, z dnia 17 marca datowanym z Wrocławia — czas dosyć brzydki. Wyjechałem w nocy — smutno mi było — zdawało mi się, że uciekam; teraz jeszcze często się kłócę z mojém sumieniem. Mamo moja, śliczny kraj opuściłem, i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“...

Jechał właściwie ku Dreznu, ale trzeba było przejeżdżać przez terytoryum pruskie. Kiedy się przez granicę przeprawił, odebrano mu pasport, który miał wystawiony od rządu warszawskiego, i kazano zatrzymać się w Wrocławiu, obiecując dać nowy pasport, pruski. Czekając na ten dokument, przepędził Słowacki w Wrocławiu dwa tygodnie i dni kilka pod ścisłym policyjnym dozorem. Stał w hotelu *Goldene Gans* i nudził się w tém mieście niemiłosiernie; do czego się w części przyczyniała i ta jeszcze okoliczność, że prawie wcale nie znał języka niemieckiego.

„Nie lękajcie się jednak o mnie (pisał żartobliwie w jednym z swoich listów ówczesnych); mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść, zaglądać do rozmówek, jak nasz poczciwy Kł. A propos rozmówek, książeczka, którąś mi kochana Mamo przy moim odjeździe z Krzemieńca da tłumoka włożyła, nieraz mi tu usługuje; ale uczę się pierwéj frazesu, a potém go recytuję w książeczkę nie patrząc. To jest bardziéj honorowo“...

Wreszcie dano mu pasport pruski, wystawiony do Francyi. Słowacki wyjechał jednak do Drezna, w zamiarze dłuższego tam zatrzymania się. Przy-

był do Drezna w sam Wielki piątek. Stanął w hotelu pod złotą Koroną. Pierwszém miejscem, do którego się za przybyciem do miasta udał, był kościół.

„Zaraz wyszedłem na miasto — pisze w liście z dnia 12 kwietnia — albowiem mówiono mi, że w katolickim kościele ma być ładna muzyka. I słyszałem śpiewy. Trafiłem właśnie na psalm śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju — wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednéj trójkąt obstawiony palącymi się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie... Po obiedzie znowu wyszedłem na miasto, w nadziei, iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca.*) Błądząc różnymi drogami, zachodzę na wielki rynek. Spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię — Baldiniego; nad drzwiami napisano: Café de l' Europe.

*) Odyniec przedtém mieszkał w Warszawie i tamto się z nim, jak już wyżéj nadmieniłem, ściśléj zaprzyjaźnił Słowacki. W roku jeszcze 1829 puścił się atoli autor Izory razem z Mickiewiczem w podróż do Włoch. Zimę z 1829 na 1830 przepędzili razem w Rzymie. W maju (1830) zrobili wycieczkę do Neapolu, a stąd zwiedzili i Sycylią. W ciągu lata zwrócili się do Włoch północnych, a wreszcie nawiedzili Szwajcaryą, tak iż w sierpniu już stanęli w Genewie. (Tu pierwsza znajomość Mickiewicza ze Zygmuntem Krasińskim). W wrześniu dopiero czy październiku (1830) rozstali się ze sobą obydwaj towarzysze podróży. Mickiewicz powrócił znowu do Rzymu, któreto miasto dopiero w r. 1831 na wiosnę opuścił, a Odyniec prosto z Genewy udał się do Paryża. Po upływie kilku miesięcy spędzonych w Francyi, przeniósł się do Niemiec i już od początku 1831 r. stale przemieszkiwał w Dreźnie.

Ha! myślę sobie, Odyniec musi być w Europie .. Wchodzę na pewno, i za pierwszym rzutem oka spostrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie To Czatyrdach? odpowiedział Aa!...*) I nie przez jedno tylko Aa!... wyraził niepospolite zadziwienie. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania, i zaraz wziąwszy się za ręce, poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swojego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancyą, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, że mi tu za darmo przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o pięciu oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyniec, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, tylko trochę zapyloną; słowem że mogę wieczorami lampę zapalać i byronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach dać wam wyobrażenie, donieść muszę, że oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność patrząc na ładną córkę mojéj gospodyni. Panienka mówi po francusku, i ładnie gra na fortepianie. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i was wszystkich przypominają"...

Cały ton tego listu przekonywa, że pierwszy czas pobytu w stolicy saskiéj nie był dla Juliusza zbyt przykry.

„Bardzo mi się to miasto podoba, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony byłem po pięknych okolicach; tutaj zaś są prześliczne"...

*) Zakończenie jednego z najpiękniejszych Sonetów Krymskich Mickiewicza.

Oprócz Odyńca znalazł w Dreźnie kilku innych jeszcze rodaków: Platera, Chwaliboga, Mikulicza; pannę Czacką, dobrą matki swojéj znajomą; Komara, Generałową Dąbrowską, panią Szymanowską z domu Poniatowską i t. d. Niektórzy bawili w Dreźnie z całymi rodzinami i byli już znani Słowackiemu z Warszawy. Szczególniéj uprzejmie był przyjmowany w domu pani Dobrzyckiéj.

„Poczciwa ta staruszka Polka — są własne słowa Juliusza — ma córkę, która jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem Bogarodzica, przyjęła mnie z otwartymi rękoma, a nad moim Kulikiem, którego jeszcze nie znacie — płakała“...

W towarzystwie poufalszych znajomych robił wycieczki do saskiéj Szwajcaryi i przeglądał celniejsze ciekawości drezdeńskie. *Grünes Gewölbe* nie sprawiło na nim takiego wrażenia, jak mu to obiecywano.

„Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu, tak że mi nic nie pozostaje w pamięci. Ostatnia tylko sala mocno mnie zajęła. Widok tylu brylantów razem zgromadzonych nosi na sobie cechę jakiéjś wielkości, jako szczególny swoim rodzaju... Ciekawszym jest daleko zbiór zbroi starożytnych *(Rüstkammer)*; znajduje się w nim dwóch rycerzy na koniach, doskonałe dających wyobrażenie o ówczesnych walkach. Widzieć to dla poety i dla malarza bardzo potrzebne... Śliczne są okolice Drezna! Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon Angielka zaprowadziły mnie do Brysnitz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni podobnéj do chłodnika Tetydy w Zofijówce.

Byliśmy zawieszeni nad Elbą. Z drugiéj strony rzeki śliczne równiny, z prawéj strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącém słońcu paliły się jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie, i kilka czółen rybackich. Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas pomimo etykiety słowa do dam nie przemówiłem... Najczęściéj chodzimy z Odyńcem do Wielkiego Ogrodu na spacer; dziwimy się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa, z cygarem w gębie. Gdzie się tylko zbliżyć do tłumu, wszędzie o nas gadają, i lubią nas. Gospodyni, u któréj mieszkam, i córka gospodyni także bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domie — druga, iż jeżeli by chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości"...

Wśród takich tedy rozrywek i zajęć płynął mu czas w Dreźnie — na pozór niby dosyć przyjemnie. Wieczory przepędzał w towarzystwie, albo też na operze włoskiéj, w któréj bardzo smakował. Dni zapełniał pracą, jeżeli go nie odrywało od niéj zwiedzanie jakiéj pięknéj okolicy lub różnych miasta tego osobliwości. Praca jego ograniczała się w owych tygodniach do samego czytania, gdyż to było lato. Trzeba zaś wiedzieć, że była to już taka jego właściwość, iż dopiero z jesienią poczynała się dla niego pora popędu do pracy twórczéj. Przez wiosnę i w ciągu lata (podobnie jak niegdyś Kniaźnin) nie czuł w sobie żadnéj chęci do pisania, i nie przymuszał się też do tego. Było mu to

właściwe przez całe życie i często też o tém i sam później wspominał. I wtedy także pisał te słowa do matki: — „Przeczytałem wiele ważnych dzieł. Nic teraz nie piszę — to mój zwyczaj w lecie“...

W gruncie rzeczy wszelako było już i w owéj porze niejedno, co mu zamącało tryb życia, pozornie tyle uprzyjemniony. Żal, że się wydalił z kraju, trapił go ciągle, i to z biegiem czasu w coraz wzrastającéj progresyi. W pierwszych dniach bytności swojéj w Dreźnie wyrażał się tylko: — „Źle jest trochę, żem wyjechał za granicę... Przez czas jakiś miałem zamiar do Was powrócić“... Ale już w półtora miesiąca późniéj (dnia 6 lipca) znajdujemy natomiast owe już wyżéj przytoczone utyskiwania:

„O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano... Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyryte — ale przyjdzie chwila!“...

Drugie, co go wielce dręczyło, to niespokojność o to, co się tam dzieje z matką i całą rodziną.

„Gdyby nie ta niespokojność, która mnie dręczy o Was, kochani moi, byłoby mi bardzo dobrze w Dreźnie“...

Wyrozumiemy ten zabijający niepokój, jeżeli uprzytomnimy sobie stósunki, w jakich oni tam wtedy żyli. Słowacki wyprawiał do nich list za listem, a nie odbierał od nich przez długie czasy ani litery. Przez całe cztery pierwsze miesiące

od chwili wyjazdu swego z Warszawy, nie otrzymał ani jednego słowa od matki! Tymczasem wiedział aż nadto dobrze o niebezpieczeństwach, jakie im groziły i ze strony grasującej właśnie na Wołyniu cholery i z powodu wojny, która z wszystkimi swymi okropnościami zdawała się wisieć już po nad prowincyami owymi.

A trzecia troska była o siebie — o swoję własną przyszłość, o któréj nasz dobrowolny tułacz nie umiał sobie utworzyć ani nawet wyobrażenia... Natura jego, skądinąd tylu uposażona darami, ale nad wszelki wyraz niepraktyczna — cała przeszłość jego, przebyta pod kierunkiem życzliwéj bo macierzyńskiéj ręki, lecz zawsze ręki obcéj, więc biernie: wszystko to stawiało teraz biednego tego młodzieńca na rozdrożu, na którém radzić sobie nie umiał. Z otuchą podjąć walkę życia, ażeby przezwyciężyć trudności: — to było nad jego siły. — „Napiszcie mi, co ja mam robić? gdzie się obrócić? jaki jest stan naszych interesów?“ — oto takimi słowami przemawiał on do rodziny, w zupełnym braku wiedzy, co z sobą począć. Stan interesów, o który się dopytywał, byłby bardzo pomyślny, gdyby byli oboje z matką mogli żyć razem i tworzyć dom tylko jeden; a w razie rozłączenia, gdyby były choć widoki, że Juliusz zajmie z czasem stanowisko, którego korzyści przyjdą w pomoc dochodom z prywatnego majątku. Ale widoków już takich teraz nie było. Sława literacka wprawdzie uśmiechała się do niego, choć w pewnéj jeszcze oddali; ale na materyalne korzyści z tego tytułu, w okolicznościach jak ówczesne, bynajmniéj liczyć nie było można. Otóż, co mu szczególniéj

odbierało otuchę. Wprawdzie miał żyć z czego chwilowo, gdyż mu matka dostarczała, czego potrzebował na utrzymanie. Ale myślał sobie, co będzie daléj?

Były tedy przyjemne, ale też były i gorzkie, a nawet bardzo gorzkie chwile w owém drezdeńskiém życiu młodego emigranta i pozostały też tego ślady w korespondencyi. Tak na przykład po pierwszym liście nareszcie odebranym od matki, pisał jéj między innymi, co następuje:

„W przytomności Odyńca czytałem list Twój, kochana Mamo. Nie mogłem się wstrzymać od płaczu, czytając list o Twoim nagrobku. Ponieważ łzy te miały świadka, nie chcę ich zataić, tak jak wiele innych łez, wylewanych samotnie"...

Koniec końców, w lipcu (1831) zaczął pisać Pamiętnik szkolnéj swojéj młodości, z któregośmy wyżéj przytoczyli kilka ustępów, a obok tego układał sobie dalszy plan życia taki, iż chciał czas jakiś zabawić jeszcze w Dreźnie, a potém z dziwnymi projektami pojechać daléj.

„Wyjadę przez Szwajcaryą do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił H. za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszém obchodzić się będę starał. Przyjemność zaciszy wszystkie mi przyjemności zastąpi — czuję że mi jéj potrzeba"...

Rozpaczliwe postanowienie! pomyśli sobie czytelnik. I poeta nasz czuć musiał tosamo, skoro przerwał list na tych wyrazach, a nazajutrz, wśród dnia jasnego, tak pisał daléj:

„Niech Was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem; albowiem pisałem to wieczorem, a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzo by mi było dobrze w Dreźnie“...

Kiedy się zatém tak bił z myślami i układał sobie wyjazd na południe, nastąpić mający za kilka dopiéro miesięcy: zaszła nagle okoliczność, która go rzuciła nie na południe, lecz na zachód i północ; i nie za kilka miesięcy, ale natychmiast. Całego więc pobytu Słowackiego w Dreźnie było tylko 4 miesiące niespełna.

„Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie, i z rana zapijałem niemiecką kawę. Wtém drzwi się otwierają, wchodzi nieznajomy Jegomość i powiada mi, że przywozi listy z kraju, z którymi jak najprędzéj do Paryża i do Londynu mam jechać.“ (Były to zatém listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznéj do rządów francuskiego i angielskiego. Do listów dołączono i fundusz na podróż, co wszystko Słowacki opisywał matce w dalszéj osnowie listu figurycznie, ażeby jej nie skompromitować. Ten ustęp pomijamy. Daléj pisał tak:) „Zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą, i tak w trzy godziny po odebraniu listów, extrapocztą ruszyłem do Paryża. Wszystko koło mnie mijało jak cienie latarni czarnoksięskiéj — podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcéj od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem — płaciłem po królewsku! O godzinie 12 w południe wyjechałem z Drezna — nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26 byłem w Wejmarze — interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem po-

bytu Göthego — bardzo ma ładną postać... Przez noc przejechałem przez Erfurt — Saxgotha — a nad rankiem piłem kawę w Eisenach... Śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego daléj prowadzi między ogromnymi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę, dla naprawy powozu — znalazłem tam w oberzy chłopca, co pisze historyą teraźniejszéj wojny — czyli biografią generałów — bardzo dobrze. Dnia 28 z rana byłem w Frankfurcie, tam bawiłem godzinę dla zmienienia moich wexlów. O południu byłem w Moguncyi — śliczny Ren — jaka szkoda, że na niego dłużéj popatrzeć nie mogę!... Potém przeleciałem śliczne prowincye reńskie — dnia zaś 29 wieczorem wjechałem do Metz. Co za przepyszny widok! Miasto uilluminowane, jako rocznica rewolucyi francuskiéj. Lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes do Prefekta Departamentu — był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kołnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którém byłem przyjęty. Krótki interes, który miałem do Prefekta, odbywszy pojechałem daléj. Szkaradna Francya — miasteczka gorsze od naszych miasteczek — nędza!... W południe minąłem Verdun — wieczorem w Chalon sur Marne złamał mi się powóz — zostawiłem go tam i kazałem przedać na rzecz składek zbieranych. 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postylion mój wiózł mnie najpiękniejszymi ulicami, i jemu winienem, żem widział Paryż. Zajechałem do pani L. P. Prosiła mnie, żebym poszedł spać. Usłuchałem jéj rady i przespawszy cztery godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim

traktyerze. Prawda że z pożytkiem wojażuję?... O godzinie 5 wieczorem już siedziałem w chaise de poste i leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uilluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety. Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętéj pamięci S.) oprócz powtarzam, że tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kołnierza od płaszcza. Wszystkiemu temu winno cygaro, odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę — ale nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnéj tego drogości w Londynie. Ale wróćmy do podróży. Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, to jest 1 sierpnia, przejeżdżałem przez Boulogne sur mèr — widziałem morze — przyjemne przypomnienie Odessy. O 11 godzinie w nocy wjeżdżam do Calais — z Paryża mil 37. Śliczny ten widok latarni morskich, bo każda inaczéj się pali dla rozróżnienia. Stanąłem w *hôtel de Bourbon*. Okropnego mi wypłatali figla! Paquetbot à vapeur odszedł bezemnie. Nająłem więc statek, co mnie niezmiernie kosztował, ale za to byłem panem okrętu, i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecznie nająć statek, bo czekać było niepodobna do jutra. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawilon — i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebranym na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. — Śliczna Anglia! murawa zieleńsza, a piasek czerwieńszéj farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona — śliczne miasteczka! Kanterbury jak mały Londynik wygląda. O godzinie 5 z rana dnia 3 sierpnia stanąłem w Londynie"...

Kiedy po tylu trudach podróży i bezzwłocznem oddaniu listów, gdzie należało, rzucił się Słowacki w hotelu na łóżko, nie przebudził się aż na trzeci dzień dopiero, tak był zmęczony! Przebudził się z fluxyą. Ale doznawał pocieszającego uczucia, że i on teraz mógł być pożyteczny sprawie; a doznawał go tém bardziéj, że sprawa ta, jak mu się wtedy zdawało, w skutek interwencyi dworów, do wywołania któréj i on się w maleńkiéj części przyczyniał, miała niebawem wziąć obrot wcale pomyślny. Nie dziw więc, ze znajdujemy też w liście z Londynu wyrazy, jak na przykład te:

„Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiéj wagi — to co było w mojéj mocy. O moi mili, rodzina nasza będzie zdrowa!“...

Będąc już w Londynie, nie chciał go porzucać, nie poznawszy miasta choć powierzchownie; najął sobie tedy na cały miesiąc mieszkanie prywatne wraz z umeblowaniem i wiktem. Płacił za to wszystko razem półtrzeciéj gwinei na tydzień, to jest polskich złotych 105. Przepędził w stolicy Anglii czas od 3 sierpnia do pierwszych dni września. Uczył się języka angielskiego, którego początki były mu już udzielane w kraju. Bywał też często na teatrze i zachwycał się grą sławnego ówczas artysty scenicznego, niezrównanego w rolach zwłaszcza szekspirowskich, nazwiskiem Kean. W ogóle podobał mu się bardzo sposób, w jaki Anglicy przedstawiają tragedye. O teatrach paryskich zdania tego późniéj nie wyrzekł, kiedy je poznał. — Między innymi znajomościami zawiązał też z niektórymi literatami londyńskimi stósunki.

Jeden z nich namówił go do napisania broszury o wypadkach warszawskich, które świat polityczny tyle naówczas zajmowały, a nie były dokładnie znane nikomu z cudzoziemców. Słowacki napisał ją po francusku, Anglik przetłómaczył na angielskie i wydał pod swojém imieniem. Tytuł broszury nie jest mi wiadomy, ani też nazwisko owego Anglika. Przyniosło to naszemu autorowi 50 dukatów dochodu, właśnie więc tyle, ile go pobyt w Londynie kosztował, zliczywszy wszystko. Miał tedy to pocieszające przeświadczenie, że to dłuższe zatrzymanie się jego w Londynie nie przymnożyło matce wydatku, jako i podróż do Anglii także nie zrobiła żadnego uszczerbku skromnym jego funduszom. — Londyn bardzo mu się podobał.

„Wiele miałem w nim — powiada w liście już po wyjeździe z Anglii pisanym (z dnia 10 września 1831 r.) — chwil zachwycających. Przyjemne miasto! Wszedłszy na samę kulę wieży św. Pawła, rzuciłem okiem w około i pomimo niezmiernéj wysokości wieży, z żadnéj strony końca miasta nie było widać. Domy aż za horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków podobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiedziłem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć kąta poetów, który mnie najwięcéj interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowymi kamieniami — i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem za-

stanawiają się, czytając je pod nogami... Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliżéj sławnych ludzi spoczywać"...

Przy końcu pobytu Słowackiego w Londynie przyjechał tam i Niemcewicz (a zatém ku końcowi sierpnia).

„Widywałem się ze staruszkiem — mile od niego przyjmowany. Wyrzucał mi, że mojéj tragedyi litewskiéj (Mindowe) grać nie kazałem. Staruszek trochę chory — smutny — i niepewny przyszłości. Ale Bóg czuwa nad nami"...

Kiedy przyszła godzina wyjazdu i pożegnania się z gospodarstwem domu, jako też z innymi mieszkańcami jego, którzy wszyscy pod tymiż co on warunkami zasiadali z nim razem do wspólnego stołu: miał Juliusz znowu miłą chwilę. Przekonał się bowiem, że i pod obcém niebem, że i w krajach okrzyczanych za materyalne, można znaleść serca poczciwe i niewątpliwe sympatye dla doli narodu, którego był członkiem.

„Nie możecie sobie wyobrazić — powiada — z jakiém wylaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy. Ręka mnie bolała od ściskania się — wszyscy wstali od stołu, co u Anglików jest niesłychaną rzeczą, aby mnie odprowadzić do powozu"...

Podróż jego skierowana była do Paryża, ale nie odbyła się tym razem bez przygód.

„W nocy wyjechałem z Londynu. Nad rankiem stanąłem w Dower — tam cały dzień czekać musiałem

na odejście statku parowego. O 4 po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze. Im daléj płynęliśmy, tém było okropniéj. Calais choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa. O godzinie 10 w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatywały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny czyli do salonu. Dziwny widok, ze czterdzieści osób leżało na sofach i na podłodze — szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem — skurczyłem się i zasnąłem. A jednak pomyślałem sobie przed snem, iż się może gdzie indziéj przebudzę. O godzinie 12 w nocy obudzono mnie rozmową. Dowiedziałem się z rozpaczą prawie, iż do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem. bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go. Znów więc kilka godzin morskiéj słabości. Wracamy do Dower, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał, i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8 z rana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu, miałem więc wyobrażenie burzy"...

Po tych przeprawach, bez żadnych już przeszkód dostał się do Paryża. Przybył tam w zamiarze stałego na czas jakiś zamieszkania — około 6 albo 7 września, i zaraz urządził się we własnym kąciku, po swojemu. Miał, jak mówi w liście do matki, śliczny mały pokoik, z mahoniowymi meblami i marmurowym kominkiem, który mu wielkie przyjemności obiecywał na zimę. Dopytywał się zaraz o znajomych; ale okazało się, że nie zastał tych, których najwięcéj widzieć życzył sobie. Mickiewicz mianowicie i Górecki byli wprawdzie czas pewien przedtém w Paryżu, ale przed

jego jeszcze przyjazdem opuścili Francyą i bawili natenczas w Dreźnie.

Paryż nie zrobił na Słowackim przyjemnego wrażenia; równie i Francuzi wcale nie odpowiedzieli jego oczekiwaniom. Porównanie z Londynem i z Anglikami, które się mimowolnie samo przez się nastręczało, wypadło już w pierwszéj chwili na niekorzyść Francuzów.

„Londyn jest zupełnie oryginalnym, Paryż podobny do innych miast, do Warszawy... W Paryżu piękne pałace i ogród Tuilleryjski z swymi drzewami bardzo piękny; ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernéj murawie rozrzucone olbrzymie drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, i naokoło ogromne pałace z drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim“...

Równie niekorzystnie sądził i o mieszkańcach Paryża.

„Wiele zbiegłem świata — pisał w jednym z późniejszych listów (20 października 1831) — żyłem z Anglikami, bo mi się podobali, z Francuzami nie żyję. Mam do nich jakąś nieprzezwyciężoną odrazę. Taka nieszczerość... i tak wiele gadają! Samotny prawie przepędzam dzień cały“... „Jeden z najmilszych wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem piękniejszego w tym rodzaju. Za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można. Różne drogi krzyżują się w tym lesie — w cyprysach

mnóstwo róż miesięcznych, bladych ale kwitnących wiecznie. Czasem ognistym kwiatem błyśnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie, najczęściéj małe kolumny z białego marmuru. We środku na górze jest mała kaplica. Stamtąd wzrok po murawie, z wierzchołków cyprysowych utworzonéj, spada na dół i z dala w dymie błękitnym pokazuje się cały Paryż ze swymi gmachami. Nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. — Czarne wozy ciągle tam przez główną ulicę przejeżdżają — ale pogrzeby tu bardzo ciche — u nas tak Żydów chowają. — Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami z świeżych i z sztucznych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów. Każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoję boleść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku dopiero trzeba będzie odmienić"...

Takisam wyrok potępiający znajdujemy i o teatrach paryskich.

„Byłem na kilku teatrach — nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedyą. Każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu, na piękne kawałki świszczą — nic nie lubią, tylko małe komedyjki. W każdéj musi być Dej algierski. Tego wiecznie dręczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewillu — zupełnie podobny do S i e d e m r a z y j e d e n. Francuzi rozpływali się"...

Takie to były pierwsze wrażenia, które na naszym wędrowcu sprawiła Francya i stósunki tamtejsze. Z upływem jakiegoś czasu, sądy jego o tém wszystkiém zmieniły się cokolwiek. Pobyt w Paryżu zaczynał być przyjemniejszym dla niego

przynajmniéj o tyle, że nazbierało mu się wiele znajomości — tak między rodakami już dawniéj zamieszkałymi w Paryżu, jak przybywającymi coraz liczniéj dopiero za jego tam bytności — na emigracyą. Został też wprowadzony do domu XX. Czartoryskich i szczegółowo matce w listach swoich opisuje poniedziałkowe u nich recepcye, na których bywał przyjmowany gościnnie. Za jedną znajomością szły drugie. Do hr. Platerów (Ludwikostwa) był zamówiony raz na zawsze na wieczory czwartkowe; oprócz tego pełno w listach jego wzmianek o różnych Polakach, z którymi już w pierwszych miesiącach pobytu swego w Paryżu znajomości albo pozawięzywał albo poodnawiał. Leonard Chodźko, Antoni Górecki, Lelewel, Władysław i Cezary Platerowie, Michał Podczaszyński, Oleszczyński rytownik, Michał Skibicki — oto kilka nazwisk więcéj znanych z pomiędzy większéj liczby rodaków, których znał, widywał i o których w listach swoich wspomina.

Co się tyczy Lelewela, który przybył do Paryża zaraz po upadku powstania i spotykał się ze Słowackim przy różnych emigracyjnych uroczystościach, widzę się tu zmuszonym dodać, że go nasz poeta nie lubił. Wyrażał się w listach o nim zawsze z wielką goryczą. Oto na przykład, co o nim pisał z okazyi rocznicy 29 listopada obchodzonéj w Paryżu w r. 1831:

„Rej wodził na tym wieczorze znajomy niegdyś w Krzemieńcu tancerz, dzisiaj zjedzony przez mole biblioteczne, chudy, z dwoma czerwonymi plamami na policzkach, któremu do ozdoby jeszcze wąsy przybyły“... (Z listu z d. 10 grudnia 1831 r.)

Przy innéj sposobności, z powodu polecenia, które mu przysłano z domu, ażeby się kłaniał Lelewelowi:

„Kłaniałem się — powiada — kutasom u bótów, które mile to przyjęły. Wy je uwielbiacie, szczęśliwi! Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi. Jest to *le prophète voilé de Korasan*, tak go nazywamy ze Skibickim"... (Z d. 7 marca 1832 r.)

Niesnaski podobne pomiędzy pierwszymi naszymi znakomitościami niewarteby były wspomnienia, i chętniebym je był pozostawił „w letejskich zapomnienia falach", gdyby nie okoliczność, że mi się później przyjdzie w rzeczy nader ważnéj do tego, co tu teraz powiedziałem, odwołać. W tym to celu — lubo ze wstrętem — wypisałem powyższe miejsca z korespondencyi Juliusza; i konstatuję niniejszém fakt stanowczéj niechęci, już w owym czasie istniejącéj pomiędzy tymi dwoma pisarzami naszymi.

Stósunki te z emigracyą nie wystarczały jednak idealnym, a raczéj exaltowanym pragnieniom Słowackiego. Źródłem ostateczném takowych była tęsknota do kraju, choć może zupełnie świadomie sam sobie wtedy jeszcze nie zdawał z tego sprawy. Dlatego też usposobienie jego ówczesne bardzo było niejednostajne. Czasem znajdujemy go rozpływającego się w jakichś błogich uczuciach szczęścia i miłości ku ludziom: a były znowu chwile, gdzie go nudziło i ziębiło śmiertelnie całe owo otoczenie jego paryskie. Wtedy sądził o niém z lodowém szyderstwem, z odtrącającém, pogardliwém lekceważeniem! To też oczywiście pozostały i w listach

ślady to jednych uczuć, to drugich. Są wprawdzie miejsca w korespondencyi (zresztą tak rzadkie, iż to śmiało do ustępów wyjątkowych zaliczyć można) gdzie pisał:

„Mamo! Nie śmiem Ci napisać, że mi teraz lepiéj na świecie, niż kiedykolwiek było; bo sobie wyrzucam, że ja mogę być bez Ciebie, kochana Mamo, szczęśliwy! Ale widząc, jak to wielu ludzi teraz lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się swego syna“... (List z d. 7 marca 1832 r.)

Jednakże obok podobnych zwierzeń, daleko więcéj dałoby się przywieść ustępów, w których zupełnie innym tonem przemawia.

„Wiele mam teraz znajomych — pisał na przykład d. 10 grudnia 1831 r.) — ale żadnego miłego, żadnego z którymby mi było żyć przyjemnie. I chciałbym jak najprędzéj wyrwać się z Paryża do jakiego cichego miasta Włoch, żeby samo miasto mogło przemawiać do mojéj wyobraźni; bo Paryż bardzo prozaiczny — szkaradny — ani tak świetny, jak był kiedyś dawniéj. Trzyma mnie w Paryżu jedynie nadzieja, że będę mógł drukować. Ale już tyle moich nadziei na niczém spełzło“...

Albo weźmy inne miejsce (z listu z d. 24 stycznia 1832 r.):

„Towarzystwo moje w Paryżu bardzo się powiększyło. Wielu mam nawet szkolnych kolegów; ale wszystko nie ci, którychbym sobie życzył. Słowem, że

nie mam prawie towarzystwa. *) Życie moje bardzo jednostajne, i gdybym go sobie literaturą nie urozmaicał, nudneby było. Najlepiéj jestem z jednym Anglikiem, z którym często wieczory przepędzam i chodzę na spacer. Temu winienem, iż po angielsku już trzepię, a rozumiem wszystko doskonale. Jedną więc z moich największych przyjemności jest to, jeżeli się jaki romans nowy Coopera albo Walterscota pokaże... Życie moje, jak mówiłem, jest więc bardzo jednostajne: z rana wstaję o godzinie 10 — piję herbatę w domu — potém piszę — potém idę czytać gazety — o czwartéj idę na obiad, gdzie się schodzi wielu Polaków. Tam się zawsze widzę i gawędzę z godzinę z A. Góreckim, dawniéj pierwszym poetą (?). Jest on teraz w Paryżu, przyjechał z Drezna — i zrobił mi wielką przyjemność, przywożąc mi ukłony od ładnéj Saxonki, córki mojéj gospodyni"...

Dwa te wyjątki z korespondencyi wystarczą, ażeby zrozumiał to czytelnik, że Paryż Słowackiego niczém tedy w murach swoich nie więził; i że jeżeli w nim bawił, to tylko w nadziei, że może znajdzie tu dla dzieł swoich nakładcę, albo też jakim innym sposobem te dziecięta duszy swojéj,

*) O owych czasach znajduję w listach E. Januszkiewicza do mnie pisanych taką notatkę:

„Juliusz za przybyciem do Paryża mieszkał na rue Eustachs N° 5 i tam go powitałem. Był wtedy prawie odludkiem. Jedyny bliższy stósunek miał z Lomanem, sekretarzem generała Paca, i z malarzem bardzo lichym Bujalskim, który późniéj szkaradne rysunki do Żmii porobił. A gdy Loman pozwolił sobie z nich żartu, miało przyjść do pojedynku. Skibicki, także bliski jego znajomy (jeszcze z warszawskich czasów) jak skończył — to Panu wiadomo."

jak był zwykł płody swoje nazywać, potrafi wyprawić pomiędzy ludzi.

A było w owym czasie kilkoro już tych dzieciąt w samotnéj Słowackiego pracowni. Dotąd nie miałem jeszcze sposobności powiedzenia choć słówka o autorskich jego zajęciach. I w tém miejscu także jeszcze nie pora rozgadania się o nich. Tyle jednakże nie zawadzi już tutaj mimochodem nadmienić, że zaczął poeta nasz sił doświadczać w tym zawodzie, wymodlonym sobie od Boga, już w rychłym wieku. Z rzeczy napisanych na szkolnéj jeszcze ławie nie pozostało ani śladu, choć było to tam tego pewnie niemało. Co powstało po wyjściu ze szkół — w latach uniwersyteckich i za pobytu jego w Warszawie — z tego dopiero to i owo przechowywał u siebie w tece. Małą próbę téj najrychlejszéj Słowackiego poezyi zamieściłem na czele tomu I pism jego pośmiertnych, których wydanie staraniom moim udało się przywieść do skutku. Dumaukraińska była pisana w Wilnie w r. 1826. Na r. 1827 przypada kilka Sonetów, widocznie utworzonych pod wpływem, a raczej za przykładem wydanych właśnie rokiem pierwéj sonetów Mickiewicza. Cztery z nich dałem w tomie I pośmiertnych pism — piąty, niedawno temu odszukany, znajdzie czytelnik w krakowskim Przeglądzie Polskim (zeszyt lipcowy 1879, str. 36). Zdanie o tym sonecie sam poeta wypowiedział w pięć lat późniéj w Pamiętniku swoim następującymi słowami: — „Wiersze te prawdziwie noszą na sobie cechę sentymentalizmu kobiecego — pachną myszką. Ale wtenczas zdawały mi się bardzo pięknymi. Napisałem jeszcze jedne w podobnym gu-

ście, Nowy Rok, ale tych już nie pamiętam.“ — Z r. 1828 pozostał poemat, dany między pośmiertnymi rzeczami, zatytułowany „Szanfary, ułamki poematu arabskiego“. Dana pod nim własną ręką Juliusza data „Wilno, 1828 roku, 10 lutego“, nie dozwala nam przypuszczać, żeby to był płód przyjaciela jego Ludwika Spitznagla, o którym zrobił Słowacki w Pamiętniku swoim przytoczoną tu wyżéj już wzmiankę, że to jego tłómaczenie poematu arabskiego pod tytułem Szanfary, lepsze daleko od przekładu Mickiewicza, ma i chowa religijnie jako pamiątkę. Spitznagel bowiem odebrał sobie życie jeszcze w r. 1826. Może jednak było to jakie przerobienie, w r. 1828 dokonane, tamtéj kreacyi. Porównanie z Mickiewiczem, który rzeczywiście zostawił wiersz zatytułowany Szanfary, zadziwia. Czy było słuszne? — wątpić należy, ale stwierdzić tego nie można, skoro przekład Spitznaglowski zaginął. Co pewna, to że między Mickiewicza Szanfarym a tym płodem Słowackiego z r. 1828, oprócz tytułu, nie ma zgoła żadnéj wspólności. — Wszystkie te próby wileńskie Juliusza były dość słabe jak na młodzieńca kończącego już uniwersytet, mającego zajaśnieć kiedyś takim blaskiem poetyckiéj potęgi. I Mahomed krzemieniecki, gdyby został wykonany, byłby poronionym utworem. Dopiero w Warszawie zaczął się ten olbrzymi talent raźniéj rozwijać. Do téj pory ściągają się niektóre w jego Pamiętniku zapiski, które tu warto przytoczyć. (Przegląd Polski, str. 46):

„Coraz smutniejszy (w Warszawie), czułem potrzebę samotności. Przeniosłem się na ulicę Miodową

do domu Paca — tu już byłem sam — żadnych nie miałem znajomości. Odyniec wyjechał na wojaż, Hrehorowicz do Litwy. Do mego melancholicznego usposobienia przyłączyła się okropna febra, która co dwa tygodnie nowym nawrotem i coraz mocniejsza wracała. Ta wyniszczyła wszystkie moje siły; okropne gorączki paliły mnie po każdym paroxyzmie, a wtenczas leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić, i wracały zawsze, a krew bijąca w skronie coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy. Powieść moja Mnich jest utworem jednéj z takich gorączek, ale napisana prawie w ośm miesięcy późniéj. Tak przebyłem całe lato (1829)...

„Łatwo pojąć, jak takie nudne życie wróciło mnie do kraju imaginacyi. Siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonymi fizycznymi siłami. W imaginacyi zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem, i raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch (pierwszych) tomach moich poezye w przeciągu półtora roku“...

W szczególności w r. 1829 powstał poemat Hugo i dramat Mindowe. Na r. 1830 przypada Mnich, Arab*), Bielecki, Marya Stuart,

*) Niektóre ustępy Araba sięgają jednak w czasy jeszcze wileńskie. Przytaczam tu z Pamiętnika własne o tém słowa poety: — „Winienem tu jeszcze dodać, że w ostatnim roku pobytu mego w Wilnie zrobiłem jeszcze krok jeden naprzód w poezyi: śnił mi się prawie w rozżarzonéj imaginacyi jakiś poemat wschodni, i ten, choć zbladły przeszedł na papier, jednak zawsze wiele w nim jest kawałków, które i teraz w Arabie umieszczone, są najpiękniejszymi stronicami mojéj poezyi. Taką jest strofa o muszli morskiéj — strofa o ko-

jako też cztery owe wspomniane przezemnie już przy innéj sposobności liryczne jego utwory (Kulik — Oda do Wolności — Bogarodzica — Pieśń legionu litewskiego), zaimprowizowane w skutek politycznych zdarzeń zaszłych na końcu owego roku i ogłoszone drukiem. Na początku r. 1831 powstała pieśń pierwsza Żmii.

To są wszystkie prace lat jego młodocianych, o których powziąć mogłem wiadomość. *) Wnosić

---

ralu — i koniec, gdzie Arab raj dla siebie opisuje. Pamiętam, że ten poemat tak mocno zajmował moję imaginacyą, że często na lekcyach Capellego (profesora prawa rzymskiego) całą godzinę o nim przemarzyłem.“ (Przegląd Polski, str. 41).

*) Właśnie kiedym miał te arkusze pisma mojego (ściąga się to do pierwszego wydania, drukowanego w r. 1866) odesłać już do drukarni, przyniesiono mi numer 32 (z r. 1866) Kłosów warszawskich, w którym zamieszczona jest bezimiennego autora korespondencya z Brukselli, a w niéj szczegóły o odszukanym rękopisie jakichś młodzieńczych poezyi Słowackiego, których między pośmiertnymi poetymego papierami ja nie znalazłem. — „Autor Lilli Wenedy — pisze autor rzeczonéj korespondencyi — zagubił przypadkowo w przejeździe przez Niemcy najpierwsze poezye swoje, pisane w Warszawie 1829 r. Później przez cały ciąg życia napróżno szukał tego rękopisu. Dopiero po śmierci poety, przed niedawnym czasem, dostała się ta książeczka w ręce, które zapewne będą umiały zrobić z niej użytek. Szacowną tę puściznę stanowi niewielki zeszyt (stron 154, format 16kowy), oprawny w czerwony, złocony, safianowy papier, zapisany w całości własną ręką poety, z rysunkami, esami i floresami jego własnéj ręki.“

Na końcu téj książeczki miała się znajdować następująca notatka:

„„Warszawa 15 listopada 1830 r.

„„Oddałem do cenzury, a wkrótce oddam do druku moje wiersze: Maryą Stuart tragedyą, Jana Bieleckiego

jednakże należy, że musiało ich być i więcéj jeszcze, jeżeli choć w części tylko było to prawdą,

---

powieść, Hugona, Mnicha i Araba. Jakiż będzie mój zawód literacki?““

— Niezmiernie ciekawe (mówi daléj autor korespondencyi) są w téj książeczce notatki pod napisem: Wydatki i przychody z dzieł moich:

„„Za wydrukowanie Bogarodzicy zapłaciłem złp. 200. Wypłacili mi księgarze Gałęzowski, Zawadzki i Węcki, Merzbach, Hugues i Kerman, Brzezina i Kenkel — razem wszyscy złp. 141. Straciłem na Bogarodzicy złp. 56.

„„Za wydrukowanie Kulika zapłaciłem złp. 263. Wypłacili mi księgarze złp. 163. Straciłem na Kuliku złp. 100.““

Wreszcie donosi korespondent, że się w rzeczonéj książeczce mieścić mają elegie, melodye, dumania, sonety, urywki i rozmaite drobne wiersze; i udziela w Kłosach na próbę „Piosnkę dziewczyny“, która zdaje się być ustępem z jakiéjś dłuższéj całości.

Skoro tylko (dawniéj jeszcze) się dowiedziałem z pism peryodycznych o exystencyi tego zbiorku poezyi, udałem się listownie do osoby będącéj w ich posiadaniu, prosząc o pozwolenie wcielenia ich do powszechnego zbioru pism Słowackiego pozgonnych, których wydanie tu we Lwowie właśnie się wtedy przeprowadzało. Gdyby tego potrzeba była, ofiarowałem się złożyć i honoraryum, byleby tylko zapewnić tym rzeczom ocalenie, a wydaniu mojemu nadać zaletę istotnéj kompletności. Nie wiem, czy list mój nie doszedł owych rąk, które (jak się autor brukselskiéj korespondencyi wyraża) „będą umiały zrobić z odszukanego rękopisu użytek“ — czy też raczéj tam osądzono, że ten użytek koniecznie musi być zrobiony viribus separatis. Dość że starania moje pozostały bez skutku. Wcale nie raczyła osoba owa nawet odpowiedzieć na mój list. Skończy się pewnie na tém, że te rzeczy albo przepadną, albo kapaniną pojawiać się będą w pojedynczych numerach jakiego dzienniczka emigracyjnego, który tu w kraju — przy i tak już zbytecznéj ciżbie najrozmaitszych pism peryodycznych — mało przez kogo będzie czytany.

co pisał żartobliwie matce swojéj Słowacki, przybywszy do Wrocławia w r. 1831 zaraz po wyjeździe z Warszawy:

„Wszystko moje z sobą niosę, to jest mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i... mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze! wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły“...

Dajmyż na to, że w tych słowach było wiele przesady. Jakikolwiek jednakże mógł być stósunek między ową trochą bielizny a wierszami: zawsze przypuścić można, że było tam pewnie materyału zadosyć, ażeby czém zapełnić parę tomików. — Od owego czasu upłynęło znowu kilka miesięcy. Minęło lato — i jesień; nadeszła zima, na początku któréj, jak to wyżéj już powiedziałem, u Słowackiego zazwyczaj krynice poetyczne wzbierały. Dawne zasoby warszawskie zapewne pomnożone zostały znowu jakim świeżym przybytkiem. Było tedy co drukować, i gorąco tego pragnął młody poeta. Ale życzeniu temu stał na przeszkodzie brak funduszu potrzebnego na pokrycie kosztów nakładu. Nadzieja znalezienia nakładcy pomiędzy wydawcami z rzemiosła, rozbiła się bardzo rychło o nieprzezwyciężone trudności. Pomiędzy rodakami było wprawdzie niemało takich, którzy robili Słowackiemu wyrzuty, iż niczego nie drukuje; ale takiego, któryby się ofiarował z materyalną pomocą do ogłoszenia dzieł jego, takiego między nimi nie było. Szukać go i wyciągać rękę po datek, jakby po jałmużnę — tego Juliusz nie chciał. Wynikło tedy ze wszystkiego bardzo rychło to smutne przeświadczenie, że jeżeli te dzieła

miały kiedy być ogłoszone, to chyba własnym nakładem. Ale skądże go było wziąć, kiedy autorowi zaledwie wystarczało na życie? Przez czas jakiś, zaraz za przybyciem do Paryża, nosił on się z myślą, że może na innéj drodze trafi do celu. Najdonośniejszą i najprędzéj wynagradzającą pracę autorską gałęzią w literaturze francuskiéj było już i w owych latach powieściopisarstwo. Słowacki władał nieźle językiem francuskim; ułożył sobie zatem napisać romans po francusku, osnuty na tle stósunków polskich. Honoraryum, któreby za niego od Francuzów otrzymał, zamierzał włożyć w wydawnictwo swoich poezyi. Chociaż się zawsze wzdrygał przed myślą pisania czegoś, że tak powiem, na obstalunek, za pieniądze i dla pieniędzy: wtedy jednak przez wzgląd na to, że nieraz wiele robi miłość kochającego ojca dla swoich dzieciąt, potrzebujących sukienki, w któréjby się na świecie ukazać mogły, — wziął rzeczywiście pióro do ręki i zaczął pisać powieść francuską. Było to w styczniu 1832 r. Znajdujemy o tém w jednym z listów z owego czasu następującą wzmiankę:

„Kręcą mi się po głowie teraz wszystkie anegdoty, bo powiem wam pod sekretem, iż piszę romans po francusku — z naszych oryginałów. Scena na Ukrainie — głównymi osobami są ś. p. szlachcic, co obchodził święta Cerery — podobno jakiś Marchocki *) — i drugi, co podróż do Turcyi czy do Anglii odbywał (Rzewuski), a trzeci geometer Zszantyr, znajomy wam

*) „Marchockiego poznałem w Belmoncie i asystowałem wraz z bratem moim Adolfem na uroczystości Cerery w r. 1824.“ (Notatka Eust. Januszkiewicza.)

ze sztuki śpiewu i innych doskonałości. Wszystko sprzężone z wielu fikcyami i z długimi rozmowami w guście Walterscota, i z długimi obiadami — w guście tegoż autora i Niemcewicza i w guście Polaków. Słowem będzie to chef d'oeuvre, za które mi powinni zapłacić jako za takie. Mam już 5 rozdziałów i tylko mi jeszcze 25 nie staje — to bardzo nie wiele! Ale nie mówcie o tém nikomu, bo wystawiając żywe oryginały, można się kiedy z nimi spotkać. J' aurai cependant la précaution de faire périr mes personnages à la fin de la pièce — pour qu'on ne puisse plus les retrouver dans le monde; stąd możecie sobie wystawić, że będzie wiele krwi rozlewu — uniknę tego, połowę osób wieszając"...

Z samego tonu baraszkującego, jakim tu sam autor o dziele swojém przemawia, wynika, że nie przywięzywał doń żadnego znaczenia i traktował je jako robotę rzemieślniczą. Jakoż zdaje się, że się na owych pięciu rozdziałach rzecz też podobno urwała; ani bowiem nic takiego nigdy z druku nie wyszło, ani też nie wspomniał już drugi raz o tém Słowacki w korespondencyi. Ziściło się zatém i przy téj sposobności, co był już dawniéj napisał: „za pieniądze pisać nie mogę zupełnie; ile razy o tém myślę, imaginacyą mam zupełnie skrzepłą", i t. d.

Skoro tedy znikąd nie było widoku otrzymania zasiłku na owo przedsiębiorstwo, udał się po pomoc ostatecznie do matki. Zapytywał rodzinę, czyby nie można podnieść jakiego kapitału — i pisał w tym interesie jak następuje:

„Za kilka tysięcy wdzięczny wam będę. Widzicie sami, że dla mnie nie ma innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye. Czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w mojém życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem. Innéj nie spodziewałem się karyery. Kiedy z małego ułomku znany byłem wszystkim Polakom w Paryżu i Dreźnie; kiedy jeszcze dotąd każdy poznając się ze mną wykrzyka: a! to autor Bogarodzicy: czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniéj nie zapomnienia! Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcéj w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii — a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecyą, Tryest, Wiedeń wrócić kiedyś do Was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały!“...

Powiedzmy jednak już w tém miejscu nawiasowo, że ta myśl powrotu do ojczyzny nasuwała mu się wtedy tylko przelotnie. W istocie bowiem nie wchodziła ona wtedy bynajmniéj w stałe jego projekta. W innych listach, pisanych około tego samego czasu, budował on sobie zupełnie inne plany.

„Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy. O powrocie ani myśleć, bo powiedzcie, cobym ja teraz tam robił? Różnica kosztów bardzo mała, czy tam, czy za granicą“...

I w inném miejscu:

„Często sobie myślę, jeżeli mi Bóg w moim zawodzie poszczęści, jeżeli będę miał jakie przychody, co

wynosić będą z 5000 franków na rok: wtenczas Matko przyjedziesz do Drezna — tam życie bardzo tanie — najmiemy sobie jaki wiejski domek pod miastem — i może będzie nam dobrze! Drezno bardzo lubię i radbym tam wrócić"...

Matka poczciwa zrozumiawszy żądanie syna, dotyczące owéj sumy na druk poezyi, uczyniła niezwłocznie, co tylko mogła, tak iż już list Juliusza z d. 7 marca 1832 r. zaczynał się od słów:

„Mamo kochana! nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy! I Tobie to, Matko moja, winienem jedynie szczęście, jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi. Za dwa miesiące będziesz je Mama miała. To taksamo, jakbyś mnie zobaczyła — bo ja nie jestem niczém inném, jak moimi poezyami"...

Z dalszego toku listu dowiadujemy się o wszystkich niemal okolicznościach ubocznych, które towarzyszyły oddaniu pod prasę owych poezyi. A że wiąże się z tém i inny jeszcze szczegół, o którym w biografii Juliusza zupełnie przemilczeć trudno: przytaczam tedy rzecz tę całą własnymi jego słowami:

„W poniedziałek, dnia 22 lutego, siedzę rano u siebie: aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 franków. I natychmiast składa mi na stół całą sumę w biletach, razem z listem od Mamy. Od téj chwili inne zaczęło się dla mnie życie... Zaraz nazajutrz rano poszedłem do drukarni Pinard o druk się układać, i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinard (najstarszą), któréj narzeczony zawiaduje drukarnią.

Ten narzeczony był bardzo grzeczny dla mnie. Ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał. (Kosztowały go 2000 franków, jak w inném miejscu nadmienia.) Potém zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy. — Chodźko mówił mi, iż odemnie o trzecią część biorą taniéj, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze to poznawać się z panienkami — dobrze się zostać przy kominku i o czém inném niż o interesach pogadać"...

W pięć dni późniéj opisywał Słowacki matce bytność swoję na obiedzie u panien Pinard, na który był proszony, i powiada co następuje:

„Znalazłem tam Chodźkę (Leonarda). Średnia z panien, których jest trzy, nazywa się Kora. Śliczna! Zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy więcéj daleko podobałem się pannie Pinard najstarszéj, która coś na sawantkę zakrawa. A ponieważ mam dobre uszy, podsłuchałem jéj rozmowy z Chodźką. Mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem. A on jéj na to odpowiedział: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes!* Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, że zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie są głupimi! — Po obiedzie zostałem sam z pannami, i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypomniałem sobie ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem"...

W niespełna miesiąc potém, znowu pisał matce tyle jeszcze o téjże okoliczności:

„Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć. Dziwne prawdziwie moje lekcye! Starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jéj mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny się kształcą. Chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób; panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem. Dziwna dziewczyna! Mówiłem wam, że Hiszpanki ma zakrój. Wieczór razem ze Skibickim na włoskiéj operze pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków: a jednak — nudziłem się“...

I jeszcze raz, w tymże liście — wraca do owéj dziewczynki z okazyi innego zdarzenia:

„W Paryżu cholera! Z rana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15letni umarł na cholerę. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali w około bladzi i przerażeni, tak że nikt się tknąć chorego nie ważył — moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo. Gdy się o tém dowiedziałem, chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i ucałować — szczęściem że rozwaga przybyła mi w porę“...

W ciągu tego wszystkiego, druk poezyi postępował raźnie naprzód. Uwaga rodaków na emigracyi żyjących zwracała się coraz więcéj na mło-

dego poetę i zdarzały się czasem okoliczności, które go zachęcały w jego zawodzie, ośmielały w rozumieniu o sobie, a częstokroć też niestety bałamuciły i psuły. Podsycały bowiem tę próżność i miłość własną, którą mu wprawdzie wszyscy chętnie wybaczymy zważywszy, że był to bardzo młody człowiek natenczas, ale która ostatecznie nie należała bynajmniéj do warunków jego powodzenia autorskiego. Raczéj przeciwnie! Jednę okoliczność taką sam szeroce opisał. Był to dzień 25 marca, przeznaczony na obchód uroczysty rocznicy litewskiego powstania.

„Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się podpis Julliena starego (wydawcy Revue Encyclopédique, znanego z życzliwości dla naszych), list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackiém czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w któréj umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie — mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette prezydował — wszyscy czytali po francusku — Lelewel także. Czytano wiersze francuskie — potém na końcu Wiceprezes obracając się do zgromadzenia rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich (?!), ażeby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana Słowackiego, aby zasiadł miejsce. Pan Słowacki nie zasiadł, lecz stojąc mówił — co? trudno opisać. Rzucałem całém zgromadzeniem — potem rozłamałem wiersz ody, i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, — znów wróciłem do ody — i zakończyłem myślą z Lambra wyjętą. Wypiszę ją tu:

„Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce...
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa —
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie“...

„Po skończeniu Prezes ściskał mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę — starzec interesujący! Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko rozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam — obaczyłem oczy jednéj ślicznéj tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić — i znów spojrzałem, i jeszcze tosamo spojrzenie. Żeby tak długo, tobym zwaryował. Potém słyszę głos jednéj damy po polsku pytającéj się wszystkich o mnie. Była to pani B., którą w Dreźnie znałem. Ta skoro mnie spostrzegła, przyleciała z krzykiem: „Ach! serce pana!“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jéj moje serce podoba. Potém wymawiała mi, że u niéj nie byłem. Potém pytała mnie, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres. Gdybym go był miał, to ręczę, że w pugilaresie znalazłbym potém coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka! Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stolika pióro i kawałek papieru i dałem te materyały nieromantyczne, co znacznie zapał jéj osłabiło, tak iż tylko o mieszkaniu samém dowiedziałem się. Potém w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie

znów nowe obojéj płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że Odę zrozumiał"...*)

Podobnie odurzały go także dochodzące ze wszech stron wieści o recenzentach, o tłómaczach i t. d. już gotowych do rozsławienia imienia jego na wszystkie końce świata i tylko oczekujących z natężoną niecierpliwością wyjścia drukujących się poezyi.

„Dowiedziałem się — pisał z niezachwianą ufnością w ich powodzenie, w tymże samym liście — że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezyi pisać... Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem na zawsze, tak jak Murray Byrona — i będzie mnie oszukiwał... Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął się do tłómaczenia mego Mnicha i Araba. Skibicki pisze do Revue Encyclo-

*) „Obchód rocznicy powstania litewskiego, które Towarzystwo Litewskie i ziem ruskich urządziło, dał poznać Słowackiego. Ale zanadto przyznaje on wagi słowom Juliena de Paris, który jako dawny sekretarz Robespierra i autor Życia Kościuszki, miał tylko tyle poważania, ile jego metoda użycia czasu (? — myśl dla mnie niezrozumiała.) W wierszu swoim Słowacki zresztą nie był wieszczem, bo zapowiadał, że na kolumnie Vendome

... „może z przyszłą wiosną
Chwasty z liliami Burbonów porosną."

„Towarzystwo Litewskie było zawiązane tylko w celu utworzenia Komitetu Wojskowego, aby powstańcom téj prowincyi dawnéj Polski udzielić rangi według ich zasług, na co Rząd francuski przyzwalał. Protestowało przeciw legii tworzonéj przez Generała Bema na obronę tronu Donny Maryi i rozwiązało się, aby uniknąć oskarżenia, że nadweręża Unię Lubelską." (Z notatek Eust. Januszkiewicza).

pédique o moich poezyach, i tam będą umieszczone dwa Lemaitra tłómaczenia... Sienkiewicz (Karol) dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Bł. z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzéj poezye moje przysłał, bo je chce na angielski język tłómaczyć. — Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze, i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiéj niż ja wyjdą. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz tłómaczyć będzie — i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, który mi radził niegdyś poezyi zaniechać, mówiąc że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego błahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykolę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezye"... *)

Przytoczone ustępy wystarczą, ażeby czytelnik powziął wyobrażenie o stopniu błogiego upojenia, jakiém odurzały poetę — przed ogłoszeniem jeszcze poezyi — ryczałtowe pochwały ze strony osób bezpośrednio go otaczających, osobiście jemu życzliwych, zresztą olśnionych nowowschodzącą gwiazdą jego poetyckiéj sławy. Cieszył on się téj sławie swojéj, jak dziecko cacku, za którém dawno,

*) Nie od rzeczy może będzie już w tém miejscu nadmienić, że oprócz przekładu na język francuski Bogarodzicy i Araba, dokonanego przez Lemaitra, żadno z tłómaczeń tu zapowiedzianych do skutku nie przyszło. Skończyło się to więc na niedoszłych projektach z jednéj strony, a na płonnych nadziejach z drugiéj. — Przekład Lemaitra wyszedł 1833 r. w Revue Europ. — i także w osobnéj odbitce p. t. Notice sur les poésies de J. Słowacki. Paris 1833, 8ka, str. 16.

za którém długo goniło, a teraz ma je już tak blisko przed sobą, że dość wyciągnąć rękę, ażeby je pochwycić. Było to jedyne pragnienie jego na ziemi, jedyna namiętność, powiedziałbym: jedyna sprawa, która go przywięzywała do świata. Dla téj marnéj sławy potomnéj wszystkiego się wyrzekał. Teraz zdawało mu się — po raz pierwszy w życiu, w życiu tak jeszcze młodém, że ją ma posieść nareszcie. Przebaczmyż mu, że go tu zdybujemy na rojeniach, które tchną taką dozą miłości własnéj i dumy. Coby to było, gdyby się te rojenia były ziściły od razu!...

Były jednak chwile, gdzie się Juliusz w tém wysokiém rozumieniu o sobie i cokolwiek miarkował; gdzie mu na myśl przychodziło, że ani na uwielbieniach ludzkich, ani też na własnych o sobie samym mniemaniach tak bardzo nie należy polegać. Opowiada w tymże samym liście matce np. następujące zdarzenie:

„Byłem na mszy żałobnéj, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za duszę zmarłego ojca. Celebrował X. Praniewicz, Polak ze Żmudzi, który aż po Ameryce wałęsał się i od pięciu lat w Paryżu usługę ołtarzowi pełni, wielki oryginał! Potém ksiądz zaprosił nas na śniadanie. Ksiądz jest poetą — pisze — drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze — i te nam śpiewał przy fortepianie. Nic dziwniejszego, jak ta melodya! Najwięcéj mi się podobała strofa, w któréj książę Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski
Narodowi temu wierny,

Z mojemim szedł na kraj pruski
Przez Sasy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po exemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą. Pochwały nasze utwierdziły go w tém mniemaniu. Była to jednak scena dla mnie nauczająca, aby mniéj ufać miłości własnéj — mniéj pochwałom cudzym — scena bardzo potrzebna; bo czy uwierzycie, że dowiedziawszy się o śmierci Göthego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie wydającego poezye zrobił miejsce na świecie?... Matko moja, widzisz jak szczerze piszę ten dziennik — piszę nawet głupie marzenia moje"... i t. d.

Wreszcie nadeszła chwila (było to d. 12 kwietnia 1832 r.), gdzie leżały już przed nim gotowe obydwa tomy „Poezyi Juliusza Słowackiego" i gdzie matce przesyła radosne doniesienie:

„Mam poezye moje! I pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem niewyczerpanych przyjemności. Matko moja, cóż Ty, cóż Wy wszyscy o Waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że Ciebie te poezye nie zmartwią — chyba zasmucisz się tymi kilku błędami drukarskimi, których Twój szalony Julek uniknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec Żmii błyszczą te omyłki straszliwym blaskiem. — Dziś obaczyłem u Pinard regestr ludzi sławnych, zawarty w biografii Contemporains, a pod literą S. taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej i t. d. Widzicie, że w dobrém jestem

towarzystwie. Ucieszyło mnie to bardzo. Jest to najsławniejsza biografia. Ciekawy jestem, co o mnie piszą — będę się starał dostać jéj. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye: a stąd niewiem, z czego mnie tam sławnym zrobili? — Posyłam Wam exemplarze z podpisami. Nie wielu osobom posyłam [było takich exemplarzy 13], a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować, aby te osoby, które odemnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególniéj szanuję i kocham... A Tobie, kochana Mamo, jakimże sposobem mógłbym dać poznać, że Ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam? Czy Ty nie odgadniesz, Matko, co czułem podpisując dla Ciebie exemplarz?... Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił. Jak wyjdzie, przyślę go Wam. Wiesz, kochana Mamo, ze tyle tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mnie już krytyki nic nie obchodzą. Martwię się tylko błędami druku; ale spodziewam się, że będę mógł prędko drugą edycyą wydać i te błędy zginą"... *)

W tym sensie list ten nieco się jeszcze przedłuża; nakoniec kończy go Juliusz tymi słowami:

„Bądźcie zdrowi i szczęśliwi — ja jestem szczęśliwy. I gdyby nawet 2000 franków, wydane na

*) Odnośnie do tego listu, brzmi notatka mi udzielona przez Eust. Januszkiewicza, jak następuje: „Wszystko, co Juliusz pisał do matki o dwóch pierwszych tomach, o ich przyjęciu przez ziomków w Paryżu mieszkających itd. było wymarzone w jego wyobraźni. Podczaszyński i Mochnacki wydawali podówczas pismo swoje pod imionami królów polskich, jak ja pod imionami ludzi sławnych (dla uniknienia kaucyi — dopiero bowiem w 1833 r. otrzymaliśmy pozwole-

druk dzieła, nie wróciły się, to powiem, żem nie drogo szczęście kupił“...

To wydawanie dzieł, te różne zajęcia, jakie z tego wynikały w dalszych następstwach, wyczerpywały i czas i całą myśl młodego poety do tego stopnia, że wszystkie inne względy zupełnie im ustępowały miejsca na pierwszym planie. Znajomość z panną Korą, tyle zrazu obiecująca, zeszła z czasem do rzędu rzeczy ubocznych, obojętnych. Minął miesiąc cały i więcéj, odszedł list jeden i drugi, i ani słówkiem nie donosił w nich matce, co się dzieje z panną Korą. Ale matka była zaciekawiona — skłaniała się ku przypuszczeniu, że milczenie właśnie dowodzi, iż uczucie żyje i wzrasta... w końcu wręcz zainterpellowała jedynaka swojego, jak ta rzecz jest? Na interpellacyą otrzymała odpowiedź taką (d. 4 lipca 1832 r.):

„Milczenie moje nie dowodzi, żebym się szczerze zakochał. Nie! Wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się Wam wydam. Przez grzeczność kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham. Ona mi się także przyznała, że mię kocha — a wtedy

---

nie użycia ogólnéj nazwy). Gdyby poezye Juliusza były sprawiły najmniejsze obudzenie ciekawości: czyżby Maurycy o nich czegoś nie powiedział — on, co pierwszy Maryą Malczewskiego pochwalił? W listach Kamilla do rodziny pisanych jestże jaka o nich wzmianka? Bardzo być może, że jak Pan niżéj powiadasz, utwory Słowackiege dopiero zyskują po ich przeczytaniu powtórném. Ale jak było zniewolić rodaków do téj ofiary, nie rozumiejących wcale, o co Autorowi chodziło?! Ta obojętność towarzyszyła i tomowi trzeciemu i sam Słowacki w przedmowie świadczy o niéj.“

zapytałem ją, co zrobi, jak ja ją kochać przestanę? Odpowiedziała mi, że się otruje, albo że się utopi; a z téj odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jéj, że się ani zabije ani utopi, chociaż ją kochać przestanę. I zacząłem kaprysić i przyprowadzałem ją do gniewu: dawałem uczuć, że jeszcze dziecko — słowem mściłem się na niéj za wszystko, co kiedykolwiek od wietrznic, jak mówi B. Zaleski, ucierpiałem. Nie wiem, z jakiéj przyczyny, ale wpadła w gorączkę — w gorączce miała deliryum, a z tego siostry musiały się tajemnicy jéj serca dobadać. Widząc, że nadto zły byłem w mojém postępowaniu, postanowiłem aby mnie zapomniała. Powiedziałem jéj to, i przez miesiąc nie poszedłem do nich. Pozaprzeszłéj niedzieli przechodząc przez aleję Tuilleries ogrodu, wśród tłumu wyelegantowanych dam ujrzałem znów pannę Korę z siostrami. Ukłoniłem się z daleka i przeszedłem. Ale pani Barateau, także jéj siostra, posłała swego kuzyna, żeby mię szukał i przyprowadził. Wróciłem więc do miejsca, gdzie damy siedziały — z bardzo wesołą twarzą; siadłem przy nich na krześle — gadałem przez godzinę — panna Kora czerwieniła się i bladła. Potém damy wstały — musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała, z którego to mostu la duchesse de Guiche rzuciła się w Sekwanę. Uczułem, że to zapytanie było delikatném przypomnieniem mojéj niestałości i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która kiedyś znała księżniczkę de Guiche, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie — siadam przy nich czasem na kwadrans... Ale

dość o tém, już i tak czuję, że się Wy ze mnie śmiać będziecie"...

W dalszych listach nieraz jeszcze napotykają się dorywcze wzmianki o tym stósunku. Wynika z nich, że Słowacki bywał w tym domu potém znowu często, i przesiadywał pomiędzy panienkami nie kwadranse, ale nieraz długie godziny.

„Bawi mnie otwartość Kory — pisał krótko potém w jednym liście — wszystko mi gada jak pacierz"...

Albo w innem miejscu:

„Smutno mi — ale co robić? jutro pójdę do Kory. Może kiedy mi zacznie patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy; choć dalibóg, nie kocham jéj"...

I bez tego zapewnienia okazuje się jasno, że o miłości prawdziwéj nie mogło być mowy co do jego osoby. Być może, że gdyby mu Kora przy własnościach, jakie miała, była zaimponowała czémś wyższém, niepospolitém, a choćby wreszcie i samą tylko niewzajemnością: byłaby może wzięła znajomość ich inny obrót. Bo młody nasz autor zajmował się bardzo łatwo i wielce lubił wiedzieć o tém, że sprawił na kim wrażenie. Ażeby jednak odezwało się u niego i serce: do tego potrzeba było silnego wzruszenia wyobraźni, a tę rozbudzały tylko twarde, uporczywe i niepokonane trudności, które bodły jego dumę. Takimto sposobem wzrosło u niego przywiązanie do Ludwiki, choć odpłacane niewzajemnością, do rozmiarów w rzeczywistości może nie takich, jak je wystawia w Godzinie Myśli,

ale zawsze niepospolitych. Pod tymiż warunkami byłaby może trwalsze sprawiła wrażenie i ta 15-letnia dziewczynka o hiszpańskich rysach twarzy przy naiwności francuskiéj. Ale Kora zbyt skwapliwie przyznała się do uczuć, jakie w niéj wzbudził. A to wystarczyło, ażeby wspomnieniom pierwszéj miłości zapewnić i nadal wyłączne miejsce w wyobraźni Juliusza.

To też właśnie do tegoż listu, w którym w taki sposób mówił o Korze, dołączył Słowacki z powodu ogłoszenia dzieł swoich i bilet do Ludwiki Śniadeckiéj. Przerwał nim kilkoletnie milczenie, jakie trwało pomiędzy nimi jeszcze od czasu wyjazdu z Litwy. Matce zaś przesłał takie zlecenie:

„Mamo moja, choćbyś miała dwa exemplarze,*) to jeden poślij Ludwisi — koniecznie! koniecznie!... List ten odeślij, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... O gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się“...

W dzienniku zaś swoim, w tymże miesiącu lipcu r. 1832, zapisał o niéj te słowa:

„Myśl o niéj jest dla mnie rozdzierającą. Obłąkana, wpadła w czarną melancholią — nikt jéj nie przywiązuje do świata... Ona może teraz w ciemnym pokoju, z oczyma zwróconymi na jedno miejsce z obłąkaniem, szuka nadaremnie obrazów przeszłości. Gdybym mógł tak stanąć przed nią, blady, milczący! Przycisnąłbym ją do serca i może mój głos obudziłby

*) Mówi o tych exemplarzach dzieł swoich, których był kilkanaście wyprawił do rozdania pomiędzy znajomych.

w niéj jakie milsze wspomnienie. O gdyby ona wyjechała za granicę! Szedłbym za nią jak cień — jak anioł strzegący ją od nieszczęścia. A jeśliby chciała, nigdybym jéj się nie pokazał. Byłaby dla mnie zawsze jak święty obraz wspomnień.“ (Przegląd Polski, str. 42).

Przez cały ciąg czasu, gdzie się to wszystko działo, Adama Mickiewicza jeszcze nie było w Paryżu. Autor Walenroda bawił natenczas w Dreźnie, następnie przez tygodni kilka w Poznańskiém; a potém... już po zajęciu Warszawy, znowu wrócił do Drezna. Tu osładzał sobie owe chwile bolesne towarzystwem Odyńca i Stefana Garczyńskiego, do którego się szczególniéj przywiązał. W miesiącu czerwcu czy lipcu r. 1832 opuścił wreszcie stolicę saską i przyłączył się dobrowolnie do tego zastępu wygnańców, którzy już w nieprzerwanym szeregu, różnymi drogami, przez Niemcy ciągnęli coraz daléj na zachód. Z końcem lipca stanął w Paryżu.

W listach Słowackiego dawniejszych, datujących z pierwszych miesięcy jego pobytu we Francyi, znachodzą się nieraz wzmianki, że nie znalazł i że ciągle nie znajduje tych osób około siebie, którychby sobie najwięcéj życzył. Kogo mianowicie przez to rozumiał, tego nigdy nie powiada. Ale imię Mickiewicza prawie zawsze tam bezpośrednio potém następuje wspomniane, z dołączeniem doniesienia, gdzie właśnie wtedy przebywał. Godzi się tedy ze wszech miar wnosić, że z Adamem to głównie pragnął spotkać się gdzie na czas trwalszy Słowacki, i że zatém nie miał pewnie wtedy ża-

dnych jeszcze uprzedzeń przeciwko jego osobie. Przytacza czasem wiersz, wyraz, myśl jaką wyjętą z dzieł Adama, i to tonem, który dowodzi, że go za potęgę poetycką uznawał. Ale po upływie kilku miesięcy, już w stolicy Francyi spędzonych, urosła wziętość Juliusza. Nazwano go na publiczném rodaków i Francuzów zebraniu — największym poetą polskim. Pojawiły się dwa tomy jego poezyi. Pierwsze wrażenie, jakie te poezye na emigracyjnéj czytelników masie sprawiły, zdawało się autorowi, że było bardzo pochlebném. Nie dziw zatém, że po tém wszystkiém nie był to już tensam Juliusz, co za przybyciem swém do Paryża skarżył się na to, że nie zastał tam Mickiewicza.

Dnia 22 lipca (1832) zapisuje już do dziennika swojego te słowa:

„Mickiewicz przyjeżdża — już jest w Chalons. Mówił mi Podczaszyński, że i Bohdan Zaleski przyjeżdża także. Więc Parnas polski będzie w Paryżu. Jeżeli nazbyt huczny, to ja z niego ucieknę.“ (Przegląd Polski, str. 48).

W tydzień potém był już Mickiewicz w Paryżu. Jakiż się między nimi zawięzuje teraz stósunek? — Żaden! W liście do matki z dnia 30 lipca sucho i tylko mimochodem tak o tém mówi:

„Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża. Ale nie pójdę pierwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze“...

W tydzień potém zapisywał sobie w dzienniku, co następuje:

„Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego kroku do poznania się — a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć. Starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać. Dziś zeszliśmy sie razem na wielkim obiedzie. Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie“ (a zatém pierwszy krok zbliżenia zrobiony był według tego świadectwa przez Mickiewicza!) „i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem... Przypomniałem mu owę jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. *)

*) Zdarzenie, do którego się ta wzmianka odnosi, było następujące. Wiadomo, że w pierwszych czasach pojawienia się romantyzmu w naszéj poezyi, do najżarliwszych przeciwników tego kierunku należał Śniadecki, profesor astronomii i wysłużony rektor akademii wileńskiéj. W skutek rzetelnych i wielkich zasług położonych przez niego w poprzednich czasach, było znaczenie tego męża i naówczas jeszcze w akademii takie, jak żadnego innego profesora. Jego zdania nadawały niejako ton i kierunek zachowania się względem téj kwestyi i innym profesorom. Zaczém poszło, że jak młodzież uniwersytecka garnęła się bez wyjątku pod sztandary nowych pojęć w téj walce literackiéj: tak znowu profesorowie, a mianowicie starsi, stali uporczywie po stronie klasyków. Otóż wśród dość naprężonych stósunków między jedną stroną a drugą, pojawił się w r. 1822 pierwszy tomik poezyi Adama Mickiewicza. Zawierał głównie ballady, oprócz ballad także kilka poezyi ulotnych, a między nimi i wiersz zatytułowany Romantyczność, w którym poeta wręcz rzucił rękawicę kierunkowi reprezentowanemu przez Śniadeckiego, i nawet jego osobę dość wyraźnie pod figurą mędrca ze szkiełkiem w osnowę rzeczy wprowadził. Zdarzyło się, że właśnie po odczytaniu tego tomiku Śniadecki niezkontentowany i cały pod wrażeniem niesmaku rzeczy, których piękności nie poj-

Śmiał się z przypomnienia. Potém przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał... Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem,

---

mował, odwiedził kolegę swego doktora Bécu, który jak wiadomo był ojczym Juliusza. I zastaje u niego przypadkowo liczniejsze towarzystwo, a między innymi także i Mickiewicza! Cóż robi? Udaje, że go nie spostrzegł; że nie wie wcale, iż on tutaj obecny. I zaczyna mówić o niedorzeczności i śmieszności poezyi, których tom właśnie rąk jego doszedł — w sposób nie tylko sa kastyczny, ale i w najwyższy sposób upokarzający dla autora, a to tém bardziéj, że i gospodarz domu, rozochocony tém niby nieporozumieniem, dopomagał Śniadeckiemu w tym niewczesnym zapędzie, wyzywając go do coraz dalszych uszczypliwości. Mickiewicz milczał. Był on wtedy jeszcze w towarzystwie osób starszych nieśmiały, i znajdował się nadto o tyle w położeniu arcyfałszywém, że miał przed sobą samę hierarchię w zawodzie nauczycielskim, do którego i sam wtedy jako profesor szkół kowieńskich należał. Oprócz tego był on z różnych przyczyn i osobiście zawisły od téj starszyzny; nie śmiał zatém wręcz wystąpić w własnéj obronie. Milczał więc: i tak skończyło się owym razem na j e g o tylko upokorzeniu. Ale im tego nie zapomniał! Wziął ten objaw literackiego antagonizmu ze strony Śniadeckiego i gospodarza domu za coś więcéj, bo za jeden z licznych dowodów usposobienia ich nieprzyjaźnie zwróconego p r z e c i w k o r o z b u d z e n i u d u c h a w o g ó l e w gronie litewskiéj młodzieży. Że się w tém mylił, tego mógłby nam dowieść sam żywot Śniadeckigo w całości wzięty — żywot poważny i do samego zgonu bez skazy. Ale w sporach ówczesnych grały namiętności i rozdrażnienia. Życzliwego pobłażania ani wyrozumienia nie było ni z jednéj strony ni z drugiéj. — Takie więc wrażenie wyniósł Adam z owego wieczoru. I zachował je długo w pamięci, i nie darował. W trzeciéj części Dziadów objawił sąd swój o ludziach owego obozu niemiłosiernie i (przynajmniéj co do niektórych pomiędzy nimi) niesprawiedliwie. Lecz to miało nastąpić dopiero późniéj. W czasie, kiedy rozmawiał z nim o tém Słowacki, téj części Dziadów jeszcze nie było.

że go uważam za pierwszego poetę: jeden z Polaków stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: nadto jesteś skromny — i tymi słowami pomięszał zupełnie naszę rozmowę... Podczas obiadu Cezary Plater biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie. Był to wieczór z męszczyzn samych złożony. Chopin sławny fortepianista grał nam .. gadaliśmy różne poezye, słowem że dobrze nam zszedł wieczór... Wielu było Wołynianów — wiele wypiliśmy szampana. Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy. Na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opowiadają swoje podróże — uczeni swoje odkrycia itd... W kilka dni potém u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak też na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do 2 w nocy. Pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie"...

Przy podobnych sposobnościach widywali się zatém obydwaj poeci. Znajomość ich byłaby się może powoli zamieniła w zażyłość coraz ściślejszą, tém bardziéj że nie było i bez literackich stósunków, które ich ze sobą utrzymywały w jakimkolwiek związku. Założone zostało w łonie emigracyi Towarzystwo Literackie. Prezesem tego towarzystwa był Mickiewicz. Miał sobie do pomocy przydanych kilku radców towarzystwa. Jednym z nich był Juliusz w skutek wyboru kolegów. A więc były stałe pewne dni takie, gdzie się obydwaj schodzili i gdzieby się koniecznie byli powinni zrozumieć i

zbliżyć do siebie. A przecież — pomimo tego wszystkiego — do zbliżenia między nimi nie przyszło! Nieprzebytą tamą pomiędzy nimi, na długie czasy, stanęła pogłoska, przyniesiona przez nie wiem kogo skwapliwie Słowackiemu o Mickiewiczu, jakoby on w gronie poufnych przyjaciół miał był zganić poezye jego. Pisał Juliusz o tém do matki (pod datą d. 3 września 1832 r.), jak następuje:

„Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach... Powiedział, że moja poezya jest śliczna... że jest to gmach piękną architekturą stawiany — jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma!... Prawda że śliczne i poetyczne zdanie? Podobne do jego sonetu pod tytułem Rezygnacya!“...

Od tego czasu już się Juliuszowi nic w Mickiewiczu nie podobało. Raziły go wszystkie właściwości jego indywidualizmu, tak te, które dotyczyły powierzchowności, jak i wewnętrzne. Z powodu pewnego wieczoru u XX. Czartoryskich, donosił na przykład takie szczegóły (w liście z d. 4 października):

„Na wieczorze był i Mickiewicz. Nie możecie sobie wyobrazić, jak po liderlichosku wygląda — z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym! Zbliżywszy się do mnie, powiedział: jeżeli teraz co porodzę, to będzie coś zapewne o oku dziecięcia, które dziś widziałem. Na oku tém jest napis *Napoleon Empereur* — i to oko ciągle tkwi w mojéj pamięci. — Zdziwiłem się niezmiernie, że się jego imaginacya tak tém okiem, zapewne udaném, a może szklaném, dla wyłudzenia pieniędzy wsadzoném, zapaliła.

Wolałbym, żeby pisał o dziecku ze złotymi zębami... Strasznie mnie zaczynają nudzić moi ziomkowie"...

Niemniéj ciekawa jest wzmianka, rzucona w liście o miesiąc późniejszym (z d. 9 listopada):

„W tych dniach wychodzi z pod pras panien Pinard tom czwarty Mickiewicza", zawierający trzecią część Dziadów. Jeszcze jéj nie znam. Ale Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religią na plac wyprowadza — uniewinnia Papieża, nawet bullę! Słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba"...

Że zdanie o tém ostygnięciu Mickiewicza w poezyi nie ze wszystkiém było prawdziwe, a mówiąc wręcz i otwarcie, że było jak najzupełniéj fałszywe: o tém przekona czytelnika sama uwaga, że były to czasy, gdzie Adam pracował nad największém swém dziełem, nad Panem Tadeuszem! Ale pozornéj prawdy mogło jednak być nieco w owém spostrzeżeniu Juliusza. Weźmy na przykład list Mickiewicza do Odyńca z d. 8 grudnia 1832 r. a zatém około tychże czasów pisany, *) a znajdziemy w nim niejedno, co za komentarz posłużyćby mogło do powyższego sądu o jego naówczas niepoetyczności. Mówi w nim Adam o sobie co następuje:

„Piszę teraz poema szlacheckie, w rodzaju Herman i Dorothea (Göthego); już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszéj. Duch

*) Listy te ogłoszono w warszawskiéj Gazecie Codziennéj 1860 r., i także w Czasie 1860 r. Nr. 165 i następne.

poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadoméj tobie przyczyny, tyle kłopotów korekty (około trzeciéj części Dziadów, i Ksiąg Narodu), i prócz tego tyle różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić."

A w miesiąc późniéj pisał jeszcze tak:

„Ja tu żyję niemile śród żywiołów obcych. Jedni mnie nienawidzą, drudzy krzywo na mnie patrzą — doktrynery mają za waryata. Wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni... Paryż tak obrzydziłem, że ledwie już mogę wytrzymać" itd. (Mickiewicz do Odyńca — Paryż 28 stycznia 1833).

Był zatém Mickiewicz w owych czasach rzeczywiście na wskróś skwaszony i zgorzkniały. I jeżeli się to jego usposobienie — jak jest prawdopodobném — dawało czuć całemu jego otoczeniu: to szczególniéj raziło oczywiście naszego poetę. Ten bowiem ani sam już wtedy sympatycznie na Adama nie spoglądał, mając osobiste swoje żale do niego, ani też nie był i przez niego sympatycznie widziany. Kierunek bowiem ówczesnéj autorskiéj czynności Słowackiego nie podobał się Mickiewiczowi. Był tedy pomiędzy nimi mniéj więcéj tensam stósunek, co w pierwszych czasach między Schillerem a Göthem, kiedy ten ostatni powrócił z podróży włoskiéj i żył cały w przypomnieniach owéj harmonijnéj, niczém niezamąconéj, posągowo spokojnéj klasyczności starożytnych arcydzieł, jakich się tam napatrzył, — a tu mu przyniesiono

z wielką wrzawą uwielbienia Ardinghello Heinsego, Zbójców Schillera i inne początkowe utwory tego poety właśnie co tylko wydane. Aż mrowie przeszło Göthego na ten zgrzyt bolesnych, żywotnych, genialnie wypowiedzianych — ale zawsze dyssonanc! Poznanie się jego z Schillerem odbyło się bardzo ozięble. I wiele czasu upłynęło, nim się ostatecznie zbliżyli oni do siebie i pojęli i polubili. Otóż mutatis mutandis — podobny zachodził stósunek i teraz pomiędzy obydwoma poetami naszymi. Zrozumieć się oni nie mogli. Każdy z nich szedł inną drogą.

Ażeby się o tém przekonać, że w saméj rzeczy szedł już wtedy każdy z nich drogą odmienną, trzeba nam o tém nieco szczegółowiéj pomówić. O Mickiewiczu wszelako rozwodzić się tu nie będziem. Czego on żądał i pragnął, jak pojmował wtedy zadanie swoje, emigracyi i narodu naszego: to każdemu z czytelników moich byćby powinno wiadomém. A ktoby mniéj jasne miał o tém wyobrażenie, niechże weźmie do ręki jego Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, a znajdzie w nich całe wyznanie wiary tak politycznéj jak społecznéj tego genialnego poety. Pismo to powstało właśnie w r. 1832, a zatém słusznie uważane być może za zwierciadło i że tak powiem, za manifest jego ówczesnych przekonań. — Juliusz Słowacki nie miał wtedy jeszcze, ile mi się zdaje, tak jasno wytkniętych kierunków przed sobą. I wiek jego nie był jeszcze po temu i cała natura jego więcéj była jakaś nierzeczywista, irracyonalna. Mickiewicz przy całéj swéj podniosłości nieskończenie przewyższał go realizmem. Mickiewicz szukał wszędzie żywio-

łów pozytywnych, dodatnich; szukał pewnika, dogmatu — Słowacki marzył, poetyzował... Pierwszy wiedział zawsze, do czego dążył i co zamierzał: — drugi łatwiéj byłby podobno z tego zdał sprawę, czego nie chciał; sformułować zaś dobitnie żądań i pragnień swoich dodatnio — tego w żadnéj porze życia swojego, a tém mniéj wtedy nie byłby pono potrafił. Z tém wszystkiém instynktowo miał i on jednak swoje kierunki przed sobą. Szedł pewną drogą i w owym już czasie; i jakkolwiek nie łatwą jest rzeczą oznaczyć, w jaką stronę pęd jego natchnień się wtedy najprzeważniéj skłaniał — niepodobieństwem to jednak nie jest. Inaczéj tego wszelako dokonać nie zdołamy, jak jedynie przez szczegółowy rozbiór jego dwutomowéj ówczesnéj publikacyi. Sądzimy przeto, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelnika, jeżeli w następnym rozdziale przystąpimy do tego krytyczno-estetycznego zajęcia i na czas jakiś przerwiemy opowiadanie o dalszych kolejach jego żywota.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jéj stósunek do literatur zachodnich — jéj główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w roku 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe, — rozbiór Maryi Stuart.

Podejmujemy trudne zadanie. Sądy o dziełach Słowackiego są do téj pory nieustalone. Są tacy, którzy się nad nimi entuzyazmują i radziby je położyli w literaturze na pierwszém miejscu. Ale też nie brak i na myślących inaczéj. Ci je odkładają po przeczytaniu bez szczególnego wrażenia, a często z pewnym niesmakiem. Tak jest dzisiaj, tak było od pierwszéj chwili ich ogłoszenia. Przytoczyliśmy powyżéj z listów autora kilka ustępów, z których widno, ile dowodów uznania odbierał on od podobnie myślących za to zbogacenie poezyi polskiéj swemi świeżo wydanymi dziełami. Zanosiło się zrazu, wedle własnych poety świadectw, na różne przekłady i krytyczne onych rozbiory. A przecież pomimo tego, w dalszém kole czytelników ani w emigracyi ani w kraju — nie sprawiły wielkiego wrażenia te pierwsze tomy Słowackiego

Poezyi. W ogóle przeszły one pośród głębokiego milczenia. Nie wiemy o żadnéj takiéj w pismach tamtego czasu recenzyi, o któréj by warto było pamiętać i dzisiaj jeszcze. Utwierdza nas w tém i sam poeta, kiedy późniéj — na czele przedmowy do tomu III — gorzkimi słowy skarżył się na tę obojętność ogółu: „Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze tomy połknęła.“ — Nieukontentowany z powodu, że do pierwszych tomów wkradło się kilka pomyłek druku, wspomniał był poeta w jednym z ówczesnych listów, że ma nadzieję poprawić takowe w drugiéj edycyi. Przypuszczał więc, że potrzeba téjże da się uczuć niezadługo. I to go także zawiodło. Do powtórnego dzieł tych wydania nie przyszło wcale za życia autora, pomimo że się sprzedawały późniéj nawet za cenę znacznie zniżoną...

Jestże to wszystko okolicznością, któraby bezwarunkowo świadczyła przeciw artystycznéj wartości pierwszych jego utworów? Mniemanie takie — zdaje mi się — byłoby mylném. Ale trudno jednak nie wyprowadzić stąd wniosku, że poezya Słowackiego snać nie odpowiedziała ówczesnéj czy potrzebie czy też smakowi narodu. Musiał być więc między jego poezyą a tém wszystkiém, co literatura nasza wydała poprzednio, jakiś rozstęp, jakiś brak związku a raczéj ciągu, dla którego się to nowe jéj zbogacenie nie wydawało zbyt ważném.

Dla wyjaśnienia téj rzeczy, uważam tu za potrzebne rzucić kilka uwag, które się będą może niejednemu wydawały zboczeniem od właściwego

przedmiotu. Sądzę jednak, że mi czytelnik zboczenie takie wybaczy przez wzgląd na ważność rzeczy, o którą chodzi. Chodzi bowiem o poszukanie sobie w naszych sądach o Słowackim takiego punktu wyjścia, któryby był i sprawiedliwym względem niego i dalekim od téj znowu pobłażliwości, którąby uwłaczała innym naszym pisarzom.

Uważam za pożądane, ażebyśmy jak najdokładniéj uprzytomnili tu sobie, jakieto czasy pierwszy występ Słowackiego jako pisarza poprzedziły i jakichto zastał on na niwie swojéj rychlejszych, pracowników.

Poprzedziło go owo dziesięciolecie (1820 do 1830), które tak świetnie rozpoczęło epokę naszéj nowéj, naszéj narodowéj poezyi. Epoka ta płynie jeszcze i za dni naszych,*) chociaż wnosząc ze wszelkich oznak zdaje się, że prawdziwa płodność i wielkość tego literatury okresu już przeminęła. Czasy jéj wypełniły się — o ile to poezyi, a nie prozy dotyczy, już z rokiem 1848. Boć późniejsi, młodsi pisarze — to już tylko Epigonowie starszych...

W ciągu rzeczonego dziesięciolecia przyłączył się do pozostałego z dawniejszych jeszcze czasów Niemcewicza nasamprzód — długo przedtém zapoznawany Kaźmierz z Królówki (Brodziński). Potém zajaśniał w całéj pełni blasku umiłowany od wszystkich Adam. A za nim odezwał się od stepów ukraińskich ów „słowiczek“ poezyi polskiéj, Bohdan Zaleski. A potém nadszedł

*) Przypominam, że pisane to było przed rokiem jeszcze 1866.

smętny Malczeski; a niebawem w jego ślady ponury, groźny, ale pociągającéj energii — Goszczyński... Równocześnie z nimi zajęli pod przeważne panowanie swoje — na długo — dzielnicę poezyi przez tamtych wcale nietkniętą, dwaj równie znakomici pisarze, Korzeniowski i Alexander Fredro. Ci siedmiu, zdaniem mojém, stali przez rzeczonych lat dziesięć na czele ruchu w zakresie poetyckiego działu literatury. Niektórzy z nich przeszli prędko i szli samotnie: był takim naprzykład niezapomniany po zgonie, choć mało znany za życia, autor Maryi. Inni działali otoczeni całą drużyną duchów pokrewnych, chociaż niższych talentem. Około Mickiewicza gromadzili się Odyniec i Zan i Chodźko Alexander i Korsak. Nieco opodal stał skłaniający się więcéj ku Brodzińskiemu Witwicki — a jeszcze daléj Tymon Zaborowski, Gosławski, Górecki itd. itd.

Równocześnie niemal poczęte i bez przerwy dalej trwające działanie tylu naraz znakomitych talentów zbogaciło poezyą naszę niejednym takim utworem, że każdy z nich byłby na się przez długi czas ściągał uwagę wyłączną, gdyby się nie był musiał dzielić rozgłosem z tylu innymi utworami pierwszego rzędu, przybywającymi rok rocznie do skarbów literatury.

W roku 1820 pojawił się Wiesław. W 1821 odegrano w Warszawie pierwszą komedyą Fredry, Geldhaba. W 1822 wyszły Ballady Mickiewicza. Dumy Zaleskiego także przypadają na owe lata, choć w całym zbiorze pojawiły się znacznie późniéj. W 1823 ukazała się Grażyna i pierwsze części Dziadów. W 1825 Sonety Mickiewicza,

Marya Malczeskiego, Odyńca zbiorek poezyi; wreszcie pierwszy nasz romans historyczny, Jan z Tęczyna przez Niemcewicza. W 1826 pierwsze dramatyczne utwory Korzeniowskiego; Pojata Bernatowicza; pierwsze dwa tomy Komedyi Fredry. W 1827 przybył Zamek Kaniowski Goszczyńskiego. W 1828 Konrad Wallenrod. W 1830 Mnich Korzeniowskiego; trzeci tom Komedyi Fredry; Tymona Zaborowskiego Dumy Podolskie; nakoniec wdzięczne Witwickiego Pieśni Sielskie i Biblijne.

Taki jest poczet dzieł pierwszéj dani w dziejach odrodzonéj naszéj poezyi. To są imiona i czyny bezpośrednich Słowackiego poprzedników. Dalsza kolej obejmuje już prace i tych co tylko wspomnianych, i świeżych znowu sił poetyckich, które wystąpiły na scenę dopiero po wypadkach r. 1831. Pierwszym co do czasu był w szeregu tych nowoprzybyłych, tych młodszych, właśnie nasz poeta, Juliusz Słowacki. Inne znakomitości pierwszego rzędu, a téjże generacyi — to zwrócony tęskném okiem w przeszłość narodu Wincenty Pol (od r. 1833), wyjątkowo przedłużający trwanie tego okresu aż do dni naszych; a daléj zgasły przedwcześnie i dlatego mniejszéj sławy Stefan Garczyński (także od 1833) nakoniec proroczy, pod kolizejskim krzyżem natchnienia szukający wieszcz Irydyona i Komedyi Nieboskiéj (1834).

Szereg prawdziwych mistrzów słowa nie kończy się oczywiście z Krasińskim. Zajaśniała i po nim jeszcze niejedna gwiazda na niebie poezyi polskiéj. Lecz mówić o nich nie należy już do naszego przedmiotu. Nam chodzi o porównanie poezyi naszéj

tak zwanéj romantycznéj przed rokiem 1831, ze stanowiskiem i artystycznym sposobem Słowackiego w owymże czasie. Powiedzmyż więc choć w kilku słowach, co stanowi owéj poezyi odrębne znamię i zasługę około sławy narodu.

Jedném z głównych następstw wystąpienia Mickiewicza i innych jemu współczesnych było podniesienie poetyckiéj literatury polskiéj na wysokość europejskiego znaczenia. Od tegoto dopiero czasu weszła poezya nasza znowu w bezpośrednie zetknięcie z tradycyami postronnych literatur, zajmujących odpowiednie wiekowi stanowisko. Pisarze nasi dawniejsi z małym wyjątkiem byli więcéj naśladowcami, i to wzorów, które i same słabo, nawet koszlawo już tylko odtwarzały starożytny klasycyzm. Świat starożytny zbyt się już był odsunął; studya nad nim w przeszłym wieku, mianowicie we Francyi, zeszły do nicości zapomnianéj prawie nauki. Najzagorzalsi niby wielbiciele mistrzów rzymskich i greckich nie mieli trafnego wyobrażenia o istotnych warunkach wielkości tych niegdyś niedościgłych potęg artyzmu. Pomimo nieustającéj gadaniny o konieczności trzymania się we wszystkiém przekazanych przez starożytność przepisów — literatura francuska nigdy nie zbliżyła się do tych wzorów choćby tyle tylko, ile się u nas w XVI wieku zbliżyć do niéj potrafił Kochanowski. Śmiech wzbudza patrzeć na lękliwość i zarozumiałość tych dworaków wersalskich, kiedy na usprawiedliwienie swoich małodusznych nowostek odwołują się ciągle to do Arystotelesa, to do Horacego lub Quintyliana, to wreszcie do tragików greckich, których dzieła znane im były chyba tylko

z urywków, z przekładów lichych, a najczęściéj zaledwie pewnie z powieści. Literatura poetycka Francuzów była więc właściwie tylko karykaturą klasycyzmu; stanowiła począwszy mianowicie od połowy przeszłego wieku, w obszarze nowoczesnéj europejskiéj poezyi, jakiś zacofany, wyjątkowy zaścianek; i nie byłaby mogła ani na chwilę nosić nazwy wielkiéj literatury, gdyby nie była własnością narodu, który pod innym względem nadawał ton całemu społeczeństwu i imponował.

Mimo to wszystko — kierunek téjto właśnie literatury wytykał więc drogi naszym pisarzom z epoki księstwa warszawskiego i poprzedzających ją czasów stanisławowskich, którzy po większéj części na téj roli naśladowców i cudzego powodzenia wielbicieli poprzestawali. Nie ściągam tego, co tu mówię, oczywiście do Krasickiego, który zatrzyma w piśmiennictwie na zawsze niepoślednie znaczenie; ale Krasicki góruje tylko albo dowcipem albo rozumem — nigdy uczuciem i wyobraźnią. Inni jego współcześni, lubo czasem nie bez znamion wyższéj poetyckiéj zdolności, wystarczali — że tak powiem, na miejscowe i tylko tymczasowe potrzeby. Naród własny nucił ich piosnki: dalszy świat i wtedy i potém mało kiedy co o nich słyszał. Nie miano bo też u nas wtedy jeszcze żadnych do szerszéj sławy uroszczeń i chętnie poprzestawano na chlubie, że się komu zdarzyło napisać coś takiego, co żywo przypominało jakiego zawołanego rymotwórcę z za Renu, albo w razie szczęśliwszym jaką tiradę z umianéj wtedy przez wszystkich literatów naszych na pamięć Eneidy...

Od roku 1820 począwszy, wszystko się to zmieniło. Poeci nasi młodsi, dostrajając — pod artystycznym względem — lutni swoich na wysokość tonu, jakim brzmiała wtedy p r a w d z i w a poezya w krajach postronnych, zaczęli czerpać natchnień z własnéj krynicy narodu. Po raz pierwszy w mowie polskiéj odżyły wtedy postaci dawno minionych wieków, wskrzeszone z całą świeżością narodowéj prawdy i siły; pieśń gminna — ta skromna, ale wiekuiście zielona bluszczu gałązka, wiążąca dzień dzisiejszy z epoką pierwszych pokładów rodziméj cywilizacyi, rozwinęła się w poemat i wyśpiewała niejednę z tajemnic sztuki, o których się dawniéj nie marzyło poetom. Wrące uczucia piersi własnéj teraz dopiero znalazły wyraz, rymujący i z stanem duszy poety i z wyjątkowém położeniem narodu. Pękły skrzepłe skorupy bezdusznéj konwencyjności — natura wzięła górę nad sztuką — retoryzm ustąpił miejsca sile połączonéj z prostotą — sentymentalną czułość zastąpiła rzewność i łzy gorące: po raz pierwszy od czasu Kochanowskiego stała się pieśń polska znowu prawdziwém zwierciadłem doli społecznéj, i dyktowały ją idee w narodzie naszym wykołysane i będące dzisiaj pokarmem, wiarą, przyszłością naszą...

Właśnie z tego powodu zajęła poezya polska względem współczesnéj europejskiéj stanowisko nietylko r ó w n é j m i ę d z y r ó w n y m i, ale co większa: okazała się jéj najistotniejszym dośpiewem i niejako uzupełnieniem. Jest to jakby ton w akordzie niezbędny dla dokonania jego harmonii — ton trzeci, ostatni...

Pierwszorzędne potęgi poetyckie w dawniejszych epokach pojawiały się prawie zawsze z osobna. Społeczeństwa całe, wieki całe składały się na wydanie mistrza, któryby uwagę więcéj niż swego tylko narodu zwrócił na siebie. W trzynastym wieku Dante, w czternastym Petrarka, na początku dopiero szesnastego Ariosto. O pół wieku późniéj słynęli trzej prawie równocześni mistrzowie, lecz każdy z innego był narodu: Kamoens Portugalczyk, Tasso Włoch, Kochanowski Polak. Zajaśniał w kilkadziesiąt lat po nich Szekspir Anglik. Na przestrzeń siedmnastego wieku przypadają Calderon i Milton — każdy znowu z innego końca świata. Potém nastało w literaturze powszechnéj milczenie, pozornie tylko przerywane płonną gędźbą dworaczych, małoduszných, szkolnie udresowanych rymotwórców. — Od połowy dopiero ośmnastego wieku daje się widzieć jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Poezya prawdziwa odżyła. Powstał cały zastęp poetów, rowieśnych i coraz młodszych, którzy się do jéj chóru jeden po drugim łączyli. Najprzód widzimy ich w Niemczech: Klopstok, Lessing, Herder, Wieland, Bürger, Göthe i Schiller. Ci siedmiu, otoczeni całą drużyną mniejszych talentów, zapełniają wiek ośmnasty i podnoszą w kraju swoim sztukę na coraz wyższe szczeble potęgi. A kiedy w r. 1805 zabrakło Niemcom Schillera, kiedy Göthe już więcéj aniżeli poezyą, zajmować się zaczął teoryami światła i metamorfozy roślin: odezwał się od gór szkockich głos nowy, powszechną na się zwracający uwagę, godny tamtych antecedencyi i z natchnienia i z całego kierunku. I tutaj znowu działało całe

grono współczesnych, przodowali mu zaś ci trzej europejskiego rozgłosu, wielcy poeci: Walterscot (od roku 1805), Tomasz Moore (od 1806), Byron (od 1808). To był więc drugi ton w akordzie nowoczesnéj europejskiéj poezyi. Między 1824 (zgon Byrona) a 1830 (ostatnie prace Walterscota) dogasa i w angielskiéj literaturze głębsze natchnienie. Lecz płonie ono świętym ogniem gdzie indziéj: — Brodziński, Mickiewicz i ci wszyscy, którzy ich otaczali, dzierżyli w rękach swoich już lutnie.

W chwilach, kiedy to piszę, zamiera zdaje mi się już i ten ton trzeci. A nie słychać niestety nigdzie w świecie, żeby się ten akord daléj rozwijał. Na wierszokletach i rymotwórcach nie zabraknie w żadnym języku. Będzie sobie rzempoliła muzyczka, bez któréj obejść się już ludkowie nie mogą. Ale co się tyczy prawdziwych poetów, to się zdaje, że na długie czasy w bieżącéj dziejów epoce zamkniętą została złota ich księga. W rachubach zatopiły się dni obecne; społeczeństwa tegoczesne pozbyły się nawet biernej zdolności pojmowania wielkich idei. Turkot fabryk przegłusza wszystko na świecie, a posunięta do cynizmu poziomość teraźniejszych instynktów wybornie rymuje z rytmem tego turkotu. Kto wie, czy ów zbieg tylu naraz pierwszorzędnych zdolności w literaturach ostatniego stulecia, nie był oznaką jakiego przesilenia w duchu społeczeństw? Może się poezya rozstawała z rzeczywistością życia na dłuższe czasy, i właśnie przeto, jak ta lampa zgasnąć mająca, chciała na pożegnanie zabłysnąć jaśniejszém światłem...

W skutek takiego właśnie, jakeśmy go w powyższém określili, stósunku między literaturą naszą a powszechną, poezya polska — mimo całéj swojéj skądinąd odrębności — okazuje się, zwłaszcza też w pierwszych czasach, w pewnéj zawisłości od tradycyi celniejszych mistrzów postronnych. Dla téj tężto właśnie przyczyny nazywała się ona wtedy romantyzmem. Sama nie wiedząc, jak przychodziła do téj nazwy, składała ona mimowolnie przez to jakby świadectwo swojéj solidarności z angielską i niemiecką poezyą, które u nas w owych czasach uważano za romantyczne. Okoliczność ta nie dowodzi jednak niczego przeciw oryginalności naszego piśmiennictwa. Oryginalność bezwarunkowa w ogóle może być tylko przymiotem albo literatur tak niepiśmiennych i że powiem samorodnych, jak naprzykład ludowe pieśniarstwo serbskie z czasu walk narodowych z Turkami, albo też takiéj wyjątkowéj literatury, jak starożytna grecka. Tamte nic jeszcze nie wiedzą o sztuce dalszego świata. Grecka zaś będąc w dziejach naszéj cywilizacyi pierwszą artystyczną literaturą, musiała się z konieczności i sama z siebie i samodzielnie rozwijać. Ale o żadném z późniejszych a większego znaczenia piśmiennictwie europejskiém tego już powiedzieć nie można; gdyż każde z nich mniéj lub więcéj posiłkowało się zasobami poprzednich. Podobnie też więc i nasi poeci brali z zewnątrz i popęd i pierwszy kierunek w swojém że się tak wyrażę uzdolnieniu technicznem; czerpali z studyów obcych wzorów świadomość artystycznych wymagań i t. p. Po za te zewnętrzne względy nie posuwa się jednak u nich

to ich pokrewieństwo z obcymi pisarzami. Nie sięga ono prawie nigdy aż do istotnéj dzieł osnowy, która nie tylko brana jest zawsze z obrębu rzeczy ojczystych, ale nawet tonem, barwą i dążnością odpowiadała jak najwierniéj powszechnemu nastrojowi ducha narodowego, jakim ten nastrój był wtedy. Prace naszych poetów sąto prawie zawsze dzieła tchnące jakąś błogą, serdeczną i miłościwą pogodą ducha. Ton pieśni polskich wprawdzie jest przeważnie smętny i łzawy; mimo to jednak widać tu wszędzie silną wiarę w opiekę Opatrzności nad światem — w grunt natury ludzkiéj ostatecznie szlachetny — w prędzéj czy późniéj zapewniony tryumf idei dodatnich nad potęgami fałszu i złego, przeczącymi im i czasowo tłumiącymi ich panowanie nad światem. To też zwątpienie, rozpacz, bunt ducha, przekleństwa odtrącające, te tak przeważne znamiona poezyi nowoczesnéj angielskiéj, równie wtedy były nam obce, jak metafizyczna mglistość, właściwa niejednemu z pisarzów niemieckich, i ta skłonność do gubienia się w nieznurtowanéj zadumie. Nasze ideały mają zawsze coś realnego — wydobywamy je z pod serca naszego, cierpimy za nie; a po nad wszystkiém unosi się religijna miłość Ojczyzny, głębiéj i czyściéj pojęta, niż w któréjkolwiek innéj literaturze.

Na takieto zatém czasy, śród takiéj w literaturze dążności i po tych zdarzeniach, stanowiących jéj odrodzenie — przypadło wystąpienie Słowackiego jako autora dwutomowej jego publikacyi z r. 1832. Nim przystąpię do szczegółowego przeglądu rzeczy w tychże tomach zawartych, uważam

za potrzebne rzucić najprzód i o nich także kilka ogólnych spostrzeżeń. Określenie to stanowiska Słowackiego w obec innych pisarzów wyjaśni nam najdokładniéj, dlaczego te pierwsze dzieła jego nie zostały tak przez naród przyjęte, jak się tego autor spodziewał.

Zacznijmy mówić o tém, poczynając od dobréj strony. — Znamieniem znakomitéj jego i pierwszorzędnéj zdolności, choć nierozwiniętéj jeszcze zupełnie, jest w dziełach tych przedewszystkiém zewnętrzna forma. Mimo tak młodego wieku poety — język, styl, wiersz, koloryt, obrazowanie i co tylko stanowi zewnętrzną szatę poezyi, dosięgło już tutaj takiego wydoskonalenia, że pod tym względem nie ustępował początkujący ten pisarz żadnemu z ówczesnych poetów naszych. — Niemniéj świadczy o rzetelnych zaletach już tych młodocianych jego utworów ta okoliczność, że takowe na dłuższéj z nimi znajomości nie tracą. Roboty miernych talentów zwykle najwięcéj się podobają przy pierwszém czytaniu. Biorąc je po raz drugi do ręki, ogarnia czytelnika nuda — i niepodobna już wtedy pojąć, że się to mogło za pierwszym razem podobać. Z pismami Słowackiego ma się rzecz po większéj części przeciwnie. Im się dłużéj nad nimi zastanawiasz, im je częściéj odczytujesz, tém więcéj w nich wykrywasz niezaprzeczonych zalet. Zalety te są w znacznéj mierze na pierwsze spojrzenie jakby niewidzialne dla czytelnika. Zdaje ci się, jakby one dopiero zwolna z dzieła występowały i odsłaniały się w miarę zajęcia, z jakiém na nie spoglądasz. Najwięcéj jednakże to w pracach Słowackiego podnieść należy, że je owiewa

jakiś urok tonu, jakiś czar kolorytu dziwnie poetycznego, który się zresztą usuwa z pod analizy. Nie jest to myśl głęboka, nie jest to owa wieszcza mądrość i intuicyjne znawstwo serca ludzkiego, nie jest to wreszcie ani też siła woli męskiéj, skłaniająca do podziwu w tworach mistrzów pierwszego rzędu. Z tego wszystkiego mało znajdziesz w dziełach, które mamy przed sobą. Ale uderza cię w nich natomiast jakiś wdzięk nieopisany, jakiś dziwnie melancholijny urok p o e t y c z n e g o n a ś w i a t s p o j r z e n i a.*) Jest to zdaniem mojém, właśnie strona talentu Słowackiego, która go najwybitniéj odróżnia od wszystkich innych naszych poetów, która stanowi najistotniejszą cechę jego

*) Nie potrafię rzeczy téj lepiéj wyrazić, jak chyba przez porównanie. Bawiąc w r. 1864 w Rzymie, często zachodziłem do bazyliki św. Pawła, podźwigniętéj z perzyny, w jaką ją obrócił pożar w r. 1823, a będącéj właśnie wtedy na dokończeniu. Pomijając zewnętrzną świątyni téj powierzchowność, która się stósować musiała do pierwotnéj struktury i z powodu wielkiéj prostoty, oczekiwań dzisiejszych nie zaspakaja: całe jéj wnętrze — jest to najwspanialszy pomnik wszystkich sztuk pięknych w połączeniu, na jaki się tylko zdobyć mógł w najwyższym wysiłku swoim wiek obecny. Nie wiedzieć, co tam więcéj podziwiać, czy drogocenność materyału, czy olejne obrazy, mozaiki i freski pierwszych mistrzów tegoczesnych, czy rzeźby, czy las kolumn dźwigających ciężar sklepienia, czy zmyślność, z jaką ściany kościoła wyłożono płytami marmurowymi najrozmaitszych, a zawsze najwyszukańszych gatunków. Bazylika ta ma pięć naw. Nawa środkowa otrzymuje światło z góry z przepysznych okien o malowanych szybach. Nawy poboczne poprzestawały wtedy jeszcze na szybach tymczasowych ze szkła białego. Otóż właśnie z tego powodu szczególny mię tam zawsze uderzał kontrast. Chociaż już i w pobocznych nawach bazyliki

oryginalności, która mu zapewnia nawet wobec większych od niego mistrzów stanowisko wyjątkowe w literaturze. Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanéj po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jéj przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszechnego toku wydarzeń: Słowacki tam umie dopatrzeć i dosłuchać się jakby ostatnich tęsknych westchnień owéj melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zu-

---

każdy szczegół, ile wykończony z całym wytworem, zmuszał każdego do podziwiania tylu w jednem miejscu nagromadzonych arcydzieł: — to kiedy się jednak dojdzie aż do nawy środkowéj, wtedy piękność tak całości, jak pojedynczych przedmiotów przybiera rzeczywiście jakiś urok nieopisany! Światło lejące się tęczami z różnobarwnych okien téj nawy, idealizuje nieskończenie tę część kościoła. Wszystko zdaje się być owiane jakiémś tchnieniem błogiém dla oka i dla ducha. Szczegóły spływając w téj toni kolorów w jakąś ogromną jedność, tworzą harmonią miękką, falistą, krągłą, która dziwnie odbija od naw pobocznych, jeżeli się pod wpływem właśnie tego wrażenia, rzuci teraz okiem w ich wnętrze. Podziwiane co tylko tychże piękności i najwyższe sztuki wysiłki zdają się być teraz jakby z innego świata; sprawiają wrażenie, jakby je mroziło jakieś zimno północy. Wszystko się zdaje surowém, ostrém, twardém, istniejącém z osobna i tylko dla siebie. Owóżto kontrast sposobów oświetlenia! W pobocznych nawach — to jeszcze koloryt zwyczajnéj, powszechnéj rzeczywistości; a tam — to koloryt poezyi, atmosfera nadziemska, stworzona sztuką. Do tegoto więc rodzaju oświetlenia w malarstwie ja przyrównywam to coś, co w poezyi tak często właściwém jest Słowackiemu.

pełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki, przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny. Nie tyle jeszcze przekonywają o tém autorskie jego utwory, ile listy, tak zresztą od niechcenia pisane, że co tylko po imieniu nazwie, co tylko wedle sposobu swego opowie, na czém tylko spocznie okiem: wszystko to przyobleka się w barwy, w kształty, w tony, o jakich drugim, na tosamo codzień patrzącym ani się marzy. Owoż więc, co nazywam spojrzeniem na świat — nie z woli, nie przez sztukę, lecz z bezpośredniéj natury poetyczném, w ściślejszém słowa tego znaczeniu.

Lecz właśnie ten dar oglądania wszystkiego jedynie w cudownych światłach poezyi przyprawił poetę naszego o stratę zdolności pojmowania rzetelnych świata tego stósunków w ich warunkach rzeczywistych. Jest on na podobieństwo owych wieszczów mitycznéj starożytności, którym bogowie w zamian za lutnię do rąk podaną i za poetyckie jasnowidzenie, odjęli widzenie przyrodzone i zamknęli oczy na wszystko, co ich zewnątrz otaczało. Słowacki nie miał zmysłu dla niczego, co się tylko zowie rzeczywistością. Zrażała go ona, bo mu nie była piękną; oburzała go, bo nie była mu zrozumiałą. Stanowisko jego względem warunków, w jakich żyć ludziom wypadło, ponieważ je sobie sami tak a nieinaczéj, stósownie do natury swéj ustanowili, było najzupełniéj ujemném, wszystkiego odmawiającém, zaprzeczném. Nie przyznając im uprawnienia do bytu, uważając je za bezwarunkową negacyą tego, co być ma: w konsekwencyi też upatrywał we wszystkiem, co ten normalny porządek świata

naszego wstrząsa, zakłóca i targa, eo ipso za piękność, za poezyą, słowem za przedmiot godny współczucia poety. Nie zdając sobie sprawy ani z pobudek ani też z godeł, w imieniu których jedynie wolno jest w danéj chwili wyzywać do walki ten ład normalny, na zbudowanie którego składały się pokolenia, narody, wieki całe trudu, cierpień i ofiar, poświęcał on pióro swoje najczęściéj i najchętniéj takimto właśnie walkom rozpacznym, bez względu czy je wszczynają siły do tego upoważnione, czy też raczéj grzeszna i zbłąkana tylko niemoc duchowa, w złudne przyodziana pozory bohaterstwa i poświęcenia. I oto właśnie, w czém się pomylił, w czém się rozminął nie tylko z duchem poprzedniéj poezyi naszéj, ale i z instynktem lepszéj części społeczeństwa narodowego.

Nie tylko w tej młodzieńczéj życia jego epoce, ale i późniéj dążność ta, choć potem nieco złagodzona, nieraz się przebija w jego pismach. Nawet kiedy pracował nad Królem-Duchem, ostatniém swojém dziełem, widzimy go stojącego twardo przy takiém przekonaniu. Oto je w tym poemacie wręcz wypowiada w następujących wierszach, które tém chętniéj tu przytaczam, że nie mogły one znaleść pomieszczenia w drukowanym kontexcie tego utworu z powodu, iż były rzucone luźnie gdzieś na brzegu jednéj z kart manuskryptu.

„Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę,
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,
Gdzie się trzaskają serca i przyłbice;
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje,

Uchodzą: dziwna w pośmiertnych różnica
Z tymi, co wieczne tu marzą pokoje
I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy —
Piekielni, z których drwi anioł globowy!

„O! fałszu, ludziom z ciała niewiadomy,
Tęsknoto, królów spokojnych płacząca!
Wiédz, że ten lepszy, co na krew łakomy
Zda się jak orzeł, lud o lud roztrąca“... i t. d.

Nie podlega wątpliwości, że w tych strofach jest wiele prawdy. Spokój, sen ducha, nieczynność — to martwość. Bój, ruch, prąd naprzód — to przyrodzone prawo duchowe. Ale gdyby to zdanie Słowackiego postawić w jego sposobie na czele wszelkich prawd innych i zrobić zeń regulatora postępków dla wszystkich ludzi: w coby się to wtedy zamieniła ta ziemia nasza i życie na niéj?

Ale to jeszcze nie wszystko. Na tém tle wyobrażeń, stanowiących u Słowackiego przez cały jego zawód to co nazywamy pospolicie filozofią poety, daje się widzieć w młodzieńczych jego latach jeszcze jedna doktryna, a dzieła jego z roku 1832 są prawie wszystkie właśnie manifestacyą takowéj. Słowacki przypuszczał dwie niejako natury ludzkie. Zwyczajny ogół — mniejsza o to, czy z głów koronowanych, czy z nędzarzy złożony — to gawiedź, to „tłum“. Po za tym tłumem zdarzają się, wprawdzie rzadko i wyjątkowo, ludzie całém niebem różni od zwyczajnych kreatur ludzkich. Są to wedle poety duchy wyższe, jakby przez przypadek tylko i nieporozumienie przysłane

na ten nasz padoł. Czy to są istoty dobroczynne dla rodzaju ludzkiego? Czy oni odsłaniają tu bliźnim swoim lepsze drogi żywota? Czy zostawiają po sobie w czynach, w śladach lepiéj przepędzonego życia, wdzięczną pamięć po sobie? — Bynajmniéj! Nasz autor pojmuje tę ich wyższość, tę ich demoniczną wielkość, w zupełnie przeciwny sposób. Są to duchy, z którymi on wprawdzie sympatyzuje całém sercem i aż za nadto, które jednakże mimo tego i same są najnieszczęśliwsze i dla drugich złowrogie. Między warunkami ich szczęścia, a tém co świat zwyczajny poczytuje sobie za szczęście, nie ma żadnéj wspólności. Co ludzi cieszy, dla nich jest niczém; co ludzi zaprząta i zaspakaja, ich nudzi; a czego oni pragną, to przy tych okolicznościach, jakie są, wcale nie może być osiągniętém na ziemi. Są to więc otchłanie uczuć gorejących, góry woli, trawiącéj się w sobie; są to tytany: ale postawione po za wszelkim stósunkiem ze światem i z tém, co na nim jest. Wielkości takie nazwałaby matematyka nieobliczonymi, niewymiernymi wielkościami (irrationales, incommensurabiles). Ich życie między resztą rodu ludzkiego — jest to zdaniem autora, jedno pasmo cierpień, zawodów, jęków, krzywd, zbrodni, przekleństw i wszelkiego rodzaju rozdźwięków. Jest jakby jakiś wiszący nad ich głowami fatalizm, który wszelkiéj ich styczności z ludźmi taki zawsze nadaje obrot, że oni sami celu swego nie osięgając, niweczą wszystkie warunki spokoju i szczęścia drugich. To też marzą oni ciągle o samobójstwie, narzekają na przesyt życia, celu żadnego przed oczyma nie mają, nic ich nie wiąże do

świata, gardzą ludźmi, nienawidzą wszystkiego, na czém świat stoi: i narobiwszy zamętu i klęsk na całéj drodze swego żywota, przeklinani, przeklinając, kończą marnie jako niby ofiary przewrotności świata i zwyczajnéj natury ludzkiéj. — Do tegoto typu odnieść należy i Araba i Mnicha i Mindowę i Bieleckiego i Żmiję i Botwela w Maryi Stuart. Tak rozmiłowany był nasz autor w ideałach tego rodzaju, że ciągle więc jednego człowieka w dziełach swoich wprowadza, pod zmienioném tylko zawsze nazwiskiem! Wielka musiała być w nim wtedy gorycz dla ludzi, kiedy ten temat mizantropii i zwątpienia nie ustępował mu z oczu!

Rzecz oczywista, że tego rodzaju doktryna, pozbawiona wszelkiéj podstawy, nie mogła trafić do przekonania powszechnego, kiedy się ukazały te piérwsze tomy Poezyi Słowackiego. Ogół nie mógł wcale rozumieć, o co autorowi chodzi? Dzieła poprzednich poetów były im zrozumiałe, bo tchnęły miłością ku ludziom. Społeczeństwo polskie jest z natury dobroduszne, optymistyczne. Nieraz ono aż zbyt daleko się posuwa, spodziewając się wszystkiego, co dobre; wierząc w dobrą wolę wszystkich; kochając to co swoje, co ludzkie — nawet z błędami! W tém się więc aż do owego czasu dążność poezyi, która pragnęła podnieść ludzi, ale ich wzgardą nie odtrącała, z usposobieniem społeczności naszéj spotykała na jednéj drodze. Punkt wyjścia Słowackiego wcale nie był z takich przypuszczeń. Miłość ludzi, jakimi oni są stworzeni, nie należała wcale do jego przymiotów. Stawiał jako ideały, jako bohatery w swoich dziełach takie natury, które (choćby ubocznie) dowodzić miały,

jakie to życie jest nędzne, a my sami jacy maluczcy i podli! Choćby to była i prawda: — to i jakiż skutek być może takich dowodzeń? Uderzać na błędy, na głupstwa ludzkie... rozumiem. Ale cóż pomoże utyskiwać nad naturą człowieka? My tego nie odmienimy! Wyrzekać na to — jest to tosamo, jak kiedyby kto wyrzekał, że w styczniu jest bardzo zimno, a w lipcu znowu zbyt gorąco.— I społeczeństwo nasze wie o tém, że bywają pomiędzy ludźmi natury wyjątkowe, że się zdarzają czasem duchy potęgi i zdolności większéj, aniżeli zwyczajna. Ale wystawiamy sobie stósunek onych do reszty ludzi zupełnie inaczéj. Prawdziwie wielki człowiek — to chluba wieku, to największy dar boży, jakiego dostępują narody, to dobroczyńca społeczności, która go ma...

Przejdźmy teraz do szczegółów i rozpatrzmy się bliżéj w tém wszystkiem, co w sobie mieściły tomy wydane roku 1832. Nasamprzód wypada oznaczyć koléj rzeczy w nich objętych, nie podług tego jak je autor uporządkował w wydaniu, gdyż to nie dowodzi niczego, ale podług czasu, w którym nad każdém dziełem pracował. Miałem przed sobą podręczny Słowackiego exemplarz obu tomów. Są w nim zapisane ołówkiem, własną jego ręką, notatki dające o tem wiadomość, kiedy i gdzie co było pisane. Można zatém z autentyczną pewnością ustanowić porządek chronologiczny utworów, o których mowa. Był on następujący:

Hugo był pisany w Warszawie, 1829 roku, w sierpniu.

Mindowe — także w Warszawie, tegoż roku, w listopadzie. Praca nad nim ukończona była w jednym miesiącu.

Mnich przypada na luty 1830 roku — w Warszawie.

Bielecki na lipiec tegoż roku — tamże.

Marya Stuart zajęła, równie jak Mindowe, jeden miesiąc czasu. Była pisana w Warszawie w roku 1830, od 17 września do 18 października.

Arab powstał w listopadzie 1830, tamże.

Żmija był płodem różnych czasów. Pieśń pierwsza rzucona była także jeszcze w Warszawie, w miesiącu lutym 1831, a zatém krótko przed wyjazdem za granicę. Druga pieśń przybyła w Dreźnie, w lipcu 1831. Trzecia w Paryżu, w wrześniu. Czwarta tamże, w październiku. A zatém zapełnia poemat ten prawie cały rok 1831, przy pracy nad nim ciągle przerywanéj już to przez zdarzenia tego roku, odwodzące uwagę autora w inne strony, już przez same zmiany pobytu, niemniéj przyczyniające się do roztargnienia.

Do Skibickiego wiersz powstał dopiero w Paryżu w lutym 1832.

Nie mam zamiaru wchodzić z równą szczegółowością w rozbiór wszystkich tych poezyi. Niektóre z nich nie wytrzymują zgoła krytyki i nie ma się co nad nimi rozwodzić. Tak naprzykład myślę, że i najzagorzalsi wielbiciele Słowackiego zgodzą się na to, że najrychlejsza między wyliczonymi powyżéj jego rzeczami wypadła nader słabo. Ani przez inwencyą, ani przez wykonanie poemat ten nie sprawia wrażenia na czytelniku. Charakter **Hugona**, głównéj osoby, tak dorywczo i ołówkowo

tylko rzucony, że ani sądu o nim ani współczucia dla niego mieć niepodobna. Wszystko zaś psuje do reszty ten brak prawdopodobieństwa, rażący przy każdym kroku. Jest to zatém tylko próba młodzieńcza z rodzaju tych, któreśmy ogłosili na początku pierwszego tomu dzieł Słowackiego pozgonnych.

Przejdźmy do **Mindowy**. — Przedewszystkiém najwłaściwszą będzie powtórzyć, co o téj sztuce sam autor rozumiał wtedy, kiedy oddawał ją do druku. — „Niech mi wolno będzie wyznać, (mówi on w notach dodanych na końcu sztuki), że sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty, kiedy autor miał lat —. Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych powiedziało, iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniéj w przypisach o przywileje małoletnich upominam się.*) I tak: Mindowe powinien był w tece dziecinnéj pozostać. Wiecznieby w niéj pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do

*) Miał lat wtedy właśnie 20. A zatém prawie tyle, ile ich miał Schiller, kiedy pisał pierwszą swoję tragedyą, *die Räuber*. Zresztą wzmianka, że to był najmłodszy z płodów wtedy wydanych, o tyle jest niedokładna, że Hugo napisanie jego poprzedził.

kilku scen pierwszego aktu, i do całego aktu trzeciego"...

Że to, co tu mówi Słowacki, było jego przekonaniem rzetelném, a bynajmniéj nie pochodziło z jakiéjś udanéj skromności, którato skłania niekiedy autorów do spowiadania się przed czytelnikiem z tych lub owych uchybień częściowych, aby krytyka tém pewniéj zato pochwaliła całość ich dzieła: o tém świadczy i ta jeszcze okoliczność, że się w tymsamym sensie o téj sztuce wyraził i poufnie w liście do matki. Zdaje się, że musiała ona coś zganić w układzie tego dramatu. Na to jéj tedy odpowiedział poeta słowem krótkiém, ale dobitném: — „Tragedya Mindowe, wiem że bardzo słaba — oprócz kilku scen." (Z listu z d. 30 lipca 1832 r.).

Na tym wyroku i mybyśmy mogli najzupełniéj poprzestać. Miejsc pojedynczych, wyższym nacechowanych talentem, nie brak wprawdzie téj sztuce; wrażenia odpowiedniego jednakże całość nie sprawia. Co samo już świadczy albo o jakiémś niefortunném założeniu całego pomysłu, albo o jakiéjś wadliwości w jego przeprowadzeniu, albo o obojgu. Wadliwe przeprowadzenie rzeczy — jest to innymi słowy pewien niezwiązek pojedynczych części, choćby z osobna najpiękniejszych, pomiędzy sobą i w stósunku do całości. Że dzieło niniejsze zarzutom pod tym względem podlega, tego nie ma co dowodzić. Sam autor to już przyznał. Za to nie wiem, czyby się był zgodził — w owéj chwili przynajmniéj — na to, coby powiedzieć należało o głównym pomyśle tego dramatu.

Z nazwą tragedyi wiążą się zawsze wysokie wymagania. Zapewne ażeby tego uniknąć, nazwał poeta obecny swój utwor skromniejszém mianem obrazu historycznego. Nie na wiele mu się to jednak przydało. Najprzód bowiem, jeżeli czém nie jest Mindowe, to właśnie obrazem wieku. Do tego musiałby był Słowacki podejmować zupełnie inne studya. A potém, jak nadanie nazwy tragedyi takiemu utworowi, który nią nie jest, nie czyni go jeszcze tragedyą: tak też odwrotnie zatytułowanie sztuki jakiéj poematem dramatycznym, obrazem historycznym itp. nie przeszkadza jéj bynajmniéj być tragiczną kreacyą, jeżeli tylko ma po temu wewnętrzne i prawdziwe warunki. Rzecz się ma podobnie i w tym razie. Mindowe nie może być inaczéj przedmiotem krytycznych uwag, jak tylko właśnie jako tragedya, do rodzaju któréj najwięcéj się zbliża.

Powiedzmyż, co jest, a raczéj co ma być tragiczném w obecném dziele? — W ogólności otrzymuje każdy utwor znamię tragiczne albo przez odpowiedni tok zdarzeń, stanowiących to co pospolicie nazywają bajką dramatu, albo przez charakter działających w nim osób. Zazwyczaj jedno nie może być bez drugiego, bo gdzie jest pierwsze, tam się znajdzie samo z siebie i drugie: jednakże bywa zazwyczaj pewna po téj albo po owéj stronie przewaga. Stósując to do Mindowy, zdawać się wprawdzie może na pierwszy rzut oka, że poeta oparł się tu głównie na przedmiotowéj stronie osnowy; że wyrazem i przeprowadzeniem téj idei, która kierowała jego wyobraźnią, kiedy obmyślał układ dzieła, chciał mieć mniéj więcéj następujący przebieg wydarzeń:

Mindowe porzucił wiarę ojców. Z pobudek politycznych, dla zaspokojenia dumy swojéj, dla powiększenia granic państwa, wdał się w związki z Krzyżakami, przyjął koronę królewską, a z nią (wprawdzie obłudnie i tylko na pozór) i chrześcijaństwo. Naród oburzył się nad taką wzgardą bogów ojczystych. Stanął przeciw wiarołomcy. Własna matka rzuciła na głowę jego przekleństwo. Na nic się nie przydało, że potém Mindowe odrzucił maskę przybraną, do pogaństwa powrócił i Krzyżaków zdradził. Przekleństwo matki musiało się dopełnić. Zerwany węzeł wierności narodowéj nie mógł być powetowany. Mindowe ginie, a z nim i całe potomstwo jego. Na jego tronie zasiada Trojnat, wierny religii narodu.

Po głębszém zastanowieniu jednak upada przypuszczenie, żeby z tego punktu widzenia dała się wskazać główna waga téj sztuki.

Najprzód bowiem bezpośredni cios, spadający na głowę króla, nie pochodzi ze strony zbuntowanego ludu, ale od Dowmunta. Dowmunt mści się za krzywdę osobistą, a nie z religijnych powodów. Co większa — ów Trojnat, który ostatecznie obejmuje rządy nad Litwą po strąceniu Mindowy, nie ma co do głównéj rzeczy żadnéj nad tymże wyższości. Nie jest on typem dążeń przeciwstawionych roli, jaką stryj jego odegrał. Chociaż bowiem jest poganinem i być nim nie przestaje: to i on jednak osięga tron książęcy także nie inaczéj, jak tylko przy pomocy Krzyżaków. Jest z nimi sprzymierzony, przyrzeka, „że się nie będzie nigdy wdzierał do pruskiéj dzielnicy“, że „usługę Krzyżaków w wiecznéj zachowa pamięci“.

Nic się zatém przez jego na tron wstąpienie na Litwie nie zmieniło. Tak przed katastrofą, jak po katastrofie — białe płaszcze z czarnym krzyżem na piersiach z równym wpływem występują na scenie przy każdéj sposobności.

A zatém okazuje się, że tragiczność téj sztuki nie może polegać na akcyi. Tok zdarzeń nie zawiera w sobie żadnéj idei tragicznéj. Szukajmyż przeto, czego nam trzeba, gzieindziéj — w charakterach.

Charakterów w téj sztuce jest kilka z pewną siłą i konsekwencyą rzuconych. Plastyczna, marmurowa postać Rognedy jest jak z jednego odlewu. Posągowy to pomnik macierzyńskiéj miłości na tle szorstkiego wieku i nieogrzanéj uczuciem chrześcijańskiém dzikości. Lecz to osobistość stawiona w téj tragedyi na drugim planie. — Wybornym typem starolitewskiéj siły jest także Lutuwer. Mistrzowska scena jego skonania (w akcie czwartym) jest jednym z najszczęśliwszych ustępów w całym dramacie i nie pozostawia nic do życzenia. Ale i z Lutuwerem tylko się mimochodem zapoznajemy i spotykamy go zaledwie trzy razy w całym przebiegu sztuki. — Z wielkim wdziękiem rozpoczęta rola nieszczęśliwéj Aldony, zrazu obiecuje wiele; od połowy IIIgo aktu jednak i ta postać przestaje zajmować widza, spadłszy na poziom prostéj kopii szekspirowskiéj Ofelii. — Heidenrich, Wojsiełko, Mindowe — są to typy jednego stępla, ale Mindowe przerasta ich wszystkich perfekcyą w swoim rodzaju i zarzuca cieniem cały obraz dramatu. W ręku Mindowy zbiegają się wszystkie nici rozbiegłych zdarzeń.

On nimi kieruje, on je wszystkie porusza. Jego wola, jego czyny, jego cierpienia — oto punkt, około którego wszystko się gromadzi.

Rozbierzmyż teraz rolę, jaką autor dał odegrać bohaterowi sztuki. Przyznając z góry, że takowa ma w sobie wszelkie tragiczności pozory, starajmy się wyrozumieć, czy te pozory nie są złudne; czy w charakterze Mindowy daje się dostrzéc coś takiego, coby jego działanie w tym kierunku jak się ono rozwija, upoważniało i dawało mu prawo do walki, jaką jest całe człowieka tego życie?

Tragiczność roli Mindowy nie jest wynikiem jego położenia, jego stósunku do świata, śród którego żyje. Ona wynika z jego własnéj natury, ona jest w nim i tylko w nim samym. Jest to człowiek, jakby na to zrodzony, ażeby nie poszanować niczyjego prawa na świecie, ażeby zdeptać wszystko, co dla drugich miłe i drogie, ażeby uważać za igraszkę rąk swoich wszystko, co go tylko otacza — i piętrzyć zbrodnie na zbrodniach — i wiedzieć że to źle — i boleć nad tém i cierpieć, — a jednak nie móc czy też nie chcieć zejść z téj drogi fatalnéj.

Czy tacy ludzie zdarzają się na świecie? Bywają pono niekiedy — dzięki Bogu, że bardzo rzadko! W utworach poetyckich można się częściéj z nimi spotykać. Dzieła Byrona przedewszystkiém w nie obfitują. Byron też dopiero jest właściwie ojcem podobnych typów w poezyi jako natur upoważnionych do bytu.

Są to niby półbogi w porównaniu z zwyczajną małością ludzką. Ale ta ich półboskość nie sięga po

za własne rozumienie o sobie, a w najlepszym razie nie sięga po za pewną, błyszczącą jak szych, wspaniałość słów, uczuć i pragnień, których jedyném źródłem bezdenna egoistyczna duma. Są to zatém olbrzymy w zachceniach, a w działaniu prawdziwe karły! Burzyciele szczęścia ludzkiego za życia, a w godzinie zgonu szatany. Zdaje im się, że cały ich zawód na ziemi była to jedna nieustająca krzywda, jakiéj doznawali od ludzi: podczas gdy w rzeczy saméj onito byli dręczycielami drugich.

Czy Słowacki widział swego Mindowę w takiém świetle przed sobą? Czy wiedział o tém, że jego bohater nie jest niczém więcéj, jak demonem upadłym? Otóż właśnie w tém cały obłęd poety, że tego nie wiedział; że owszem rozumiał, iż w nim przeciwstawia zwyczajnéj naturze ludzkiéj osobistość doskonalszéj organizacyi, osobistość właśnie przeto upoważnioną do zakłócenia szczęścia wszystkich i każdego na ziemi...

Zresztą gdyby się można zgodzić na wprowadzenie postaci, jakem ją tutaj określił, w zakres dzieła osnutego na najdawniejszych dziejach Litwy pogańskiéj: — przyznać trzeba ku pochwale poety, że ją i z konsekwencyą przeprowadził i nieraz umiał uwydatnić tę abstrakcyjną wielkość, jaka niewątpliwie jest jednym z przymiotów podobnych demonicznych postaci.

Dążność ta otrzymała w dziele obecném tyle nawet po nad wszelkim innym względem przewagi, że czytelnik nieraz — mimo woli i mimo wiedzy — sympatyzuje z jego bohaterem! Słysząc dumne, niekiedy prawdziwą powagą tchnące odzywania się

jego, skargi jego zaprawione dojmującą goryczą, rozkazy jego wydawane głosem, przed którym wszystko się korzy — zapominamy niemal o czynach, na któreśmy własném okiem patrzeli, o czynach zadających kłam owéj wyniosłości, owéj poezyi wyrazów.

Jeżeli naprzykład Mindowe (w akcie I) przemawia do Krzyżaków:

„Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe?“

Albo kiedy się (w akcie II) skarży na posępne przeznaczenie swoje:

„Sam więc jestem, sam jestem! Walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi,
Wędzidłem krwawém ściągać dzikie ludu hordy —
To moje życie... Usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię“...

Albo kiedy przewidując bliską zagładę, obsaczony zbuntowanym narodem (w akcie V) mówi do Rognedy:

„Matko, czujesz? — przez okna téj gotyckiéj sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie...
O Litwo moja, syn twój na ciebie się żali!
Zdradzasz go“...

Albo wreszcie, kiedy (w akcie IV) żegna się ze swoim zamkiem:

„O zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie naprzód powita jutro słońce jasne —
Ja ciebie żegnam... Zamku! na wysokiéj górze,
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać
I nieraz cię krwią ofiar niewinnych zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?“

Któżby nie słuchał słów takich z pewném współczuciem i nie rozumiał, że ma głębszą naturę przed sobą? A tymczasem złóż, oblicz, oceń całe pasmo jego działania — rozważ, co ten bohater w jaśniejszych chwilach sam o sobie i to bez najmniejszéj mówi przesady, — naprzykład w pierwszéj scenie aktu IIIgo:

„I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni? . . . . .
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał —

(pokazując sztylet)

Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na téj rdzawéj stali...
Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza
Lud podły, ciemny, dziki czołga się pode mną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie

Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?“

Jeżelić tak: to jakże jemu mówić do ojczyzny z wyrzutem:

„O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go“.

W inném miejscu (w akcie Vtym) powiada o sobie:

„Bezbożny — zbójca — tyran — obłudnik — morderca.
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie:
Jam wszystkie spełnił — zimno! Znużony po zbrodniach
Głębiéj teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko, ciężkie, ciężkie było moje życie!
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
Nikt mnie nie kochał“!...

Ta skarga: nikt mnie nie kochał! nie jestże to istne szaleństwo w ustach takiego człowieka?

Owoż — przeprowadzenie zawodu takiéj demonicznéj natury, takiéj że powiem irracyonalnéj wielkości ducha, powołanéj do czynu w rozległym zakresie działania władcy narodu — zdaje mi się że było artystycznym zamiarem autora Mindowy. Zadanie wielkie, zadanie godne znakomitego poety. Ale trzeba sobie było zdać z tego sprawę, czy się kreśli wizerunek demona, czy ideału. — Nie chodzi wprawdzie o to, ażeby bohaterami dramatów były same idealne postaci.

I ujemne żywioły mogą niekiedy nosić na sobie znamiona wielkości. Poezya złego nie wyklucza z swego obszaru. Bohaterem Szekspirowéj tragedyi Ryszard IIIci jest niemal szatan wcielony. Ale Szekspir wiedział o tém, że to bicz boży, na to tylko tutaj przysłany, żeby uprzątnąć plac z nieprzydatnych do niczego rumowisk. Szekspir nie wzbudzał w widzach dla niego ani współczucia ani uwielbienia. Nicość moralna nie jest tam zatém bynajmniéj osłoniona wszystkimi urokami poezyi, aż do złudnego przybrania pozorów tego, czém nie jest, i przemienienia się w przedmiot zachwytu poety. U Słowackiego zaś w tém dziele ma się rzecz właśnie przeciwnie.

Pomiędzy utworzeniem Mindowy a dokonaniem **Maryi Stuart** upłynęło trzy kwartały czasu, zapełnionego innymi robotami poetyckimi. Bierzemy jednakże pod rozbiór już w tém miejscu ten późniejszy utwor Juliusza, ponieważ je forma dramatyczna do siebie zbliża; a daléj ponieważ chcielibyśmy pod bezpośredniém wrażeniem uwag rzuconych co do Mindowy, ocenić — sprawdzić niejako te słowa poety w domówieniu do rzeczonego dzieła powiedziane: „Sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności Mindowy, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć.“

W rzeczy saméj przyznać to poecie należy, że drugie jego dzieło sceniczne z wielu miar od tamtego jest wyższe. Już sam początek jego wzbudza wielkie oczekiwanie. Zawiązanie intrygi zręczne.

Nakreślenie charakterów zdaje się być szczęśliwe, wykonane ręką pewną i wprawną. Wstępne sceny przemawiają doraźnie do wyobraźni i coraz więcéj obudzają zajęcia. Cały akt pierwszy, równie jak drugi, prowadzone są w sposób chlubnie świadczący, że się talent poety przez ten czas rozmógł, dojrzał, spotężniał. Uchybień, jakie wytknąć należało Mindowie, nie znajdujemy tu ani śladu. Co krok miejsca silne, porywające, prześlicznie pomyślane, wyrażone najcudniejszym wierszem, jakim kiedykolwiek pisano po polsku. Już pewność czytelnika ogarnia, że ma przed sobą utwor pierwszego rzędu, jednę z pereł dramatycznéj poezyi naszéj. Wtém — rozpoczyna się akt III, a w nim jakoś się akcya zaczyna wikłać — ogniwo łańcucha zdarzeń, dotąd prowadzonego tak dzielnie, pęka — charaktery owiewa jakby mgła jakaś, która nie dopuszcza dojrzeć aż w samo ich wnętrze — coś się w nich paczy, zdaje się, jakby się ich role poprzemieniały — współczucie widza chwieje się... lecz nie uprzedzajmy sądu czytelnika naszego. Zacznijmy raczéj rozbiór, od czego go rozpocząć należy, od wyjaśnienia głównéj intencyi autora, od zdania sobie sprawy z roli pierwszorzędnéj w dramacie, z charakteru Maryi.

Jest to młoda, żywych uczuć, luźnych zasad i wątłéj woli kobieta, stawiona ironią losu na tronie narodu, z którym oprócz prawa do dziedzicznéj nad nim władzy, żadna ją wspólność nie łączy. Obyczajami zbliżona do Francyi, gdzie jéj upłynęły najrańsze lata młodości; sercem najściśléj złączona z Rzymem, którego religijną zwierzchność uznaje; gorących katolickich przekonań — objęła

rządy nad krajem, który się od jedności kościoła oderwał, uporczywie obstaje przy nowych wyobrażeniach, w posępnym rygorze swego purytanizmu spoziera z oburzeniem i wzgardą na tę miękkość obyczajów zamorskich, co ton nadają na dworze Maryi Stuart. Pospólstwo stolicy w zapędzie fanatycznym nie tylko lży publicznie wyznanie swojéj monarchini, ale i czynnie znieważa przybytek „papistycznego“ jéj nabożeństwa. Jeden z sekciarzy, przywódca ludu, posuwa się i daléj jeszcze. Oto namawia już gawiedź do stanowczego wypowiedzenia jéj posłuszeństwa nawet jako panującéj, do otwartego buntu. „Zburzcie, zburzcie to gniazdo, woła wskazując na jéj pałac królewski, a odlecą kruki!“ — A wyższe stany? Wyższe stany patrzą na to wszystko obojętnie. Nie widać w nich żadnego współczucia dla znieważonéj. Czują mniéj więcéj tosamo, co pospólstwo; tylko że miarkują uczucia swoje rozsądkiem i jeszcze trzymają się w karbach uległości pozornéj.

Ale poeta nie poprzestał na odsłonieniu téj tylko jednéj trudności w zawodzie swéj bohaterki. Droga Maryi nie z téj tylko przyczyny prowadzi po nad krawędzią przepaści, że ją widzimy w przedmiotowéj kolizyi, gruntującéj się na okolicznościach politycznych, zewnętrznych, na okolicznościach, których ona nie wywołała. Jest jeszcze inny szkopuł, o który się rozbić może łódka jéj spokoju i bezpieczeństwa, a tym szkopułem jest jéj własna osobistość. Tamte trudności dotyczą jéj tylko jako królowéj; te jéj dotyczą jako kobiety.

Marya jest młodą, dobrą, a nadewszystko — ona jest piękną! Wywiera urok i pociąg jakiś nie-

opisany na wszystkich, którzy bliższy, którzy częstszy przystęp do niéj znajdują. W téj mierze jest jakaś jakby demoniczność przywiązana do jéj osoby. Wprawdzie ogół narodu nie podlega téj sile jéj niewieściego uroku. Przesądy, sekciarstwo, niechęć z jednéj, a brak ufności z drugiéj strony utrzymują zbyt wielki przedział między krajem a tronem. To też mało ma przyjaciół królowa szkocka. Ale kto się liczy do jéj otoczenia, do jéj przyjaciół — rycerze jéj orszaku — dworzanie wierni, którym serce jéj lepiéj jest znane: ci wszyscy pod wpływem jéj czarującéj osobistości muszą się żegnać z spokojem ducha! Marya zapala miłość, na kogo tylko z nich spojrzy.

Wszakżeż nawet najmłodszy w całém ich gronie, paź królowéj — niedorosłe pacholę i prawie dziécię jeszcze — rozmarzony tém słodkiém upojeniem, jakiego w jéj otoczeniu doznaje, z uniesieniem, w bezwarunkowém oddaniu całego swego jestestwa na usługi swéj pani, takimi oto słowy maluje uczucia, jakie ona w nim rozbudziła:

„Czy ja kocham królowę? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jéj stopach, — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jéj czoła;
Nieraz jéj twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonéj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!“...

Z takich samych uczuć, tylko w namiętniejszy sposób, mógłby się spowiadać i Rizzio, nadworny lutnista królowéj, i niejeden inny jeszcze, gdyby — byli tyle naiwni, co ów paź młody, i nie woleli tego, co czują, tego co sobie roją, do czasu zamykać w sercu.

Wprawdzie za urojenia drugich nikt odpowiadać nie może. Ale na Maryą spada jednakże część winy za te jaskrawe uwielbienia jéj powierników. Niekoniecznie to bowiem mimo jéj wiedzy i mimo jéj chęci zapalają się te płomienie. Marya jest już z natury zalotną. Nienadaremnie też pierwszą życia wiosnę spędziła nad brzegami Sekwany.

„Niedawno w kraju Franków na królewskim dworze
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana.
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.“

Na kwiatach tedy, na skrzydłach motylka, jak sen ułudny, lekko uleciała jéj przeszłość. Za przybyciem do Szkocyi skończyły się te dni jasne. Widzi się tu przyjmowaną ozięble, samotną i opuszczoną przez naród; czuje, wie nawet o tém, że jest podejrzywaną i niemal znienawidzoną. Témci miléj, tém wdzięczniéj przyjmuje hołdy od téj szczupłéj liczby przyjaciół, jaka ją jeszcze otacza. A chociaż w tym lub owym odgaduje uczucia żywsze i śmielsze i gorętsze, niżby może należało: bawi się nimi, cieszy się nimi, bo to jéj próżności pochlebia, bo tkliwe jéj serce nie chciałoby od-

trącającém słowem nikomu jego rozkosznych marzeń przerywać — a wreszcie, wszakże to już jest wszystko, „co jéj rozjaśnia tę pustynię ciemną,“ do któréj przyrównywa smutny swój zawód na ziemi!

Z tego zachowania wynikają oczywiście następstwa, które szkodzą jéj sławie i bynajmniéj nie przyczyniają się do umocnienia jéj stanowiska na tronie. Świat wie o tém, że stósunek między królową a mężem jéj Henrykiem Darnley, jest od pewnego czasu bardzo jakoś oziębły. Powszechne mniemanie oskarża ją o miłostki z dorodnym Włochem, z poetycznym harfiarzem nadwornym, z Rizziem. Mniemanie to podziela także i tytularny król Szkocyi, małżonek Maryi Stuart. Co większa, i Rizzio nawet — sam rozmiłowany w królowéj nad miarę — bynajmniéj nie jest daleki od uwierzenia temu, że doprawdy osoba jego jest dla królowéj nieobojętną. Na karb tego, co sobie roi, poczyna też on sobie z panami i dostojnikami królestwa z takiém zuchwalstwem, w sposób jak dla przybylca i człowieka w jego podrzędném położeniu tak niestósowny, że tém bardziéj jeszcze samochcąc utrudnia pani swojéj wszelkie porozumienie z narodem. Marya Stuart jednakże i tego wszystkiego za nic sobie nie waży. Poczytując się za niewinną, nie poczuwając się do tego, o co ją posądzają, śmiało wyzywa opinią ludzką.

Wprawdzie przychodzi jéj czasem na myśl, że mogą szkodzić nawet i same pozory, że „czyste zwierciadło skazić może i lekkie tchnienie“. Ale duma monarsza co prędzéj ją

napowrót sprowadza na tę pochyłość, po któréj idzie, gdyż —

„Któż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie!
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie“!

Co najwięcéj jednakże w całym tym stosunku jest niebezpiecznem, to że serce Maryi nie jest zajęte żadném żywszém, trwalszém, rzetelniejszém uczuciem, a koniecznie zdaje się potrzebować głębszego zajęcia. Jéj mąż, Henryk Darnley, nie jest człowiekiem, któryby potrzebom tego serca wystarczał, któryby je osobą swoją zapełnił. Niedołężna to natura! Ograniczony, słaby, lękliwy — namyśla się w nieskończoność nad wszystkiém. Rozbiera po tysiąc razy swoje nędzne położenie, swój upokarzający stósunek względem kraju, względem żony, względem jéj zalotników. Szemrze pokątnie na jéj postępowanie, zazdrości władzy królewskiéj, którą tylko tytularnie z nią dzieli. I w téjsaméj chwili drży na samę myśl, że się może królowa obraziła o co na niego! Przyjaciele jego chcieliby w nim rozbudzić jakieś poczucie godności. Nik, błazen jego nadworny i towarzysz nieodstępny (o którym powiedzmy tu choć nawiasem, że jest to może najwdzięczniejsza rola w całym dramacie i najgłębsza natura ze wszystkich figur w nim działających), Nik smaga go nielitościwie dojmującymi szyderderstwy. Popychają wszyscy nieboraka to w tę stronę, to w ową. Rozdmuchują w nim iskrę zemsty. On też nieraz zapala się okrutnie — przyznaje im wszelką słuszność — grozi wszystkim zapalczywie... ale czémże im grozi? — oto że się

wreszcie już postanowił nad położeniem końca temu wszystkiemu — namyśleć.

Taka chwiejna kreatura, taka bezwarunkowa nicość męszczyzny nie była oczywiście stworzona na męża Maryi Stuart. Jeżeli Henryk znaczył coś kiedy w jéj oczach, to te czasy dawno minęły. Zgoda i porozumienie małżeńskie spadły między nimi do pustéj formy. Darnley rzadko się też pokazuje na pokojach królewskich. Trawi czas najwięcéj z błaznem swoim, w wiejskiém ustroniu. A w sercu Maryi — próżnia niczem nie zapełniona!

W tym stanie rzeczy potrafił zbliżyć się do boku królowéj człowiek, którego niepospolita, zagadkowa istota od razu zapala jéj wyobraźnię. Jest on obecnie także rycerzem w jéj orszaku; nazwisko jego Botwel. Postać zadumana — ponura — smętna, o bladéj twarzy. Trawią i dręczą go od dawna pragnienia jakiéjś nieokreślonéj wielkości, pragnienia przechodzące wszelki zakres rzeczy do osiągnienia podobnych. Jeden z tych typów byrońskich, nigdy niezadowolonych z niczego, którym się przeto snuje ciągle myśl samobójstwa po głowie. — Oto jakimi słowy sam Botwel zapoznaje nas z sobą:

„Na wybladłéj twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda: — nie patrz, co jest we mnie!
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony, zimny — umrzeć muszę"...

Z tą tedy tajemniczą naturą, z tym duchem kolosalnych zapędów, ale jakby napiętnowanym

cechą potępienia na czole. spotyka się na drodze życia swobodna, bezpieczna, zalotna żona Darnleja. I to spotkanie stawia ją znienacka, niebawem w położeniu, z którego się bezkarnie wycofać — graniczy niemal z niepodobieństwem. Aż dotąd postępowanie królowéj szkockiéj mogło być w wielu względach niebaczne, mogło upoważniać do krzywdzących podejrzeń, mogło w oczach rygoryzmu jéj purytańskich poddanych być i naganném: — w własném wszelako sumieniu nie miała ona sobie dotąd do zarzucenia żadnéj przewiny. Igrała wprawdzie z uczuciami, które być nie powinny igraszką; bawiła się miłością, którą tylko w drugich wzbudzała; szła po śliskiéj, stromej ścieżce, lecz ani przypuszczała, że ta ścieżka może prowadzić i ku przepaści. Naraz spostrzega, że się zapędziła za daleko. Widzi się w pętach uczucia, które z uśmiechem na twarzy tylekroć wyzywała bezkarnie. Czuć zaczyna całą wagę, całą potęgę téj siły, któréj się nierozmyślnie poddała. Sumienie własne przemawia do niéj z goryczą, że to, co dotąd nazywała tylko swych nieprzyjaciół potwarzą, może niezadługo i sama o sobie za drugimi powtórzy.

Wrącym pędem toczy się odtąd ten prawdziwie tragiczny przebój pomiędzy wzrastającą coraz bujniéj w sercu Maryi miłością i demoniczną potęgą, którą na niéj posępny Botwel wywiera, a słabym oporem reflexyi i sumienia, jaki zdolna stawić obydwom. Do tragicznego obrotu rzeczy przyczyniają się i uboczne okoliczności, przypadkowe zdarzenia, następstwa nieprzewidzianych, obojętnych założeń dawniejszéj daty. Takto zwykle się objawia w zawikłanych sprawach ludzkich

ironia losu. Pod wpływem tego wszystkiego wynikają z nawiązanego ogniwa pierwszéj przewiny coraz nowe, coraz fatalniejsze, coraz wręcz występniejsze wypadki, aż wreszcie przychodzi do świadomego i umyślnie zamierzonego morderstwa, wykonanego na własnym mężu, i do wystawienia się na ostatnią wzgardę i ohydę narodu. W objęciach zbrodniczego kochanka, przed którego tajemniczą istotą w końcu i sama się wzdryga, obarczona żalem i wyrzutami sumienia, w ostatniéj scenie widzi się Marya zmuszoną zstąpić z stopni tronu swojego, w rychłéj ucieczce szukać ocalenia przed sprawiedliwą pomstą własnych poddanych. Ustępuje tedy z granic ojczyzny. Razem z Botwelem — znienawidzonym, idzie powierzyć się niepewnym losom tułactwa między obcymi. A ostateczny kres jéj zawodu — smutna dola ofiary, na śmierć z ręki kata skazanéj, wśród ciemnych murów angielskiego więzienia — odsłania jéj się jak wizya — w dalekiéj perspektywie, na tle obrazu, który przed oczyma jéj ducha niewidoma ręka roztacza. To katastrofa i rozwiązanie dramatu.

Tyle miałem do powiedzenia o głównym zamiarze, jaki autor dziełu swemu podłożył. Takem pojął charakter bohaterki tego dramatu.

Ramy obrazu Słowackiego są zatém jak widzimy dość szczupłe. Nie zamierzał on, jak Schiller w swojéj tragedyi tegoż tytułu, wciągnąć w zakres dzieła swojego całego historyzmu danéj epoki. W głębi zdarzeń, na pierwszym stawionych planie, nie odsłania żadnych przebojów dziejowych ogólniejszego znaczenia, których związek z zabiegami ludzi dramatu podnosiłby bohaterkę i tych co ją

otaczają, na wysokość prawdziwie historycznych postaci. Nie chciał korzystać nawet z owéj kolizyi polityczno-historycznéj, ukazanéj w głębi sceny w sposób tyle obiecujący na samym początku sztuki, z kolizyi mówię między narodem a panującą z powodu sprzecznych religijnych przekonań. I zaniedbał zupełnie wyprowadzić z téj sceny następstw, któreby w jakiéjkolwiek mierze wpływały na tok dramatu w dalszéj jego osnowie. Zgromadził natomiast całe światło obrazu właściwie na jednéj tylko postaci. Spoczął wzrokiem swoim na niepospolitych rysach jéj indywidualnéj natury, na nadzwyczajnych kolejach jéj życia, uważanego z ogólnie ludzkiego stanowiska. I tak stawił przed sobą zadanie, które mimo że sprowadza koronowaną osobistość dziejową na poziom prywatnéj niemal niewiasty, tyle jednak ma stron w wysokim stopniu zająć jeszcze mogących wyobraźnię każdego, tyle warunków prawdziwéj dramatyczności, że krytyka patrząca, jak sprawiedliwie, tego tylko, co dać autor zamierzył, a nie czegoby sobie kto może życzył, nie ma pod tym względem nic do zarzucenia poecie.*)

Nawet więcéj jeszcze ośmieliłbym się powiedzieć na korzyść pomysłu służącego tu za główne założenie dramatu. Wspomniałem już wyżéj o tragedyi Schillera, osnutéj na tym samym ustępie

*) To jedno chyba możnaby tu nadmienić, że niewłaściwie nazwał autor dzieło swoje, pomimo tak ścieśnionego zakresu, historycznym dramatem. Historycznym nie jest on wcale, chociaż zna i historya ludzi, którzy w nim występują. On jest tylko psychologicznym obrazem serca ludzkiego i jego namiętności. Ale mniejsza o tytuł!

dziejów szkocko-angielskich. Daleki wprawdzie jestem od rozumienia, żeby arcydzieło to niemieckiego tragika nie miało być jako skończony utwor sztuki, wzięty w całym swoim ogóle, nieporównanie wyższém od obecnéj sztuki Juliusza. Gdyby atoli chodziło o porównanie ze sobą samych tylko bohaterek w jednym utworze a drugim, to zdaje mi się, że porównanie takowe wypadłoby pod artystycznym względem ostatecznie na korzyść takiéj Maryi Stuart, jak ją poeta polski w dziele swojém wprowadza. Heroina Schillera jest nierównie mniéj dramatyczna. Bardzo mało, właściwie nic wcale nie przyczynia się ona osobą swoją do téj gorzkiéj doli, jakiéj doznaje. Jéj cierpienia, jéj smutny koniec, nie są to wyniki winy, którąby była zaciągnęła sama; są to wszystko raczéj, jak wiadomo, następstwa okoliczności od niéj niezawisłych. O tyle zawód jéj tedy jest tylko bierny. Cierpi — jako słaba ofiara obcéj przemocy; upada — niewinnie.

Warunkiem prawdziwéj tragiczności w losach człowieka jest nieodzownie pewien własny i umyślny współudział jego w powodach, które na posępny obrot jego doli wpłynęły. W klasycznéj tragedyi greckiéj mogło odgrywać przeważną rolę przeznaczenie, fatalizm. Zgodne to było z ówczesnymi wyobrażeniami o warunkach szczęścia i nieszczęścia ziemskiego. Nam nowoczesnym wszelako pojęcia takie nie wystarczają. W nas wrażeń prawdziwie tragicznych nie wzbudza widok saméj tylko bierności cierpienia. Nam trzeba i czegoś więcéj — własnéj współwiny tego, który cierpienia te znosi.

Geniuszowi tak potężnemu jak Schiller, nie mogły oczywiście nie być wiadome i najgłębsze tajemnice sztuki, któréj był mistrzem. Znał on dokładnie warunki tragicznych założeń i rozporządzał samowładnie sposobami sprawiania za pomocą dzieł poetyckich, wrażeń, o jakie nam tutaj chodzi. To też bierność roli zbyt idealnéj Maryi Stuart w jego utworze, była tylko skutkiem nieuniknionym samego wyboru rzeczy, samego przedmiotu dzieła. Ograniczył się bowiem Schiller do samych ostatnich chwil zawodu swéj bohaterki. Kreśląc ujmujący jéj obraz na tle posępném angielskiego więzienia, czuł on i sam najdokładniéj pewien brak samodzielnego ruchu, brak, że tak powiem inicyatywy dramatycznéj w jéj roli, jaki z tego nieuchronnie wynikał. Lecz umiał go zakryć poniekąd, a nawet sowicie go wynagrodził innym sposobem. Wprowadził bowiem w dziele swojém Maryą nie tyle jako charakter przerastający zwyczajny poziom niewieści pod względem ogólnie ludzkim, ale jako postać historyczną, stawioną na piedestalu jéj dziejowego znaczenia, z wszystkimi znamionami wieku i kraju, na tle których ją zapamiętała historya. Wprowadził ją jako typ pewnych uroszczeń dynastycznych, pewnych przekonań religijnych, których samo pojawienie się w jéj osobie na ziemi angielskiéj, chociaż było przypadkowe i bez żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, już tu zostało poczytaném za wyzwanie do boju, i ściąga na się nieuchronnie odwet ze strony interesów miejscowych, tamtym ideom przeciwstawionych. Tak więc bohaterka Schillera, jako katoliczka, jako prawa dziedziczka tronu Tudorów,

której się lękać osobiście musi Elżbieta, a z nią i każdy jéj poddany, jeżeli jest zwolennikiem panującego kościoła, — jako przedstawicielka pewnych godeł przywiązanych mimo jéj woli do jéj imienia, występuje w tragedyi przecie wyzywająco i niejako zaczepnie. I z tego punktu widzenia uważana, odzyskuje poniekąd to pełne znaczenie dramatyczne, na jakiém jéj zbywa jako osobistości indywidualnéj, jako kobiecie, która zakończyła już z światem i nie zamierza mieszać niczyjego spokoju.

Słowacki wybrał sobie inną chwilę życia Maryi Stuart. Rozwinął w ramach swego obrazu właśnie pierwszą połowę jéj pełnego przygód zawodu. Ukazał jéj wizerunek z całym urokiem niewieścim, jakim właśnie w owych czasach tyle jaśniała; z ową dumą monarszą, która późniéj dopiero miała doznać upokorzenia; z pędem temperamentu niezłamanego żadnymi jeszcze ciosami losu, pod wrącym skwarem namiętności, jakie się właśnie dopiero rozbudzały w jéj sercu. Rola tak pomyślana łączy w sobie wszelkie warunki świetnego powodzenia na scenie. Postępki i przeboje, uczucia i koleje, jakie bohaterka jego popełnia, stacza, przechodzi — są tu wypływem jéj własnéj inicyatywy. Odpowiedzialność za wszystko spada jedynie na nią. Źródło wszystkiego, co czyni, i wszystkiego, co cierpi — jest w niéj saméj.

Równocześnie z powyższém uznaniem artystycznych zalet wyboru, poczuwać się musi jednakże krytyka i do obowiązku postawienia zapytania: Czy z materyału takich czynów i takich cierpień daje się stworzyć dzieło, któreby równie za-

dość czyniło i etycznemu także zadaniu dramatu, ile jest pewném teatralnych efektów? Czy przygody indywidualne takiéj osobistości, jak Marya Stuart w owéj życia swego epoce, są zdolne przyjąć na się to znamię głębszéj intencyi, tę idealną barwę prawéj poezyi, do znajdowania któréj w dramatycznych kreacyach już nas przyzwyczaili wielcy mistrzowie dawniejsi na tém polu literatury? — Nie śmiałbym żadną miarą rzeczy powyższém zapytaniem objętéj zaprzeczyć bezwarunkowo. Rozumiem raczéj, że co do tego względu zależało wszystko już tylko od talentu, a raczéj od zręczności poety w ciągu pracy nad szczegółowém wykonaniem utworu. Mianowicie stanowiła tu o rzeczy całéj owa czujna baczność artysty i psychologa, ku temu najusilniéj zwrócona, ażeby każdy krok na téj przepaścistéj pochyłości ku zbrodni był czy to odpowiednimi zajściami poprzednimi, czy wyjątkowym stanem duszy działającego należycie i dostatecznie uzasadniony. Częstokroć się i najjaskrawszy występek okaże jako tylko tragiczna, nieuchronna konieczność chwili, jeżeli go stawisz na tle okoliczności, które towarzyszyły jego spełnieniu. W ogóle przed trybunałem poezyi łatwiéj jest zdać rachunek z przewinień, jak przed wszelkimi sądami świata. Prawdziwe są słowa Byrona:

„Bywają zbrodnie, z których rdzę ohydy
Zdejmuje chwila — bywają pokusy
I nieuchronne i takie potężne,
Że z nimi boju naturze nie wszczynać.“ *)

*) Byrona Werner, Akt II, scena 2:

Tymto sposobem może więc nie byłoby niepodobieństwem zrehabilitować w dramacie imię kobiety, nienajlepiéj zapisane w historyi. Wydatne, usilne, z przyciskiem dokonane odsłonienie w jéj charakterze gruntu, niemającego w stanowczy sposób żadnéj spółki z poziomą i powszednią pospolitością kału ziemskiego i — co jeszcze ważniejsza — nieustanne a konsekwentne utrzymywanie w widzach przez cały przebieg dramatu wiary w onę lepszą cząstkę jéj serca — potrafiłoby zdaje mi się doprowadzić do tego, iżby słuchacze — nawet w obec jéj przestępstw stanowczego potępienia godnych skądinąd, byli raczéj przejęci współczuciem litościwém i tą czcią wielkiemu przynależną nieszczęściu, aniżeli zimnym wstrętem oburzenia i zgrozy.

Ale temu zadaniu poeta nasz, zdaniem mojém, nie sprostał. W ogóle uwaga jego nierównie mniéj była zwrócona na potrzebę pokonania trudności wynikających z etycznych wymagań dramatu, jak na osiąganie silnych poetyckich efektów. I ta to właśnie okoliczność odebrała utworowi jego ów wdzięk muzyki rzewnie przemawiającéj do serca, owę wspaniałość obrazu, pod którego barwami czujemy przytomność jakiéjś wielkiéj idei, słowem ono znamię wyższéj kreacyi, jakiego brak podobnośmy wszyscy uczuli, kiedyśmy mieli przed niezbyt dawnym czasem sposobność widzenia Maryi Stuart odegranéj na scenie.*)

*) Była dana na scenie lwowskiéj dwa razy w ciągu roku 1862.

Czuję w wysokim stopniu i pociąg i potrzebę nawet poparcia tego, co tu powiedziałem ogólnie, dowodami opartymi na szczegółowych takich ustępach dzieła, gdzie pod wspomnianym względem kompozycya Maryi Stuart zdaje mi się być niedostateczna. Odsuwam jednak od siebie pokuszenie, jakiego w téj mierze doznaję, a to z przyczyny, że przewiduję, iż wywody podobne, jeżeliby być miały wyczerpujące, powiększyłyby za nadto objętość tego dzieła i — co gorsza, nadałyby mu mimowolnie jakąś cechę polemiczną, którą, ile tylko być może, chciałbym usunąć z uwag dotyczących pisarza, którego nie ma już pomiędzy nami. W własnym interesie poety niechaj mi tedy będzie wolno tę przynajmniéj dołączyć tu tylko jeszcze uwagę, że niedostatki, jakie upatruję w praktycznem przeprowadzeniu tak tego dramatu, jak i wielu innych młodzieńczych dzieł Słowackiego, nie tyle mi się widzą skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, jakiéjś, jeślibym miał nazwać rzecz po własném imieniu, niezdolności technicznéj, ile raczéj wynikiem odrębnego sposobu artystycznego, i prawiebym powiedział — maniery, jaka mu w pierwszych latach jego zawodu była właściwa i stanowiła wtedy jedno z najwybitniejszych znamion jego oryginalności.

Jeżeli który z pisarzy naszych, to właśnie Juliusz uważany być może, zdaniem mojém, za szczególnego wyobraziciela romantyzmu w poezyi. Romantyzm — jest to jeden z owych wyrazów, o których znaczeniu można mówić bardzo długo i powiedzieć bardzo wiele, a jednak nie wyczerpnąć wszystkiego. Na to jednak zgodzi się każdy po-

dobno, że przywiązane są do jego istoty i pewne odrębności co do ducha i pewne właściwości co do formy. Pomijając zupełném milczeniem tamte, a mając w obecnéj chwili tylko te ostatnie na oku, przyznajmy sobie, że romantyzm formy — wprawdzie nie z istoty rzeczy, lecz bardzo często w skutku, de facto, wychodzi na tosamo, co genialny kaprys, co niezawisłość najzupełniejsza od wszystkiego, co pozytywne, co jakiemukolwiek rozważeniu podlegające, co przez techniczne wymagania kompozycyi warunkowane.

Poeta hołdujący przesadnie temu kierunkowi sztuki, w ciągu pracy około szczegółów dzieła rozpoczętego poczyna sobie wedle najswobodniejszego widzi-mi-się swojego; i rzucając jeden rys tak, drugi owak, ma zwykle swoje przyczyny, dlaczego w taki właśnie je sposób rzucił. Lecz to są tylko jego przyczyny. Zdarza się czasem, że nie ma i żadnych przyczyn; ale mu coś majaczy, jakby je miał; i to nieokreślone, jemu samemu niedościgłe poczucie wystarcza, aby kierowało już jego ręką. Jeżeli go wspomaga w pracy prawdziwe natchnienie i wielki talent, to poczucie owo go nie zawiedzie. W przeciwnym razie — zawiedzie go niezawodnie i to na bezdroża dziwactwa, na trzęsawiska marzycielstwa, na jakich tak często na początku tego stulecia widywano owych to poetów niemieckich, kuszących się rywalizować z sławą Göthego i Schillera, których w literaturze téj znają pod imieniem romantyków i którzy — powiedzieć można — zdyskredytowali to godło.

Com tu powiedział w ogóle, nie zamierzam tego oczywiście stósować literalnie do poety, już

w pierwszych latach czynności swojéj pisarskiéj tak znakomitego, jak nasz Słowacki. Miał wszelako i on pewne swoje nawyczki, którychbym się nie wahał kłaść głównie na karb źle zrozumianego romantyzmu. Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiéj zależał — pod względem technicznego artyzmu — na tém, że więcéj on zawsze tylko natrącał i napomykał, nawięzywał i urywał, jedném więc słowem, szkicował i fragmentyzował, aniżeli żeby miał był wszystkie przejścia kreacyi swojéj wykonywać szczegółowo, w równéj mierze i w nieprzerwanym ciągu.

Cała sztuka jego (w dziełach przypadających na pierwsze lata zawodu, o tych bowiem tu jedynie mówię), polega na tém: rzucać pełnymi garściami światła na stanowcze tylko momenta, a resztę zostawiać w cieniu, jeżeli nie zupełnie po za ramami obrazu. Sprawiać wielkie wrażenia sporadyczne — oto główny cel jego tworzenia. Czegoby zaś całości niedostawało, niech sobie tam tego czytelnik własnym przemysłem dopełni!

Byli, trafiają się może jeszcze, wielcy i godni europejskiéj sławy artyści dramatyczni — tak aktorzy jak i śpiewacy sceniczni, którzy początkowe sceny sztuk i w ogóle wszystkie obojętniejsze ustępy oddawali zazwyczaj z umyślném jakiémś zaniedbaniem i bezbarwnością, ażeby zato w chwilach rozstrzygających błysnąć niespodziewanie całą świetnością talentu i samym kontrastem wrażeń najpotężniéj olśnić publiczność. Owoż w podobny zupełnie sposób występują i w dziełach naszego poety szczegóły wykończone tém jaskrawiéj na widok, im mniéj są podniesione pośledniejsze partye

utworu. Te świetne chwile w jego kreacyach sprawiają wrażenie jakoby grup rzeźbiarskich, plastyczném dłótem ciosanych; ale zato przestrzenie pomiędzy jedną taką grupą a drugą traktowane są od niechcenia, często lekkomyślnie, co się zowie, byle zbyć. Owoż — gdyby to zaniedbywanie się, gdyby to homeryczne w miejscach niektórych zasypianie odnosiło się do wiersza, do języka, do innych tym podobnych zewnętrzności poetyckich: — nie byłoby nic zgoła do powiedzenia przeciwko przyswojeniu sobie takowego sposobu. Ale najgorsza w tém, że się ono — nawet w rodzaju poezyi tak realizmem przesiąkłéj, jak dramat, u Juliusza właśnie do zupełnie czego innego ściąga. Albowiem wiersz autora Maryi Stuart jest owszem w każdéj części dzieła mistrzowski, język jego zawsze się iskrzy brylantami najczystszéj wody! Natomiast niedbałość epizodyczna, o jakiéj mowa, dotyczy u niego saméjże rzeczy, obmyślenia osnowy, dotyczy saméjże kompozycyi, wiązań budowy, częstokroć samychże fundamentów. I to jest właśnie fatalna strona tej maniery, wielce powabnéj skądinąd. Cóż bowiem z tego, że stanowcze chwile i wydatniejsze ustępy w większém dziele poetyckiém będą w s o b i e oddane z całą świetnością geniuszu? Jeżeli tych chwil walnych p o w o d y, jeżeli tych ustępów potężnych w i ą z a n i e polega na jakichś kruchych, wątłych i że tak powiem uproszonych tylko premisach, a krytycznéj próby nie wytrzymuje: w takim razie i to wszystko, co na tém oparte, wisi jakby w powietrzu i nie może wywierać prawdziwie głębokiego wrażenia. Uderza i podoba się w pierwszéj chwili: po dłuższém zastanowieniu, nie zaspakaja.

Tak naprzykład piękną jest niezaprzeczenie scena VI aktu trzeciego w Maryi Stuart, scena, gdzie się Rizzio po raz ostatni żegna z królową i gdzie zostaje zamordowanym. Jeżeli jednak zważymy, że Rizzio miał wedle rozkazu Maryi wyjechać niezwłocznie i jeszcze téj nocy, i że były bardzo ważne powody, ażeby jak najrychléj odjechał, i że też już stanęło na tém (w ostatniéj scenie aktu II), że się już więcéj nie pokaże na jéj pokojach: — to prawdziwie nie wiedzieć, jakiéj okoliczności przypisać to widzenie się jego jeszcze z królową? W pewnéj recenzyi uczyniono uwagę, że się Marya w Włochu kochała i że dlatego więc jako dawnego kochanka, przyjmuje go jeszcze u siebie, ażeby się z nim pożegnać. Ale przypuszczenie takie nie ma żadnéj podstawy. Świat wprawdzie posądzał królowę o te miłostki. W rzeczy saméj nie było ich jednak między nimi. Bo czyż w takim razie mogłaby ona mówić w monologu (w scenie VII aktu II):

„Wszak z dawna mnie obarcza czarne podejrzenie!
Myślą, że kocham Rizzia"...

Czyżby wreszcie, w takim razie, mogła się była ostatnia scena aktu II odbyć takim tonem pomiędzy nimi, jak jest skreślona w dramacie? A zatém niepodobna jest wymyślić sobie żadnego dostatecznego powodu, dlaczego Rizzio po tém wszystkiém, co zaszło, otrzymuje to wezwanie do Maryi, zwłaszcza że tegoż samego czasu ma się przecież pojawić w jéj komnacie i Botwel, także przywołany tam przez nią. Cóż więc jest? Oto poeta musiał wprowadzić owego wieczora czy nocy

Włocha do pokojów królowéj, gdyż u stóp to jéj koniecznie miał być Rizzio zamordowany. Lecz zupełnie zaniedbał uzasadnić téj jego niespodziewanéj bytności o téj porze w tém miejscu; i cierpi na tém budowa sztuki.

Weźmy inny przykład. — Kiedy po zamordowaniu już Rizzia i po oddaleniu się jego zabójców, Marya omdlała odzyskuje przytomność i spostrzega przybyłego tymczasem do jéj komnaty Botwela: wtedy rzuca się rozpaczliwie sama w jego objęcia —

„O niech teraz te światła, te pochodnie zgasną,
Żeby mój wstyd ukryły. . Kocham cię Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona“!

To zwierzenie, które wśród takich okoliczności, tak bez ogródki czyni Marya Stuart kochankowi swojemu, zdaje się być oparte na głębokiéj (u poety) znajomości serca ludzkiego. I gdyby tak się rzeczy miały, jak je sobie Botwel tłómaczy:

. . . . „W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie“...

zwierzenie to byłoby rzeczywiście, jak tam ktoś o tém powiedział: „psychicznie uzasadnione!“ Byłaby to wielka exkuza dla bohaterki dramatu, że upada; i wielka zasługa poety, że téj sprawie taki dał obrót. Lecz to zwierzenie się królowéj, jako i samo przybycie Botwela o téj porze w to miejsce, nie jest bynajmniéj przypadkowe. Wszakże on już poprzednio przez pazia królowéj został tu zawe-

zwany na tę godzinę, na jéj wyraźny rozkaz! (Obacz scenę II w akcie III). Zresztą Marya Stuart nie teraz dopiero rzuca się w tę przepaść, w jaką się miała dla niéj obrócić ta miłość ku Botwelowi, bo już w scenie poprzedniéj (w scenie VII aktu II) widzieliśmy ją, co się zowie, przygotowaną i zdecydowaną do tego kroku.

„O teraz przybądź do mnie! przybądź tu Botwelu! Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia — Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy“ i t. d.

A zatém, nie jest to bynajmniéj następstwem okropnéj dopiero chwili owéj i „rozpaczy“ i „obłąkania“, że się rzuca Marya sama w jego objęcia. Choćby bowiem te okropności wszystkie i nie były zaszły, choćby był Rizzio jeszcze przy życiu: to byłoby się stało i wtedy nawet zgoła tosamo. Bo i cóż byłaby powiedziała królowa Botwelowi przybywającemu do niéj w nocnéj porze i na jéj własny rozkaz? — Podobno mniéj więcéj tosamo, co i teraz z jéj ust usłyszał!

Albo cały ten pomysł (w akcie V) z ową lampą przed ołtarzem płonącą, któréj Botwel koniecznie uparł się użyć do podpalenia prochów pod Henrykiem Darnlejem, ażeby go wysadzić w powietrze... Marya Stuart wzdryga się na taką myśl świętokradzką. Czyni, co tylko może, ażeby nie dopuścić do tego. Cała scena dotycząca téj chwili jest pełna wielkich wrażeń tragicznych. Jeżeli jednak rozważymy, że wszystek ten opór czyniony jest przez kobietę, która przed chwilą męża swego już własną ręką intencyjnie zamordowała, boć wiedziała ona o tém, że truciznę zabójczą, a nie

napój usypiający leje w czarę, podaną mu do wypicia, skoro konwulsyjnie drżała jéj ręka w chwili, kiedy ją do niéj wlewała; skoro powiedziała wyrazy:

„Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnéj pościeli!
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia“ i t. d.

jeżeli mówię rozważymy, że taki potwór kobiecy, jakim jest już Marya Stuart po owéj piekielnéj scenie w wiejskim domku mężowskim, wzbrania się teraz pozwolić lampy do podpalenia miny, dlatego że to jest lampa święcona: — to wygląda to wszystko jakby na puste tylko jakieś ceregiele! Tragiczność wrażeń na myśl taką ulatuje, a natomiast zostaje tylko niesmak i tém większy wstręt do osoby, któréj wyobrażenia okazują się tak monstrualnie pomieszane...

Owoż w takich to niedokładnościach kompozycyi upatruję ostateczną i najgłówniejszą przyczynę, dlaczego Marya Stuart, zaspakajając w tylu najświetniejszych ustępach w tak wysokim stopniu wymagania artystyczne, nie czyni jednak zadość etycznym dzieła poetyckiego warunkom. Jeżeli w którém dziele, to w téj właśnie tragedyi uderza to ogólne spostrzeżenie co do natury całego sposobu, właściwego Słowackiemu w początkowych latach jego poetyckiéj czynności, że bez porównania więcéj jego jest rzeczą porywać, zadziwiać i zapalać wyobraźnię swego czytelnika czy widza, aniżeli umieć zająć myśl jego i prowadzić ją krok za krokiem, jak służebnicę woli swojéj — do celu, o który chodzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętéj w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiéj jako nowéj formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiéj.

Reszta ówczesnych utworów Słowackiego, Jan Bielecki, Mnich, Arab, Żmija — wszystko to ujęte jest w formę tak zwanéj powieści poetyckiéj. Jest to ściśle biorąc, mieszany rodzaj poezyi, w tym kształcie prawie zupełnie nieznany przed wystąpieniem na początku tego wieku najcelniejszych poetów angielskich. Za głównego twórcę téj formy uważać można najwłaściwiéj Byrona, który w tymto sposobie wykonał najznakomitsze swoje i najwięcéj europejskiego rozgłosu sprawiające utwory. Za tym przykładem rozeszła się wziętość powieści poetyckiéj niebawem na wszystkie literatury postronne. Poeci polscy także ją przyswoili sobie niebawem. Obok Mickiewicza Grażyny, była Marya Malczeskiego pierwszym w literaturze naszéj stanowczym przykładem tego rodzaju poezyi i służyć może za jeden z najdoskonalszych wzorów, kiedykolwiek wykonanych w tym kształcie. Przeważa

w nim oczywiście pierwiastek opowiadawczy i opisowy; to też przynależy forma rzeczona głównie dziedzinie Epiki. W gruncie rzeczy atoli poemat, o jakim mówimy, mało ma wspólności z naturą owych plastycznych, szerokiém korytem zwolna a majestatycznie się toczących kreacyi, jakich przykłady najwydatniejsze znajdujemy w rozległych epopejach starożytności, a przedewszystkiém w Iliadzie i Odyssei. Powieść poetyczna kipi spadzistém łożyskiem, na spienionych falach, ujętych w wąskie koryto. Nie rozlewając się bynajmniéj, jak tamte, na cały obszar przedmiotowego życia danéj epoki, nie przywięzując żadnéj wagi do wydatnego w rzeźbiarski sposób postaciowania szczegółów: pędzi ona co prędzéj naprzód w ślady za jednym tylko punktem, a tym punktem — osoba samego bohatera.

Na pozór wiele w tém wszystkiém podobieństwa do toku, do rytmu dramatycznych kreacyi. Ale bo też jest w tém wszystkiém i coś więcéj, jak pozór. Jak się w dramacie przed oczyma naszymi zlewa zewnętrzność zdarzenia i wewnętrzność uczucia (namiętność) w genezę czynu, w akcyą: — tak i w skład téj nowéj, téj romantycznéj formy epizmu wchodzi już cały zasób artystycznych potęg liryki. Uczucia osobiste poety, jego smętność, żal, nienawiść, jego zwątpiałość i zrozpaczenie, jego zapał ożywczy, i miłość i ogień namiętny, słowem — co tylko wre na dnie własnego jego serca — wszystko to znajduje tu wyraz bezpośredni i wplata się jak idealny duchowy wątek w materyalną osnowę przedmiotu pieśni.

Utwor taki sprawia na słuchaczu wrażenie, jak kiedyby kto spoglądał na ruch przesuwających się widzeń wywołanych do życia czarodziejskim pędzlem malarza, przy odgłosie jakiejś napowietrznéj muzyki, która ten świat kolorów owiewa tonami i uzupełnia.

To zespolenie dwóch odrębnych żywiołów poezyi tém więcéj jest wdzięczne i dla poety dogodne, że dozwala jego natchnieniu najzupełniejszéj swobody. Wolno mu tu, kiedy zechce, spocząć na pewnym ustępie z całém rozmiłowaniem w szczegółach flamandzkiego malarza; wolno mu znowu dawać się porwać pędowi, w którym całe partye obrazu zbywane być muszą kilku zaledwo ogólnymi rysami. Wolno mu snować wątek powieści, jak czasowa koléj rzeczy wymaga; wolno mu zwikłać go nagle, urwać, rzucić zasłonę zagadki na najciekawsze ustępy, i zwracając wyobraźnię słuchacza ku innym ogniwom tego łańcucha zdarzeń, wprowadzać inne widoki, ażeby — niezadługo i te znowu porzucić. Słowem: im więcéj rozmaitości, swobody i subjektywizmu autora w rzeczach tego rodzaju: tém też więcéj zwykle wrażenia.

Talentowi Juliusza z saméj natury rzeczy odpowiadał najwłaściwiéj ten rodzaj pracy. Próby zastósowania téj metody do utworów dramatycznych, nie zawsze były na miejscu. Natomiast w poematach, o których rzecz obecnie, znalazł on się że tak powiem, na własnym gruncie. To też bodaj które pomiędzy rychlejszymi jego dziełami tak od razu trafiło do powszechnego czytających smaku, jak **Jan Bielecki**, którego utworzenie przypada właśnie na tę przestrzeń czasu pośrednią,

jaka była pomiędzy napisaniem Mindowy a Maryi Stuart. — Lesław Łukaszewicz, autor znanego Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego, nie był wprawdzie, jak wiadomo, wielkim krytykiem; ale tém pewniéj zato znajdujemy w zdaniach jego o dziełach autorskich odgłos wyobrażeń, jakie powszechnie popłacały naówczas pomiędzy czytającym ogółem. Owoż w edycyi dziełka swego ogłoszonéj we dwa lata po śmierci poety (w edycyi z r. 1851), mówi on o Bieleckim w takich wyrazach: „We wszystkiém, co muza Słowackiego wyśpiewała, znajdziesz ustępy piękne, a całość zawsze niesmaczną. Pospolicie dziwaczy. Tylko powieść Jan Bielecki udała mu się.“ — Tosamo niemal donosił o téj powieści matce i sam poeta, a to zaraz po pierwszém dzieł tych wyjściu z pod prasy.

„Początek Jana Bieleckiego jest nie do rzeczy.*) Jednak Bielecki jest najwięcéj chwalony przez wielką liczbę, któréj takiéj cichéj poezyi potrzeba“...

Równocześnie zdaje się ze słów powyższych i to zatém jeszcze wynikać, jakoby autor sam tak wielkiéj wagi do tego swego utworu nie przywięzywał. Że przynajmniéj stawiał Żmiję i Maryą

*) Rzeczywiście wstęp do Bieleckiego jest niestósowny i bez żadnego związku z całością. Ale bo też jest to ustęp późniéj dopiero doczepiony. Boć poemat sam pisany był jeszcze r. 1830 w Warszawie, a wstęp jest daty o rok cały późniejszéj. We wstępie są już zużytkowane wrażenia, jakich doznał autor 1831 r. w Londynie, kiedy zwiedzał Westminster, z czego też potém zdawał w takisam sposób sprawę matce listownie. Takie przystawki późniejszéj daty zazwyczaj się nie udają.

Stuart o wiele wyżéj: to nie podlega wątpliwości żadnéj.

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik, w części z ustnéj tradycyi, przywiązanéj do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniéj).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w Kronice Polskiéj tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1587 Tatarzy w wielkiéj liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców: zaszło z nimi kilka potyczek, między którymi bitwa pod Baworowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy téj wprawdzie pohańcy nie wygrali, owszem od téj dopiero chwili „jęli ustępować". Ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy złożywszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. „A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin herbu Janina, jeno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana, i tu chciał mieszkać: jedno że przecie swéj wiary złéj odstąpić nie chciał. Król Stefan chcąc go najwięcéj do poselstwa zatrzymać, że to umiał język tatarski i turecki, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu. Ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiódł."

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: król dał, a panowie wzięli, uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niém pamięć,

że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego gdzieś położoną w sąsiedztwie najechał, dworek szlachcica wraz z chatami włościan puścił w perzynę, a na ostatek całe to miejsce pługiem kazał zaorać i w puste pole zamienić.

Taki więc był surowy materyał poematu. Zdarzenie to przedstawiało różne strony, na których mogła była spocząć wyobraźnia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do obrobienia — była to ta zagadkowa postać poturczonego Polaka na tle zygmuntowskiéj epoki! Widzieliśmy za dni naszych kilka przykładów podobnéj zamiany krzyża na księżyc, a poczciwéj nazwy polskiéj na jakiegoś beja lub paszę. Ale to były manewra polityczne — komedye, dowodzące nibyto wielkiéj dyplomacyi i miłości ojczyzny u tych, co się na owe awantury puszczali. Szczęść im tam Boże na téj drodze! Jeżeli jeszcze dziś myślą, że nie popełnili wielkiéj niedorzeczności — tém lepiéj dla nich. W wyjątkowém naszém położeniu dzisiejszém wszystko to jednak daje się, jeśli nie chwalić, to przynajmniéj rozumieć. Ale wtedy! W czasach tak normalnych, takiéj głębokiéj wiary, w czasach gdzie sobie z religii jeszcze żartów robić nie pozwalano — był to wypadek dziwnie nierymujący ze wszystkiém, na czém tylko ta rzeczpospolita stała. Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcic polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego

nie chce czy nie może „złéj wiary swojéj odstąpić“. Ileż w tém wszystkiém zagadek! Ile domysłów się tu nastręcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnéj indywidualności, czego wszystkiego historya wcale nie odsłonił. Była wtedy w młodszém gronie poetów naszych w ogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów oryentalnych. Sam Słowacki hołdował téj skłonności. Otóż nastręczała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu pochopowi przejętemu od Byrona i Moora, nie rozmijając się przeto z rzeczywistą tradycyą i narodową i nawet historyczną.

Albo rzućmy okiem na inną stronę téjże tradycyi. Autor, któryby był obdarzony pewnym zmysłem dziejowym, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcéj przedmiotowych, byłby się tu uczepił tych słów kronikarza naszego: Król dał, a panowie wzięli, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stósunku możnowładców dawnéj Polski do braci młodszéj, do szlachty, która choć z prawa we wszystkiém niby równa magnatom, była w rzeczy saméj jednak ciągle przez nich traktowana z odtrącającém lekceważeniem. Z tegoto fałszu wynikły u nas wszystkie klęski publiczne. Wszechwładność panów taka, jaka była w dawnéj Polsce, nie byłaby mogła mieć miejsca, gdyby prawa im przynależne a prawa niższéj szlachty były rozgraniczone. Rozgraniczenia tego nie dopominali się możnowładcy, bo zagarniając przy każdéj sposobności dla siebie wszystko, co się zwało wolnością szlachty, więcéj posiadali mocy, niżby im takowéj była dać mogła

najdaléj choćby posunięta forma rządu oligarchiczna. Rozgraniczenia tego nie zażądała i szlachta, bo jéj miléj było znosić i nadużycia, a chlubić się dogmatem, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, aniżeli przyznać, że ta równość — to tylko urojenie, i poprzestać na czémś skromniejszém. Ani tedy od jednych, ani od drugich nie wychodziła inicyatywa do określenia stósunku, któryby kładł wreszcie koniec temu systematycznemu przechytrzaniu się obu stanów. Zamęt pojęć, jaki w téj mierze panował, zakończył się dla całego państwa — jego upadkiem, a nim jeszcze do tego przyszło, sprowadzał na osoby pojedyncze w ciągu wieków bardzo często katastrofy równie jaskrawe, chociaż się takowe skrupiały tylko na nich samych i ich rodzinach. Przykładów takich dzieje dostarczają podostatkiem. Owoż i w tym razie z danego materyału dawała się wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucyi i obyczajów, w któréj żyłyby i kipiały namiętności, może najdalej posunięte i najwięcéj też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu,

Słowacki, wierny stanowisku, jakie zajął w poezyi, szukający wszędzie ideału wedle swego punktu widzenia, pochwycił rzecz z innéj zupełnie strony. Jego fantazya zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiéj doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy... W całym szeregu ogniw, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć było można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim,

poecie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał, nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić — ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście już dokonanéj a w taki sposób. Owoż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swéj krzywdy, widzi się pod stopami tryumfującéj przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla któréj ani za życia nie ma nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie będzie kawałka ziemi na mogiłę: — to były motiwa w całém oném wydarzeniu dziejowém, dla których zwrócił Słowacki swoję na ten przedmiot uwagę. One też jedynie wprowadza w ramy obrazu, wykluczając historyzm i wszystko inne, jako przybory obojętnej już treści.

„Co było w kraju? nie skreślę do razu.
Jeden cień tylko maluję obrazu“...

Oczywiście wypadło, właśnie z tego powodu, niejeden szczegół, ze strony surowego materyału podany, przekształcić inaczéj, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstęp między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tém, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszéj chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiéj, ale wrócił z niéj niesturczony. Dopiero późniéj krzywda, jakiéj od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i zdrady wiary. — Wszystkie te premissa zresztą

zbywa autor jak najkrócéj. Jest to dla niego tylko rusztowanie do właściwéj budowy, któréj ostateczne odsłonienie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tém, że działo się to za panowania króla Stefana. W brzeżańskim zamku żył możny, dumny Starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczém grodowi królów. Ale na czole magnata od niejakiego czasu zawisła chmura jakaś posępna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości i tłumu sług i téj szaty złocistéj, w któréj jaśniał. Od tygodnia poczęły się w zamku jego nieustające zjazdy... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i biesiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznéj szlachty i karmi ją i poi i schlebia chudopachołkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowéj uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch.

„Héj! szlachta znacie Bieleckiego Jana? —
Dawniéj w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanéj grzędzie...
A kiedy zamki walą się pod gromem:
On podparł domu walące się ściany
I tak spokojnie między nimi żyje
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije“...

Z dalszej mowy wynika, że ten więc szlachcic podły, jak się Starosta o Bieleckim wyraża, miał z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

„I jam był winien, winien był Sieniawski!! —
I oko w oko przed króla obliczem
Widziałem wroga!.. Nie próżno przychodził:
Król go pochwalił, zachęcił, nagrodził;
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczém!“

Przy łaskawéj pomocy życzliwéj braci, która właśnie spija wino Starosty, znajdą się jednak jeszcze sposoby powetowania téj krzywdy...

„O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni!...
Bracia — noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Pan Bóg dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę“...

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szlachta powolną:

„Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym okrzykiem —
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni.“ —

W drugiéj pieśni przenosi nas autor w wnętrze kościoła. Rzecz dzieje się w Brzeżanach. Dla dopełnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem w domu pana młodego — w niedalekiéj odległości od Brzeżan — prawie wyludnionym z mieszkańców, nie ma nikogo, coby go

bronił przed tą hałastrą, niosącą mu zniszczenie. Ta napaść jednak nie wchodzi tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny ślubnéj, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy, zbyta jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec, jak panna młoda—są to jeszcze tylko typy powszechne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich słyszymy, ściąga się więcéj do ich powierzchowności, do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy. Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach podobnych nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka szczegółów, które urywkowo w poprzedzającéj pieśni rzucił był o Bieleckim Starosta, to bohater poematu byłby dla nas człowiekiem zupełnie nieznajomym, chociaż go w tym ustępie mamy tak blisko przed sobą. — Podobnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodożeńców do domu Bieleckiego. Domu tego jednak oni już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jeszcze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę — świeżo zaoraną i głuchość. Cała ta więc sytuacya znowuż naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero prowadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obudzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą, zbyta jest cała w tych oto kilku wierszach:

„Patrzą, nie wierzą... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.

Na jego szatach widać krwawe ślady..,
— „Anno“, rzekł, „Anno wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami:
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr, szybko poleciał przez błonia.“

I oto już wszystko, co o tém mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez niemały czasu przeciąg ani wieści, co się z nim dzieje. Żona po nim już przywdziała żałobę... Gdy wtém nagle zapowiada się znowu bliska jego w stronach owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie, przysłane Annie, ażeby się i ono także znalazła, na maskowym balu, który wyprawia w zamku swoim Starosta.

Na tymto balu — w przedostatniéj pieśni — przychodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd dla nas prawie nieznajomy staje się naprawdę najwydatniejszą postacią poematu. Tu dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, téj dzielności pchniętéj na przepaściste szlaki zaguby, o któréj wizerunek jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w usposobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tém, co się zewnętrznie działo z Bieleckim od chwili, gdzieśmy go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta gotowym widokiem tego, czém on jest teraz, kiedy znowu staje

przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest zmieniona, że za pierwszém spojrzeniem własna żona go nie poznaje. Podobne przeistoczenie zaszło i w zewnętrznych jego stósunkach. Pokazuje się bowiem, że aby wywrzeć zemstę na magnacie, który go skrzywdził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i przeszedł na stronę najzaciętszych jéj nieprzyjaciół. Zbratawszy się z Tatarami,

„Czoło złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.“

Po takim czynie, jako wódz ordy pohańców, naprowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się spławić we krwi tysiąca chat i dworków, których mieszkańcy nie zawinili mu w niczém, byleby tylko zawisł ten piorun zagłady i po nad zamkiem Starosty. I owoż woli jego dzieje się zadość. Znienacka, kiedy się w grodzie brzeżańskim sproszeni goście bawią w najlepsze, zalały tłumy najezdców wszystkie sienie i komnaty zamkowe. Bielecki

„Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wyjście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara.
Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł Starosta na twarde granity. —

Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — był to jęk kobiety"...

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu, jakby po drodze różami samymi usłanéj. Dosięgnął pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skarconą strasznie. Nie będzie już ten magnat nikogo odtąd krzywdził na świecie! I pierwszy haust z podanego do ust zemsty puharu był słodki. Ale słodycze takich upojeń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym szczycie swoim Bielecki słyszy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości — powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższéj mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe! Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki! Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od téj chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościół, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością — gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazanym z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go klątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niczém nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołańca. A mimo tego, nie przestał on jednak należeć ser-

cem do tych wszystkich, którzy go odtrącają — gdyż żyć po za ich sferą, nie może!

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka, odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawić można na równi z celniejszymi pięknościami naszéj literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczonego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniéj. Jest to niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezduszności instytucyi, zdolnych tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i że tak powiem, solidarność swoję z tym posępnym ideałem, jaki sobie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniéj nie tai tego przed sobą, że czyny jej męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpaczy, mdlejąca, ujrzała go idącego po téj drodze zbrodniczéj. Ale ta kobieta ma serce! Przyznając zbrodnię, umie ona wnijść i w pobudki zbrodniarza. Odgaduje konieczność, która jéj męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, tak jak go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do saméj godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet w nielitości swojéj odmawia, onato słabymi dłońmi swoimi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród téj osta-

tniéj posługi, siły coraz bardziéj mdlejące, nadaremnie do drzwi cerkiewnych powtarzając stukanie, ażeby Bóg się zmiłował, kiedy ludzie nie mają dla niéj litości: gaśnie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopanym! Gaśnie w niemej boleści zwolna, „jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiew“, i usypia przy zwłokach męża — na wieki...

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezyi niejako rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski pokarał nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł boży w postaci kobiety owéj — zapłakał. I te łzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiéj połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem téj staropolskiéj tradycyi.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującém zastrzeżeniem. Widzę się tu zmuszonym przypomnieć, co się już wyżéj powiedziało w ogóle o formie powieści poetyckiéj, że wielką w niéj odgrywa rolę owa urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi dobrą część swego zadania co krok pozostawiać własnemu domysłowi czytającego. Owoż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapełnić sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poematu, kiedy to Bieleckiego po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli herszta Tatarów. Doznana ze strony Starosty obelga i krzywda, a przy niéj i ogołocenie z całego mienia, jak są opowie-

dziane przez autora, mogły wprawdzie i musiały zrodzić w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zajść musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesném puścił na takie drogi zapamiętałéj żądzy odwetu! Wyprzéć się wiary ojców swoich i nie tylko zapomnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze spławić w powodzi krwi niewinnéj — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiéj to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Prędzéj się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiéj, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiéj do końca jest wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Owoż właśnie z tego powodu szał namiętny, któryby pchnął kogoś na razie w stronę takiego postanowienia, sto razy tymczasem by się ulotnił i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatém patrzymy na Bieleckiego i w téj jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezyi: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzim z przypuszczenia, iż nie zależało na tém autorowi, żeby przedeptać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższéj burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie naprzykład, że się Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kusił o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania

wywarcia jéj w granicach, że tak powiem, względnie godziwych, były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zajść ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tém zapamiętalszym bolem porwała... Słowem poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniéj, wiodących coraz nieuchronniéj człowieka do ostateczności, otwiera dla naszéj wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych, i że nam wtedy dopiero znowu ukazuje swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szału i opętania, które jak ogień piekący pozbawia go odpowiedzialności za wszystko, co przedsiębierze w tym stanie...

Rzecz o **Mnichu** i **Arabie** zbędziemy krótko. Są to utwory już z tego powodu mniéj znaczenia mające, że były tylko odbiciem wrażeń wzbudzonych obcém natchnieniem. Rozczytywanie dzieł poetów angielskich, a mianowicie Moora i Byrona, których fantazya lubiła się zasilać zasobami wschodniego świata, poddało Słowackiemu myśl przeniesienia i swoich także ideałów na tło stósunków oryentalnych, chociaż ich wtedy nie znał jeszcze inaczéj, jak tylko z książek. Utworzenie obu poematów było przedzielone pracą nad innymi rzeczami. Mnich powstał przed Bieleckim, zaraz po ukończeniu Mindowy. A Arab należy do płodów najpóźniejszych w obu tych tomach, gdyż tylko Żmija jest jeszcze późniejszéj daty. Rzecz dziwna,

że wartość tych dwóch oryentalnych powieści, nieskończenie nierówna, ma się w odwrotnym właśnie stósunku do czasów, w których jedno i drugie powstało. Arab, pomimo wybornego wiersza i wszystkiego, coby rzéc można na pochwałę o jego zewnętrznéj formie, jest to prawdziwy lapsus ingenii; podczas gdy Mnich, pominąwszy pewne nieprawdopodobieństwa w szczegółach, poniekąd wytrzymuje krytykę.

Głównym tematem jest i tutaj odstępstwo wiary i tradycyi ojczystéj. Szczególna rzecz, że ta właśnie materya tak często zaprzątała wtedy wyobraźnię poety. Między siedmiu jego pracami objętymi w obu tych tomach, cztéry obracają się właśnie około tego motiwu. Mindowe zmienia religią z rachuby i nieszczerze. Bielecki z konieczności. Żmija udaje chrześcijanina z powodu przypadkowych okoliczności. Jeden tylko Mnich zostaje apostatą z całą wiarą, że dokonywa zmiany na lepsze, i czyni to z wolnéj woli. Są zatém, jak widzimy, pewne odcienie w szczegółowém przeprowadzeniu téj myśli; ale grunt rzeczy jest zawsze jeden i następstwa czynu tesame. Prowadzi to zawsze do osamotnienia jednostki na tle całéj reszty sobie podobnych i do nieuchronnéj walki z ogółem, ani zdolnym zrozumieć pobudek téj apostazyi, ani też skłonnym do przebaczenia takowéj. Ta kolizya była tedy ciągłym przedmiotem rozmyślań Słowackiego przed rokiem 1831...

Poeta stawia przed nami zakonnika jakiegoś w klasztorze na górze Synai, zdającego spowiedź z całego życia, spowiedź ostatnią, gdyż wątek życia tego człowieka właśnie się kończy. Młodość

jego, pełna świetności, nie taki zapowiadała mu koniec. Syn zwierzchnika jednego z najdzielniejszych pokoleń arabskich, przywodził i sam za młodu nieraz w napadach na karawany.

„Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne.“

Nie chodziło mu przy tém bynajmniéj o zdobycz, o pomnażanie skarbów dziedzicznych. Szukał niebezpieczeństw, bo gardził spokojem życia. Walki miały dla niego urok, bez względu na to, jaki ich skutek. Przygody, trudy, niewczasy były potrzebą jego ducha.

„Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę“...
. . . . . .
„Marzyła dusza!... Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy“...

Gdy więc tak często bez celu zapędzał się ten młody Arab w stepy bezludne, zdawało mu się razu jednego, jakby słyszał jakieś przeciągłe a melodyjne tony, które mu z daleka wiatr zachodni przynosił.

„Wypuszczam konia i gonię za śpiewem;
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła —
Coraz doganiam wyraźniejsze tony,
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.“

Prześliczne jest miejsce, gdzie dziki ten syn pustyni opisuje pierwsze wrażenie, jakiego doznał za wnijściem do chrześcijańskiéj świątnicy:

„Wchodzę — stanąłem przy ciemnym filarze,
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jéj czole złoty liść rozkwita,
A pod jéj stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potém w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nade mną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moję ciemną“...

Wrażenia te tak silnie wstrząsnęły duszą Araba, że porzucił wiarę ojców i został chrześcijaninem.

„Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty? —
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty:
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli,
Sam ojciec przeklął: — „Idź wyrodne dziecię!
Idź w świat! i zostań sam jeden na świecie““...

Ta klątwa ojca spełniła się dosłownie. Młody renegat, odepchnięty i nienawistnie prześladowany przez swoich, ziścił nawet sam owo straszne przekleństwo. Zaczepiony przez brata, zabił go, nie wiedząc w chwili czynu, komu śmiertelną ranę zadaje. Napadnięty potém przez ojca, uszedł wprawdzie przed jego gniewem i przywdziawszy habit

zakonny, zagrzebał się w owym samotnym klasztorze. Lecz i tam dosięgła go fatalna siła przekleństwa. Przy odpieraniu napadu jakiéjś tłuszczy Arabów, którzy w nocy, znienacka, uderzyli na klasztor, żeby go złupić, jegoto oręż powalił trupem herszta owego tłumu. Klasztor został ocalony, ale się okazało, że tym hersztem — był jego ojciec...

Tak więc (nie taję, że wielkim kosztem podobieństwa do prawdy!) jego własna ręka spełniła w całéj grozie ową klątwę ojcowską.

„I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka, gdy w umarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia.“

Mógłby teraz zażywać spokoju, kiedy wyginęli już wszysca, którzy mu go zamącali, gdyby... nie własne jego serce! Onoto zaczyna się teraz domagać praw swoich, których zaspokoić nic nie potrafi na ziemi. Świat nowy, w który przeszedł, murem opasany klasztornym, nie odpowiada jego pragnieniom, nie czyni zadość jego ideałom i nie może być jego światem! Takie życie, to śmierć przed zgonem, to martwość! Pod kapturem zakonnym

„Myśl moja wyschła, jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę“...

Nawet pacierze tych ludzi, których już widzi w myśli snujących się około trumny, w któréj go

zamkną, gdy umrze; — martwe to modły, zimna to boleść!

. . . . . „Niosą kir, kobierce
I światła w rękach i zakryte czoła;
Modlą się za mnie — lecz nawet pozoru
Nie ma boleści!... Zimne mnicha serce
I modły zimne jak mury klasztoru!“

Domierza tedy życia w chrześcijańskim klasztorze, ale widzi się w nim jakby wygnańcem z innego świata, jakby obcym pośród obcych. A tamten świat, do którego myślą powraca, „chociaż łza jego, pamięć przodków plami“: już się także odsunął od niego przepaścią nieprzebytą na wieki! Ani więc tu, ani tam — nigdzie — nie ma dla niego miejsca! Żył samotnie — umiera z uczuciem opuszczonego od wszystkich, z wiedzą, że i za grobem nie znajdzie swojéj sfery. Żałuje przeszłości, którą zmarnował, rozpacza o przyszłości, któréj nie zasłużył. Ostatnia jego wola zaleca, aby mu wykopano gdzie na samotnych stepach grobowiec, wśród jakiéj kwietnéj oazy, gdzie może drzewa czulsze będą, aniżeli serca ludzkie.

Drugi poemat, zatytułowany **Arab**, uważam za poroniony płód excentrycznéj... mizantropii raczéj, aniżeli fantazyi. Słowacki tak się wżył w ten świat ideałów ujemnych, iż mu się zdawało, że dość uderzyć w ten ton nieustającéj zwady z całym rodem człowieczym, żeby zagrać melodyą, żeby stworzyć poemat. Przesuwa tu przed oczyma naszymi wichrzącego, jak uragan stepowy, nie czło-

wieka, ale demona jakiegoś, którego przeszłość zgoła niewiadoma, a témsamém i powody całéj jego wściekłości zwróconéj przeciwko ludziom. Nie znam żadnego dzieła, nie tylko Słowackiego, ale w całéj literaturze, naszéj i postronnych, w którémby treść całéj owéj wtedy przez niego wyznawanéj doktryny była wypowiedziana tak wręcz i bez żadnéj ogródki, jak właśnie w tym poemacie. Jest to najlepsza satyra, jaką tylko dla zdyskredytowania stanowiska takowego było można napisać. Sądzi się sama i nie ma potrzeby dłużéj się nad tą rzeczą rozwodzić.

Przystępuję do ostatniego z utworów, które zamierzyłem rozebrać w tym rozdziale, do **Żmii**; i zdaje mi się, że się nie rozminę z przekonaniem ludzi mających zdrowe zdanie o tego rodzaju rzeczach, jeżeli powiem, że ten oryentalno-ukraińsko-historyczno-fantastyczny poemat o sześciu pieśniach nie tylko z wyższego, to jest etycznego punktu widzenia, ale nawet i pod względem artystycznym uważać trzeba za pracę, która się zupełnie nie udała autorowi. Pozostawia ona przy czytaniu niesmak jakiś wielce niemiły, którego powody, zdaje mi się, nie polegają jedynie na zbyt rażących nieprawdopodobieństwach, jakie się tu spotykają, ale jeszcze i na czémś więcéj. Autor sądził o tém wszystkiém inaczéj. Nazwał utwor ten romansem poetycznym z podań ukraińskich i zamieścił go na samém czele tomu pierwszego w przekonaniu, że to jest najdoskonalsze dzieło jego ze wszystkich, które wtedy ogłaszał. Oto, co w téj

mierze pisał do matki, która jak się zdaje musiała była w ogóle zrobić jakąś mniej korzystną uwagę o budowie niektórych jego utworów.

„Zdanie Mamy jest zupełnie słuszne; ale przeczuwam, że postrzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem rozpierzchłych pieśni Żmii. Muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że Żmija zdaniem mojém i wszystkich jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najsławniejszych naszych krytyków (?) powiedział o mnie przeczytawszy Żmiję, że cały naród ożył w pieśni; że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że Żmiję wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat; widać więc, że postępuję i kształcę się.“ (Dnia 30 lipca 1832 roku z Paryża).

Ta wzmianka o zdaniu owego „najsławniejszego z krytyków“ dostarcza tylko jednego przykładu więcéj na to, że jeżeli w innych literaturach krytyka jest wielką dźwignią i dla powodzenia pisarzów i do kierowania smakiem czytającego ogółu, to u nas rzecz się ma wcale przeciwnie. Tak zwani krytycy nasi — z małym wyjątkiem — począwszy od pierwszych czasów, gdzie się zjawili, uczynili wszystko, co było można, żeby kiedyś powiedziała o nich ta karta dziejów literatury, która tę sprawę podniesie, że gdyby autorowie i zdrowa część społeczeństwa byli poszli za nimi: byłoby się wreszcie skończyło na tém, że u nas czarne byłoby białém, rozumne niedorzecznem, chorobliwe szczytném, oklepane jedynie uprawnioném i t. d. Dałaby się z tego textu na-

pisać bardzo zajmująca monografia i warto, żeby się kiedy kto zajął tym ciekawym przedmiotem. Bajka Krasickiego o Młynarzu, synu jego i ośle mogłaby tu służyć za illustracyą do każdéj karty; i wyszłyby na wierzch rezultaty zabawne, choć niekoniecznie pochlebne, a tém mniéj budujące... Co się tyczy autora Żmii, snać go łudziła albo ta okoliczność, że było to najmłodsze dziecię jego ducha, albo mu też może to pochlebiało, że cała osnowa poematu była tym razem jego własnéj inwencyi. W notach dodanych na końcu poematu wyraźnie zwraca też autor na to uwagę, że „romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem imaginacyi.“ Z dalszych słów wynika, że wszystko, co przejął gotowego z podań przeszłości do ułożenia sobie tak rozległego przedmiotu, ogranicza się do następujących, bardzo mało ważnych punktów oparcia. Jest gdzieś na Ukrainie wał ogromny, nazywany przez lud wałem Żmii; ten Żmija zaś zdaniem niektórych miał być jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża... Wiadomą daléj jest rzeczą, że Kozacy na łodziach swoich, które nazywali czajkami, podejmowali nieraz dalekie wyprawy morskie, i czasem zapędzali się aż pod mury samego Carogrodu. Oprócz tego jest znowu wzmianka w którymś pamiętniku polskim, że razu pewnego został jakiś Basza turecki wzięty w niewolę przez Kozaków i był trzymany na pośmiewisko w klatce, jak drugi Bajazet... Nakoniec opowiada Beauplan w znanym swoim opisie Ukrainy, w jaki sposób Kozacy i Tatarzy polować zwykli na sumaka. Tenże pisarz wspomina też o jakichś ruinach zamku, wzniesionego niegdyś

wysoko po nad wodą na jednéj z wysp dnieprowych. I oto już wszystko, z czego samemu dopiero wypadło autorowi dosnuć sobie reszty osnowy dla zapełnienia poematu o sześciu pieśniach. Nie bywszy zresztą sam nigdy ani w okolicach nad Dnieprem, ani też w krajach tureckich, któreto światy obydwa służą tu na przemian za scenę zdarzeń, zmuszony był puścić wodze fantazyi i ledwie się tedy owedy wiadomościami z drugiéj ręki zasilał, jakich mu dostarczali Beauplan, Grądzki, Zaleski, Goszczyński, a głównie poeci angielscy, malujący oryentalne stosunki.

Powyższe okoliczności oczywiście nie wystarczały na to, żeby dzieło tak założone rozlegle, wypadło tak korzystnie, jak się tego można było spodziewać po autorze Maryi Stuart i Bieleckiego. Z téjto głównie przyczyny koloryt Żmii jakoś zanadto jest mglisty, wątpliwy. Sfera tego poematu zanadto jest fantastyczna, jak na poemat tradycyjny w rodzaju naprzykład Zamku Kaniowskiego; a zanadto ma znowu barwy historyczno-miejscowéj, jak na utwor czystéj fantazyi w sposobie Aryosta. Jest to tak dalece i jedno i drugie zarazem, że ostatecznie czyni wrażenie rzeczy, nie będącéj ni tém, ni owém...

Ale te wszystkie niewłaściwości nie byłyby mogły — przy talencie poety — tak stanowczo Żmii zaszkodzić, gdyby nie inna pomyłka, na którą warto zwrócić uwagę. Aby rzeczy nie przedłużać, pomijam milczeniem gwałtowne naciągnięcia i nieprawdopodobieństwa, na które dzieło to utyka w wysokim stopniu, a które zbyt są rażące, żeby trzeba było je wykazywać. Nie powiem tu ani

słowa o chorobliwości figury odgrywającéj w poemacie główną rolę, bo musiałbym chyba tylko powtórzyć, com już w ogóle o ludziach Słowackiego powiedział. Zato podnoszę uchybienie, którego się autor tylko w samym Żmii dopuścił, a które zdaniem mojém główną jest tego przyczyną, że utwor ten w czytaniu męczy i nuży. Uchybienie to upatruję w posuniętém po za wszelkie granice miary rozstrzeleniu pojedynczych ustępów Żmii. Niepodobieństwem jest dla czytelnika, aż do środka pieśni piątéj (a zatém przedostatniéj), ogarnąć tu okiem wiązania, łączącego poszczególne zdarzenia i epizody w całość. — Skądinąd podnosi to wprawdzie artyzm dzieł poetyckich, jeżeli miesza się do ich składu i cokolwiek nieprzeniknionéj na razie tajemniczości. Wyłożenie wszystkiego od razu jakby na dłoni — z rozmazującą najmniejsze drobnostki expozycyą, spospolitowałoby tylko osnowę poematu. Taka zupełna ewidencya może być tylko zaletą prozy, a nie poezyi. Ale autor nasz przesadził tu trochę w chwalebnych chęciach, i posunął ubieganie się o tę sztuczną nieprzeniknioność w budowie Żmii do tego stopnia, że zamiast czytelnika zaciekawić tymi ciągłymi zagadkami, które mu poddaje, raczéj go czyni wreszcie obojętnym na wszystko.

W pierwszéj pieśni maluje w obszernych ramach łowy na sumaka. Ponieważ wcale się nie domyślamy, jaki te łowy związek mieć mogą z głównem założeniem powieści, czytamy je z roztargnieniem, życząc sobie co prędzéj końca. Następuje pieśń druga, a w niéj wprowadzenie nowéj zupełnie postaci -- Xeni. I tu znowu ani

sposób dorozumieć się, co ten epizod ma za związek z łowami, i co on znaczy w całości poematu? Dociekamy, kto jest ta Xenia? Przypominamy sobie, żeśmy coś podobnego już i gdzieindziéj widzieli — w Zamku Kaniowskim. Natrętna kochanka Nebaby nawet imieniem się nie różni od zagadkowéj postaci w téj części „Żmii“. Ale Słowacki daje domysłom naszym inny obrot, wkładając w sam środek tego epizodu długą „Powieść kozacką“ o Rusałce w sposobie dum Zaleskiego. Tym ustępem najmytyczniejszéj osnowy najzupełniéj zbija nas z tropu, na którymśmy już już wpadali. To też przeczytaliśmy całą część drugą dzieła i znowu nie rozumiemy nic! W nadziei, że nam zagadkę wyjaśnią dalsze karty, przystępujemy do pieśni trzeciéj. Ale tu zastępuje nam drogę znowu inny obraz, obraz zbrojnéj wyprawy czajek kozackich na morze Czarne. Czujemy się tu wprawdzie już na gruncie głównych wypadków; ale się wychyla znowu inny przedmiot nadaremnych dociekań naszych — Zulema. Wprowadza ją poeta tak tajemniczo, że się osłonioną być zdaje całymi warstwami mgły nieprzejrzanéj. W pieśni czwartéj przychodzi na pełném morzu do boju między czajkami Żmii a jakimś okrętem tureckim. Selim, syn Baszy i dowódcy tego okrętu, ginie w téj walce, sam Basza pierzcha. Lecz kto ten Selim? kto ten Basza? jakie znaczenie téj potyczki na morzu? czy było to tylko zajście przypadkowe, czy też ma bliższy związek z główną osnową? — a kto to wie! I w piątéj nawet pieśni cała pierwsza połowa ma znowuż wszelkie pozory ustępu nienależącego do rzeczy. Chodzi tu o wzięcie w niewolę jakiegoś

Baszy — natolskiego, które też i przychodzi z wielkim trudem wreszcie do skutku. Dopiero od środka téj części Żmii, naraz, zaczyna się wyjaśniać, że te wszystkie pasma rozpierzchłe, które w pojedynczych pieśniach nużyły i niecierpliwiły uwagę, tworzą całość jednolitą i dopełniającą się wzajem. Łowy na sumaka — Xeni ze swojém dziecięciem — powód istotny wyprawy na miasta muzułmańskie — zapalczywa walka z Selimem — szalona nienawiść ku Baszy, którego Żmija nareszcie pochwytuje w niewolę — zagadkowa osobistość Zulemy i t. d. wszystko to nagle staje się teraz zrozumiałém, usprawiedliwioném, dodałbym że się staje i piękném, gdyby było rzeczą ludzką, przeistoczyć naturę wrażeń — już odebranych. Ale wrażenia otrzymane należą do przeszłości, a ta stęgła jest i nic działać wstecz na nią nie może. To téż przez to zanadto późne odkrycie nader sztucznego węzła powieści mało się zmienia na lepsze ostateczny sąd czytelnika o dziele, które już całe jest przeczytaném i w ciągu czytania nie zajmowało.

Stanęliśmy u kresu. Znamy teraz już ducha tych pierwszych prac Słowackiego, na mocy szczegółowego tychże rozbioru, i pojmujemy wszyscy podobno, ileto prawdy było w owych słowach Mickiewicza, że poezya tego młodego wieszcza — to gmach, stawiany piękną architekturą jak wzniosły kościół, tylko że w kościele tym Boga nie ma. Zdanie to na razie oburzyło Juliusza. Bo też prawdopodobnie nie rozumiał on jeszcze wtedy, co mu właściwie Adam zarzucał. Słowa te na pierwszy

rzut oka wyglądają na zarzut — bezbożności. Do bezbożności Słowacki ani w życiu własném, ani w pismach swoich się nie poczuwał. Lecz Mickiewicz miał też zupełnie co innego na myśli i wyrzekł to, co rozumiał, w formie obrazu, porównania, przenośni, a nie w dosłownym sensie. Nie wytykał on tu braku religii, ale brak rzeczy, która témsamém jest w poezyi, czém jest obecność bóstwa w kościele; wytykał brak tego, co stanowi cel wszelkiéj sztuki, a tém jest: wiara w lepszą cząstkę człowieka i w możność doskonalenia się jego tak jako jednostki, jako i w zbiorowości. Skeptycyzm społeczny zabija wszelkie popędy działania, a témsamém znosi i podstawę samejże poezyi, téj dźwigni najpotężniejszéj z materyalizmu ku ideałom.

W kilka lat potém i samemu autorowi Żmii otworzyły się oczy na ten brak w początkowych jego kreacyach. Już w trzy lata po ogłoszeniu takowych, przyznał się matce, że „znienawidził swoje pierwsze utwory i że czuje potrzebę, aby coś jasnego napełniało jego karty, aby więcéj łez było w słowach“... A pod koniec życia jeszcze surowiéj o nich sądził. „Wstyd mi — mówił natenczas — wielu melancholii byrońskich. Strach, aby one nie zaraziły innych.“

W saméj rzeczy, była to jakaś tylko naleciałość skądinąd, któréj się w młodszych latach wielki ten talent poddawał. Byronizm — pojmowany i przesadnie i jednostronnie — oto, co przyjął Słowacki nie tylko za regulatora w pracach swoich autorskich, ale poniekąd nawet i w życiu. I w życiu swojém, zwłaszcza za młodu, był on w wyobraże-

niach i sądach, w nałogach i imaginacyjnych cierpieniach swoich, co się zowie byronistą. Było w tém z razu coś sztucznego; lecz wzrósł młody nasz poeta i dojrzewał pod wpływem tego kierunku tak konsekwentnie i systematycznie, że mu się to byronizowanie wreszcie przemieniło w drugą naturę.

Ale bo też młodość Juliusza przypadła właśnie na czasy najgłośniejszéj sławy i największéj w świecie umysłowym przewagi tego genialnego człowieka. Wygórowanie przewagi téj poczyna się od roku 1824, roku śmierci Byrona. Wprawdzie był Byron już i za życia przedmiotem powszechnego podziwu. I wielbiciele jego i antagoniści (a było ich pomiędzy Anglikami niemało), w tém jedném się między sobą zgadzali, że był to geniusz pierwszego rzędu. Z tém wszystkiém aż do roku 1824 wyjątkowe, niezwyczajne, częstokroć gorszące okoliczności jego życia rzucały cień niekorzystny na wszystko, co tylko wychodziło z pod jego ręki. Oskarżano go o rzeczy, które popełnił i których nie popełnił. Do niekorzystnych o nim pogłosek, które miały po sobie słuszność, doczepiło się — mało powiedzieć drugie tyle, ale nieobliczone mnóstwo baśni i potwarzy ohydnych, wylęgłych w bujnéj wyobraźni jego nieprzyjaciół lub też tych bezmyślnych plotkarzy, którzy choć go nie widzieli na oczy, umieli jednak rozpowiadać o nim, jakby go znali najlepiéj. Z tak mętnych źródeł wyrobiła się o nim z czasem opinia — w Anglii i po za Anglią — najbałamutniejsza w świecie. I na mocy téj opinii nie tylko ryczałtem potępiono życie jego prywatne, ale potępiano i cały zawód jego jako pisarza. —

Dzieła Byrona miały rzeczywiście więcéj związku z osobistością autora, aniżeliby to powiedzieć można o jakimkolwiek innym pisarzu. Rzadko tylko i wyjątkowo podejmował on przedmioty, któreby nie potrącały o zdarzenia rzeczywiste, których był świadkiem, uczestnikiem lub sprawcą. Dodajmy do tego, że wszystko, co pisał, lubił otaczać umyślnie jakąś tajemniczością. Przy takich okolicznościach ani się było można spodziewać spokojnego i bezstronnego sądzenia jego utworów. Chcąc je rozumieć, trzeba było znać wewnętrzne dzieje poety, a te zaledwie najbliższym przyjaciołom Byrona były wiadome. Liczba takowych była bardzo mała, wreszcie nikt ich natenczas nie słuchał. To też nawet najżyczliwsi, pod wpływem obiegających po całéj Europie plotek, dziwnie sobie tłómaczyli jego kreacye. Przypomnijmy sobie tylko naprzykład, co Göthe w szczególny sposób rozpowiada o znaczeniu Manfreda, w rozprawce pisanéj w kilka lat po ogłoszeniu tego dramatu, ale jeszcze za życia autora! Jeżelić więc tak niepodległy, tak bystry i życzliwie dla Byrona usposobiony umysł, jak Göthe, nie był zdolny ani przeniknąć prawdy, ani też w jéj czystém świetle spoglądać na jego twory: cóż dopiero za wyobrażenie mogła mieć o nich cała masa zwyczajnych czytelników?

Dopiero tedy po śmierci jego nastąpiło, czego się zresztą i sam Byron spodziewał. Znajdują się w pamiętniku jego te słowa: — „Sprawiedliwość będzie mi wymierzona wtedy dopiero, kiedy ta ręka, która to pisze, będzie tak zimna, jak serca, co życie moje zatruły.“ — Począł się teraz obja-

wiać nagły a stanowczy zwrot wyobrażeń, w kierunku ku zupełnéj rehabilitacyi zmarłego, ku apoteozie nawet, choć do takowéj znowu nie było dostatecznych powodów. Zwykłe to zjawisko w kolejach sądów ludzkich, zawsze skłonnych do przeskoku z jednéj ostateczności w drugą... Zmiękły serca surowe na samę wieść o zgonie wieszcza. Zgon ten zbyt wczesny, w 37 roku życia, w porze najwyższéj siły jego geniuszu — zgon idealny i prawie bohaterski, na klasycznéj ziemi Hellady, w chwili jéj wybijania się z pod barbarzyńskiego jarzma na niepodległość, wśród usiłowań, które odepchnięty od własnéj ojczyzny Byron nie tylko majątkiem własnym sowicie wspierał, lecz i pieśnią natchnioną to wywoływał, to unieśmiertelniał — zgon ten mówię, pod tylu względami chlubny i nadzwyczajny, rozbroił zaciętość wszystkich. Teraz dopiero — odezwali się wielbiciele poety. Z dokumentami w ręku, przemówili przyjaciele zmarłego. Pojawiły się równocześnie biografie, pamiętniki, wspomnienia, listy, rozmowy i tym podobne pisma dotyczące Byrona. Odparto fałsze, uchylono potwarze, odsłoniono zalety i piękną stronę zgasłego życia. Stanął rzetelny wizerunek poety — wizerunek poetyczny nad miarę, uwieńczony aureolą cierpień i krzywd, w znacznéj części niezasłużenie doznanych — w moralnym względzie daleki wprawdzie od ideału i ze wszystkimi znamionami krewkości ludzkiéj, ale dlatego nie gorszy od tysiąca innych, którym pomimo tego przecie nikt nie zamącał pokoju. W miarę takiéj rehabilitacyi osoby autora, zaczęto odtąd w świetle rzetelnéj prawdy i o czynach jego poetyckich sądzić

inaczéj, i to pod względem ich moralnego znaczenia; artystycznéj potęgi bowiem nie odmawiano dziełom jego i przedtém.

Gdy się to wszystko działo w ojczyźnie poety, wzięła i dalsza Europa z zajęciem żywszém na nowo dzieła Byrona do ręki. Były one jéj już znane w pewnéj części i dawniéj z sporadycznych przekładów francuskich i niemieckich, z których najrychlejsze przypadają na czasy przed rokiem jeszcze 1820. Ale właściwie teraz dopiero zaczęto na wyścigi na najrozmaitsze języki tłómaczyć wszystko, co tylko pochodziło z pod pióra Byrona. Nie było w Europie literatury, na któréjby obliczu w latach owych nie pojawił się już mniéj, już więcej wydatny odblask natchnień tego poety.

Temu powszechnemu prądowi nie mogła się oprzéć i nasza literatura. Wpływ byronizmu w Polsce, przed rokiem 1830 i przez kilka jeszcze lat potém, był w samej rzeczy większy może, niż się to dzisiaj niejednemu wydaje. Zestawienie przekładów dzieł Byrona na polskie nie daje wprawdzie ani o czasie, ani o stopniu tego wpływu dokładnego wyobrażenia. Gdybyśmy bowiem z nich o tém mieli brać miarę, to wypadłoby wnosić, że przewaga byronizmu zaczęła panować u nas na dobre dopiero około roku 1833; albowiem najlepsi nasi tłómacze tego poety wtedy dopiero wystąpili.*)

*) Notuję tu najcelniejszych:
Julian Korsak (Więzień Czyllonu 1830, Lara 1833). Adam Mickiewicz (Giaur 1834). A. E. Odyniec (Korsarz 1834, Narzeczona z Abydos 1838, Niebo i Ziemia 1841, Mazepa 1843). Franciszek Morawski

Tymczasem wniosek taki byłby zupełnie mylny. Od czasu bowiem pojawienia się Pieśni Janusza, Komedyi Nieboskiéj i Pana Tadeusza, a zatém właśnie od r. 1833 i 34 poezya nasza zaczęła brać taki obrot, że byronizowanie, jeżeli się kiedy wynurzyło na nowo, to należało już w ka-

---

(Więzień Czyllonu 1841, Manfred, Mazepa, Oblężenie Koryntu, Paryzyna 1853). Józef Paszkowski (Manfred, Kaim 1842). Antoni Zawadzki (Werner, Żale Tassa, Narzeczona z Abydos, Wyspa 1846). Antoni Czajkowski (Beppo, około tegoż czasu; Don Juan, w rękopisie). W. hr. Baworowski (Childe Harold 1856, Don Juan 1863). Michał Budzyński (Childe Harold 1857, Proroctwo Dantego 1858). Adam Pajgert (Wyspa 1859). Michał Chodźko (Manfred 1860).

Pierwsi nasi przekładacze Byrona, Bruno hr. Kiciński (Korsarz, Oblężenie Koryntu 1820) i Władysław Ostrowski (Dziewica z Abydos 1821, Giaur 1830), nie mieli sił po temu, żeby dziś jeszcze można było kłaść jakiś przycisk na ich przekładach. Pierwszy, to jest Kiciński, tłómaczył zresztą tylko z francuskiego, a nie z oryginału. — Przed rokiem także jeszcze 1830 spolszczył niektóre pieśni Byrona przecudnym wierszem Mickiewicz (Pożegnanie Childe Harolda — Sen — Eutanazya). Lecz to są rzeczy krótszéj objętości.

Oprócz tych wszystkich co tylko wymienionych, było jeszcze po roku 1834 kilku innych mniéj zasłużonych tłómaczów polskich Byrona. Wyczerpującą o nich wszystkich wiadomość znaleść można w dobrym artykule bibliograficznym przez K. Estreichera zamieszczonym w Rozmaitościach Lwowskich r. 1859, Nr. 17 i 18.

Dzięki usiłowaniom wymienionych pisarzy, posiadamy obecnie (w r. 1866) całego już niemal Byrona przełożonego na polskie. Nie znalazły tłómacza dotąd tylko jeszcze następujące (większe) utwory: Marino Faliero, Dwaj Foskarowie i Sardanapal.

ždym razie do zjawisk wyjątkowych i mniéj też cenionych w piśmiennictwie. Tém bardziéj zato zajmował ten kierunek umysły między 1824 a 1833 rokiem. O czém ażeby się przekonać, nie dość jest dopatrywać posępnych barw byronowskich na tle takich kreacyi pierwszego rzędu, jak naprzykład Zamek Kaniowski albo Marya; lecz trzeba spojrzeć na płody poetów i rymotwórców pomniejszych. Naśladownictwo tych pisarzów przesadne, a wreszcie entuzyazm bezwarunkowy dla dzieł Byrona i dla wszystkiego, co tylko tchnęło tym duchem, musiał w młodszéj mianowicie generacyi przechodzić wtedy wszelkie granice, skoro jeden z ludzi naszych najwytrawniejszych a zarazem najwyrozumialszych, Brodziński, widział się zmuszonym w tym przedmiocie głos zabierać po kilka razy, przestrzegając w cierpki sposób przed niebezpieczeństwem grożącém z téj strony literaturze. Brodziński zaprawdę nie należał do liczby przeciwników nowego zwrotu poezyi. Owszem, onto był, który się głównie przyczynił do nadania jéj takiego kierunku. Z saméj zasady był to zatém w owéj kwestyi sędzia bezstronny. A jednak w rozprawach jego krytycznych z czasu przed rokiem 1830 znajdujemy częste wycieczki przeciw téj manii ogarniającéj umysły.

Oto, co naprzykład pisał był o tém w rozprawie O Exaltacyi i Entuzyazmie:

„Byron pędzlem najwięcéj poetycznym zaciera wszelką poezyę tego i przyszłego świata. W nieśmiertelności i nieskończoności samę tylko nicość pokazuje i chciałby, żeby człowiek do niczego nie

przywiązany, niczemu nie ufający, wkoło boleścią i nicością zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niém się strawił. Nie Wirgiliusz, jak Dantemu, nie Muza, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu, równie jak jego Kaimowi, i serca ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkiém rządzącego Boga. Nadto, umiał on słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale i pewny pozor wyższości, któréj źródłem i celem jest tylko namiętność w sobie ograniczająca człowieka i kłócąca go z sobą samym...

„Czuję, na jak wiele się ważę, mówi daléj Brodziński, czyniąc podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wsławionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielném byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwéj poezyi przemówić. Byron sam tylko mógł być takim, jakim był poetą. Próżno każdy usiłuje trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu sami nie wiedzą jakie tajemnice, i gorzko marzyć i szukać tego, co właśnie w pełności mają. Niknie w nich poetyczna naiwność; wiosnę życia szpecą nienaturalnie, liściem jesiennym od zarazy pożółkłym. Miasto tkliwego udziału ze światem, który ich nęci do siebie, kłócą się z nim; wyszukują starannie, ażeby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuskiéj swe położenia i w sprzeciwieństwie z własną naturą chcą znaleść poezyę“...

Za te słowa o Byronie gromił później Brodzińskiego Mickiewicz z katedry w Collège de

France.*) I rzeczywiście zdaje się być na pozór wiele przesady w tych sądach Brodzińskiego o duchu lorda-poety. Wszelako krytyk nasz nie polemizował też z nim samym, ale z jego naśladowcami, o których śmiało powiedzieć można, że więcéj w utworach ich byronizmu, aniżeli w samym Byronie. U tego bowiem zawsze jest takt artystyczny i pewna miara we wszystkiém. Są zawsze okoliczności, które demoniczność postaci jego albo łagodzą, albo przynajmniéj tłómaczą; które pozwalają jéj się pojawiać, lecz że tak powiem w formie koncesyi. Byroniści przeciwnie przyjęli wszystkie desperacye byrońskie za wątek uprawniony sam przez się, za materyał gotowy — za rudę czystego złota, którą tylko topić i przelewać w posągi. I dlatego też miał rozważny autor Wiesława zupełną słuszność, kiedy wypowiedział przekonanie, że naśladowanie tego poety może być dla nas daleko więcéj szkodliwém, niż wszelkie inne naśladownictwo. Jeżeli zaś co usprawiedliwiło samym skutkiem te Brodzińskiego obawy: to właśnie rola, w jakiéj wystąpił na początku swego zawodu oto nasz młody poeta! Byronizm, jest to klucz jedyny, za pomocą którego zrozumieć można, jak człowiek genialny, tylu nadzwyczajnymi warunkami usposobiony na prawdziwego wieszcza narodu, mógł się przez czas tak długi zaprzątać ideałami, które były po za wszelką wspólnością z gruntem naszego poczucia narodowego. Czy zwrócimy uwagę naszę na ogólne idee podłożone dziełom, któreśmy co

*) Obacz Kurs roku IIgo, lekcya 29.

tylko przebiegli, jako pomysły ich zasadnicze, czy też na ludzi w nich działających: w jednym i drugim razie wniosek nasz nie będzie inny, jak tylko ten: że te wszystkie typy były odbiciem (dodajmy: mocno skrzywionem) tradycyi byrońskich.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. Nagły wyjazd z Paryża. Pani Lenormand i podróż do Genewy.

Ogłoszone poezye stanowiły przez kilka miesięcy po ich wydaniu główny przedmiot, na który była zwrócona uwaga autora. W listach swoich z owego czasu często do tego punktu powraca, jużto udzielając matce wiadomości o tém, co o dziełach jego emigracya sądziła, już odpowiadając na uwagi, jakie o nich przesyłała mu rodzina jego z Krzemieńca. Były bo też i szczególne przyczyny, dla których pragnął, aby to pierwsze jego wystąpienie dobrze było przyjęte. Miał on już wtedy w tece materyału nowego dosyć na zapełnienie trzeciego tomu. Poemat Lambro już był ukończony w r. 1832 (i to już w pierwszych miesiącach). Chodziło więc znowu o fundusze na pokrycie dalszych kosztów nakładu, a miała ich dostarczyć dopiero sprzedaż dwóch tomów wydanych, z którą jednak nie wiodło się tak pomyślnie księgarzom, jak się z razu autor spodziewał. Dlatego też wy-

danie trzeciego tomu wypadło odłożyć na czas późniejszy...

Pomiędzy listami, jakie z powodu dzieł ogłoszonych poeta nasz od różnych osób odbierał, doręczono mu i słów kilka z Wilna — od Ludwiki Ś. Przypominam, że kazał on jéj był w lipcu jeszcze posłać exemplarz dzieł swoich w darze, a przytém i list, z powodu którego równocześnie pisał do matki: „O! gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się“... Otóż nad spodziewanie jego, po trzech miesiącach — z początkiem października — podziękowanie za pamięć od Ludwiki nadeszło.

„Ile z listu sądzić mogę, Ludwisia nie gniewa się za pamięć moję; owszem gniewa się, że za mało pamięci o niéj w książkach. Oto są słowa z jéj listu: — „„Miło mi było w mojéj cichéj samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajoméj mi duszy. W tych tworach poetę tylko widać — chował się człowiek — nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam... Żadnéj już nie czytam książki; ale poezye Pana jak przyjaciela dawnego, nie jak książki przyjęłam, i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć będę na ziemi.““ (Z listu z dnia 8 grudnia 1832 roku).

Na to spostrzeżenie, że się w utworach jego poetyckich ukrywał człowiek, rzucił autor taką uwagę:

„Spodziewam się, że jak wydrukuję Lambra, to mnie nie będzie obwiniać, że się kryję z moimi uczuciami. Myślę tylko nad tém, że trudno go będzie tam przesłać, bo Lambro straszny“...

Zresztą ówczesne życie Słowackiego w Paryżu nie nabierało wcale w oczach jego powabów. Znajomość z rodziną państwa Pinard była utrzymywana, ale jakoś od niechcenia. Z samą panną Korą to zrywał, to zawięzywał znowu; lecz stósunek ten nie obiecywał długiéj przyszłości — mimo jéj przywiązania do niego. To też wyobraźnia jego łatwo zajmowała się innymi wrażeniami, przy lada sposobności – zawsze przelotnie i w taki sposób, że serce jego w tém wszystkiém wcale nie brało udziału. Więcéj już ono było przystępne dla uczuć przyjaźni, choć i w tym względzie nie stało ono otworem dla byle kogo. Z pomiędzy nader małéj liczby osób, był może jeden tylko, o którym powiedzieć można, że go łączyła ze Słowackim prawdziwa przyjaźń. Był to człowiek cierpiący, schorzały, nierokujący długiego życia — nazywał się Zienkowicz. Do niegoto ściąga się, co tu przytaczam z jednego z listów pisanych w owym roku do matki:

„Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dlatego, że słowa napisane na końcu, „twój do śmierci“, przez człowieka, który wie sam, że jest jéj tak bliskim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie. Skąd ten człowiek mógł zawrzéć w dwóch słowach tyle poezyi!... O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o dwie nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje spotkanie, ale w drodze ominął się ze mną. Przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, zarosły trochę dzikimi chwastami i opu-

szczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie pisząc moje pamiętniki dzieciństwa (Godzinę Myśli), tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w cichym wiejskim domu. Ogród pięknym mi się wydawał — było tam kilka winogradów rozpiętych na murze, — morel owocem okryty — kilka kwitnących róż — gruszki pachnące — i naokoło mur szary, a w kącie ławka z drzewa i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże blade i już osypujące się z liści. Na téj ławce usiedliśmy, i często przerywając rozmowę, zastanawiałem się słuchając téj wiejskiéj ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą; nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko — blady — i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. — O piątéj godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu. Jak zwykle u chłopców było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa stała się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni 13-letnia dziewczyna, bardzo do Hersylki (przyrodniéj siostry Juliusza) podobna. Stawałem w jéj obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia w potrawach popełnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszaną wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachniący różowy groszek zatknięty w jéj pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, który zniknął z jéj pelerynki, bo wszystkie inne może umyślnie przez nią były zerwane ciemniejszego koloru. Udając, że tego nie spostrzegłem, powiedziałem

do niéj: ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem. Uśmiechnęła się — zarumieniła i odpowiedziała, pokazując mi bukiet: il est là, oh! vous le reconnaissez bien. — Bardzo mi się podobała ta delikatna scena, i bądź pewną moja Mamo, że żadném słowem nie zniszczyłem jéj uroku. Potém Zienkowicz sporządził litewski kaliszan, taki jakiśmy w Wilnie pijali. Było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem było wszystko, co tylko się mogło w wazie pomieścić... a tak był dobry, że się nawet mojéj dziewczynie podobał... Po obiedzie poszliśmy do królewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę — i patrzała długo: — odwróciłem się jeszcze z daleka — uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę. Chodziliśmy długo po parku — i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak że nań patrzeć można było. O godzinie 9 wsiadłem do dyliżansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem — jeżeli chce Mama wiedzieć o czém — to o dziewczynce I wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie — potém Elizejskie pola — a potém ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11 wysiadłem na oświetlonéj gazem ulicy Rivoli. — Wracając do domu, ujrzałem w jednéj bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarzy dojrzeć nie można było. W obu rękach trzymał kapelusz, ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniądz miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącéj się nędzy postać. Stał nieporuszony — milczał. Wstyd mi było myśli krzywdzącéj starca — wróciłem się i rzuciłem do kapelusza pieniądz srebrny: — milczał...

To milczenie tak mnie zastanowiło, że gdybym miał pieniądz złoty przy sobie, wrzuciłbym, i chciałbym był, żeby jeszcze raz milczał... Kochana Mamo! nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że będąc w Paryżu, piszę o dziewczynie, co mi dała groszek i o żebraku, który milcząc przyjął jałmużnę"... (Dnia 30 lipca 1832 roku).

Oprócz Zienkowicza miał Słowacki w owych czasach w Paryżu drugiego jeszcze towarzysza, z którym się świadczył i codziennie widywał. Był nim wspomniany już wyżéj Michał Skibicki, tensam, któremu przypisane są Arab i Mnich wraz z wierszem umieszczonym na czele tych utworów. Oprócz tych dwóch, nie ma w listach śladu, żeby był wtedy w emigracyi kto inny jeszcze bliższy serca Juliusza. Jest wprawdzie wzmianka (w miesiącu lipcu r. 1832) o przybyciu do Paryża Bohdana Zaleskiego, ale obojętna.

„Spotkałem dziś rano Bohdana Zaleskiego: zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przedtém" (w Warszawie).

Jest zapisek o Stefanie Witwickim, że także przyłączył się do grona żyjących na emigracyi, ale z dodatkiem bynajmniéj nie świadczącym o szczególnéj życzliwości. Jest słów kilka o Lelewelu, lecz niekorzystnych:

„Człowiek z kutasami u bótów (tak Słowacki zwykle Lelewela w téj korespondencyi nazywał) jak antreprener w kłopotach, traci szacunek u ludzi, bo się ciągle intrygą zajmuje i w tutejszéj babilońskiéj wieży pomieszał języki. Smutno tu patrzeć na to,

co się tu dzieje"... (Z listu z dnia 9 listopada 1832 roku).

Jest notatka o pani Hofmanowéj, ale także sucha, jeżeli nie uszczypliwa.

„Jest tu panna niegdyś Tańska i pisze, jak słychać, opisanie Paryża dla dzieci — może to być bardzo ładne. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — literatura kobieca, garbata trochę — literatura kłótliwa trochę, paszkwilowa — a została się tylko u siebie literatura klasyczna czyli niema"...

To też w strony ojczyste, do grona rodziny, w przyszłość, która go kiedyś ze swymi miała połączyć, najbardziéj się lubił przenosić myślą Słowacki z tego gwaru i wiru krzyżujących się stósunków, jakie tworzyła ówczesna emigracya. Miłość matki i przywiązanie rodziny miały go wynagrodzić za wszystko.

„Gdyby ludzie o wszystkiém nie zapominali — pisał dnia 9 listopada 1832 roku — ty Matko i mój Ojciec zostawilibyście mi na świecie wielu przyjaciół. Ja... nie powinienem mieć syna, bo nawet dla siebie jednego przyjaciela znaleść nie mogę — cóżbym mu więc zostawił?"...

Nadzieja, że odzyska kiedyś miejsce stracone przy familijnym stole i że znajdzie wszystkich i wszystko na dawném miejscu — ta nadzieja najwięcéj w nim podtrzymywała otuchę. Nieraz i obojętny przedmiot w Paryżu nasuwał mu na myśl to jego ulubione marzenie. Oto naprzykład pisał razu jednego coś matce o wybornych brzoskwiniach

francuskich, i to mu przypomniało, że niegdyś o nich w Wilnie i Jan Śniadecki z pochwałami wspominał.

„Kiedyś i ja na starość z Wami zasiędę do stołu, jak Jan — z siwym włosem i z białymi najeżonymi brwiami. Wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach“ ..

Nadzieje jego atoli zamierały jedna po drugiéj — za dotknięciem o twardą rzeczywistość. Listy nadsyłane mu z kraju często były zwiastunami bolesnych zdarzeń. Wyczytywał w nich to o tym, to o owym z pomiędzy dobrych znajomych, przyjaciół, nieraz i krewnych, że go skrzydła płynącego czasu zmiotły do grobu. Prawie równocześnie doniesiono mu właśnie w ciągu owych miesięcy o śmierci Alexandry, przyrodniéj jego siostry, w Wilnie za mąż wydanéj, i o jego wuju Janie Januszewskim, że powodem długiego niepowrotu jego w roku 1831 z obozu powstańców podolskich nie była, jak zrazu przypuszczano, niewola, lecz zgon w jednéj z potyczek. Po rozstrzygnięciu w taki sposób długiéj niepewności o losie męża, wdowa po nim pozostała (Julia) z drobném dziecięciem (Stasiem) ściągnęła także do Krzemieńca z Wierzchówki, w któréj aż dotąd mieszkali. Cała tedy reszta rodziny zgarnęła się w jedno miejsce, obsiadła jedno ognisko.

„Jak Wam teraz dobrze być musi (pisał w liście z dnia 3 września) tak wszystkim razem w Waszym spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie Wasze koło domowe, i Melankę maleńką, kręcącą się koło

smutnego Stasia. Jak Wam teraz dobrze być musi! Ale jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do Was, nie zastanę tylu osób. A tak często marzyłem, jakto ja kiedyś będę w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrosłe Julinki. Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno oddalonemu o mil kilkaset pomyśleć sobie, że to wszystko snem nie jest — Wilno bez Olesi! Wierzchówka bez Julki!"...

W miesiąc później otrzymał doniesienie, że i téj Melanki, którą sobie wystawił kręcącą się w familijném kółku w Krzemieńcu, nie ma już w domu rodziców! Była to jego siostra cioteczna, córka drugiego jego wuja, Teofila Januszewskiego; dziecina przez całą rodzinę, a szczególniéj przez naszego poetę bardzo umiłowana. W żadnym prawie liście on téj maleńkiéj nie pomijał milczeniem; lubił się przypominać jéj dziecinnéj pamięci i zawsze zapytywał, co tam porabia? Z Drezna jeszcze (1831) list jeden pisząc, żartobliwie jéj obiecywał, że jak powróci do Krzemieńca, będzie ją uczył po niemiecku, „bo ładny to w ustach dam język". A teraz mu doniesiono, że to dzieciątko zgasło...

Wyjmuję kilka ustępów z listu, pisanego pod bezpośredniém wrażeniem chwili (dnia 4 października 1832 roku):

„Wczoraj rano o godzinie 9 położyłem się, aby zasnąć. Zaledwo zamknąłem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi — list od Was. Senny siadłem do czytania — list ten spadł ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły... O! bo też nigdy nic podobnego nie czytałem, jak ten list Mamy. W nim taka ogromna poezya smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niéj się

nawet nie zbliżył. Matko moja! tyle w liście Twoim prawdziwéj boleści — tak wiernéj, że płakałem, czytałem — i znów płakałem. Potém na kawałku papieru leżącym na stoliku napisałem trzy nagrobki i posyłam je — nie przemienione“...

Nagrobków, o których to mowa, żądano od niego w liście. Jeden miał być dla Melanki, drugi dla Olesi, a trzeci dla Jana Januszewskiego.

„Gdybym ja był szczęśliwszym (pisze daléj, zwracając mowę do rodziców umarłéj), tobym Wam może przywiązanie dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia. Te dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami i czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią, poetyczną, exaltowaną rozkosz... Darujcie mi — bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi — a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“...

. . . „I znów na Wasz list spojrzałem — i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł-duch z tamtego już na wpół świata wyglądający, który wśród płaczących zawsze jedne i znane mi napisał słowa: „Ja Ciebie mój kochany wnuku pozdrawiam i powodzenia życzę.“ Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga... Więc Dziaduniu kochany, klękam przed Tobą i przyrzekam Ci, że wnuk Twój będzie umiał kiedyś, jak Twój syn starszy, dług wypłacić, którego Ty dla starości wypłacić nie mogłeś... I Ty, kochana Babuniu, nie wstydź się wnuka wierszoklety, bo on oprócz

wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie — a może Bóg mu pozwoli skonać, jak skonali — —

. . . „Mamo kochana, czuję jak Tobie teraz smutno! List Twój Mamo zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem. List ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że jeżeli miałem jaką poezyą w sercu, to ją od Ciebie wziąłem. Zwłaszcza to wyrażenie: „Mama powtarza, niech się dzieje wola Boga; ja zaś wspomniawszy na Ciebie, niezdolna do wyrzeczenia słów tych“ itd. jest ogromnym obrazem Matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa — i Bogu nawet, jeżeliby miał syna jéj zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania Twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami moimi zapłacone być nie mogą, lecz całém życiem“...

Ale przejdźmy od tych smutnych rzeczy do więcéj obojętnych, do potocznych szczegółów w Słowackiego korespondencyi.

„Żebyście Wy wiedzieli — pisał do krewnych dnia 9 listopada 1832 roku — jak ten świat nudny! Zupełnie inny, niż nam się wydaje. Zwłaszcza Paryż — jest to prawdziwe więzienie dla człowieka bez wielu pieniędzy. Bo w inném miasteczku, a nawet mieście, cudzoziemiec wchodzi zaraz do dobrych towarzystw. Tutaj zamknięte są domy. Trzeba mieć kabryolet własny, żeby się otworzyły. Zwłaszcza teraz noblesa wyniosła się prawie z Paryża — la bourgeoisie, ta brylantowa poczwara, która zajęła jéj miejsce, nie przypuszcza do siebie, tylko bogatych. Chcąc zainteresować jaką damę, trzeba po angielsku gadać — udawać Anglika, bo wiedzą, że Polacy nie mają pieniędzy. Uda-

wać zaś Anglika, jest to udawać głupca i oryginała, bo takimi są Anglicy. W jednym tylko względzie Paryż mi się lepszym wydał, niż o nim marzyłem. Gdy bowiem do nas kto z Paryża przyjedzie, zaraz ma jakiś dziwny śpiczasty kapelusz, jakiś frak wywrócony itd. W Paryżu zaś przeciwnie; nie widziałem tu elegantów tak jak u nas z połkniętym kijem — z nakrochmalonym halsztuchem. Wszyscy skromnie i zgrabnie ubrani. Ubierać się zaś można, jak się komu podoba. Śmiałobym tu wyszedł na ulicę w dziadowskiéj lisiurce, którą niegdyś jak syn marnotrawny dziadkowi zarwałem. Widziałem tu nieraz ludzi trochę podstarzałych na modnym spacerze w jesieni przechadzających się w jasno-błękitnym watowanym szlafroku, na frak zamiast płaszcza wdzianym. — Jeżeli chcecie sobie Julka wystawić, chodzi on w dni mniéj zimne w długim aż po kostki ciemno ceglastym surducie, krojem angielskim na jeden rząd guzików zapiętym, który mi już drugą zimę służy; w dni zimne w granatowym płaszczu z długim kołnierzem i z bobrowém futrem, które mam od kochanéj Mamy; a w dni ciepłe, w czarnym tużurku krótkim"...

Podobne wzmianki nawet o garderobie zdarza się nieraz czytać i przy innych sposobnościach w jego korespondencyi. Słowacki nie był elegantem z profesyi i nie przywięzywał do odzieży zbyt wielkiego znaczenia. Ale była inna przyczyna, dla któréj nie tylko lubił uważać na swoję powierzchowność, ale i chwalić się przed matką, że o tych drobnostkach nie zapomina. Oto chodziło mu o pewną rehabilitacyą całego rodzaju poetów, oskarżanych zazwyczaj o zaniedbywanie się; a przy-

czyniało się może do tego i trochę opozycyi z powodu znanego antagonizmu...

„Zostawszy raz poetą — chcę ujść powszechnéj nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały — i nie chcę, aby mnie tak jak Mickiewicza, do domu gry (?) nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę“... (List z dnia 30 lipca 1832).

Pomimo ciągłych wyrzekań na Paryż, na Francuzów i na emigracyą, z którą rad nierad musiał się stykać — za nadejściem jesieni 1832 Słowacki z konieczności godził się i na dalszy pobyt w tém mieście. Żeby nie ziębnąć w pokoiku swoim przez zimę, kazał go urządzić zawczasu więcéj na sposób polski.

„Dzisiaj zabezpieczyłem się od zimna — pisał dnia 9 listopada 1832 roku. — Kazałem sobie piec postawić, bo kominek wiele mi zjadał drzewa i ciepła nie dawał, — a pracując wieczorami, trzeba było ciągle o ogniu pamiętać, i to rozrywało moję uwagę“...

Plany zajęć i rozrywek na całą zimę także już były zrobione. Przy pracach, które mu same płynęły z duszy, spróbował wtedy (już po raz drugi) roboty, która mu miała dostarczyć środków do ogłoszenia IIIgo tomu Poezyi.

„W tym miesiącu byłem sześć razy na tragedyach francuskich... dla poznania się lepiéj z Francuzami teraźniejszymi i z grą aktorek; albowiem pod *sekretem powiem Ci Mamo*, że piszę tragedyą dla *jednego z tutejszych teatrów*. Nie wiem jednak, czy

mi ją przyjmą i zechcą wystawić, i czy zechcą zapłacić"...*)

Ażeby się uzdolnić do jak najpomyślniejszego dokonania innych utworów, które obmyślał, żądał w tymże liście od matki niektórych książek polskich.

„Jeślibyś mogła, kochana Mamo, to mi przez jadącą siostrę Michała (Skibickiego) przyślij dzieła Jana Kochanowskiego, które masz w swojéj szafce; a jeżeli można, to dostańcie także przekładu Jerozolimy przez Piotra, bo mi tu te dwa dzieła dla języka bardzo są potrzebne. Teraz albowiem nie mam, jak tylko Trembeckiego i uważam, że mój styl twardnieje nieznacznie"...

Wreszcie donosił rodzinie i o zabawach, jakich sobie w ciągu téj zimy w Paryżu dla urozmaicenia czasu pozwalać postanowił: kiedy wtém nagle zaszło zdarzenie, które te wszystkie jego projekta pokrzyżowało stanowczo.

*) Między papierami po śmierci poety przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu pisanego jego ręką, a poprawianego gdzie niegdzie inném pismem, zapewne przez jakiego rodowitego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu. (Musiała ona zatém stanowić kiedyś całość skończoną). Była pisana prozą, miała za treść sprawę Beatryczy Cenci, którą później opracował Słowacki wierszem po polsku. Ale osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, ile wnosić można z fragmentów, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiéj. — Urywki rzeczone zbyt mi się zdały mało znaczące, żeby je zamieszczać w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych.

Niepomału zdziwić się matka musiała, kiedy wyczytała w liście Juliusza już w miesiąc późniéj doniesienie następujące:

„Kochana Mamo! Pobyt mój w stolicy nachyla się już do końca. Za dni kilkanaście wyjeżdżam do Genewy. Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie przynajmniéj w poetyczniejsze krainy posyła. Wiele miałbym pisać o tym miesiącu, ale nie wiem, jakimi słowy“... (Z listu z dnia 8 grudnia 1832 roku).

To nagłe postanowienie porzucenia Paryża tém bardziéj zadziwiać mogło każdego, że się już przyzwyczajać zaczęli koledzy Słowackiego paryscy, widzieć go uczestniczącego we wszystkich tamtoczesnych działaniach i obchodach emigracyjnych. Tak np. znajdujemy o nim w piśmie peryodyczném Januszkiewicza, które przyjęło (ale później dopiero) nazwę „Pielgrzym Polski“, w Numerze z d. 20 listopada 1832 wzmiankę, że na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego co tylko odbytém, czytał jakąś rozprawę. „Prezydujący Adam Mickiewicz, obrawszy za przedmiot: Gdzie ducha narodowego i jak go szukać należy? obudził prawdziwie interes słuchaczów swoich. Poklask dany przez zgromadzenie zwrócił uwagę naszę na artykuł J. Słowackiego „O przyszłości prac Towarzystwa, a mianowicie historycznych“. Artykuł ten obrazowym stylem i w ogólnych skreślony rysach, był raczéj przemową, w któréj autor kilka swoich myśli o historyi kraju naszego rzuca, porównywając ją z dziejami innych ludów; i stara się przyszłemu dziejopisowi Polski,

szukając go w gronie słuchaczów, podać sposób utworzenia w sobie sądu o wypadkach. „Historyk taki — są jego wyrazy — jeżeli ma sąd drogą indukcyi z wypadków przeszłych wyłamywać, niech go nie szuka w historyi jednego narodu, lecz w historyi całéj téj ziemi. Niech rzuci oko na tworzenie się ludów, które mi się wydaje wielkiém i sześciodniowém, jak stworzenie świata. Bo w pierwszym dniu Bóg stworzył religijne królestwo Judy, a w drugim poetyczną Grecyą, a w trzecim zdobywczy Rzym, a w czwartym była noc wieków średnich, a w piątym stworzył światło Krucyat, a w szóstym — przebaczcie — zdaje mi się, że stworzył Napoleona, człowieka, pod którym ludy zaczęły budować babilońską wieżę, aż póki Bóg nie pomieszał języków, tak że się dotąd jeszcze jedną myślą zrozumieć nie mogą. Wolę więc, żeby sąd wyłamał z historyi całéj ziemi, niż z teraźniejszéj Europy, którą Napoleon wędrówkami zbrojnymi jak różne warstwy ziemi skłócił, pomieszał i jeszcze nieosiadłymi zostawił.“ (Cały ten pomysł, jakkolwiek z bardzo istotnymi zmianami, wypowiedziany jest powtórnie wierszem — w Kordyanie, a to w VItéj scenie IIIgo aktu. Same te zmiany już dowodzą, że cały ten sześciodniowy podział historyi do fantasmagoryj tylko poetycznych zaliczyć trzeba). — W Numerze z d. 2 grudnia (1832) tosamo znowu czasopismo donosi o obchodzie pamiątkowym dnia 29 listopada odbytym. „Polacy w Paryżu będący zaproszeni zostali na tę uroczystość przez komitet centralny francuski... Sala, niegdyś będąca Jana Kazimierza mieszkaniem, ozdobiona była chorągwiami Polski, Francyi i Ameryki. Damy i zna-

czna liczba cudzoziemców towarzyszyła téj uroczystości... O godzinie 5 otworzone zostało posiedzenie przez hr. Laysterie. Czytali mowy w języku polskim: Zaliwski, Rottermund, Dwernicki, Wda Ostrowski, Różycki pułk., Czyński, Lelewel, Pułaski, Grzymała, Saniewski. Zakończył odczyty polskie wiersz Minasowicza. Około godziny 8 okrzyki: Niech żyje Lafayette! oznajmiły jego przyjście. W mundurze gwardyi narodowéj polskiéj zasiadł miejsce obok swego dowódcy i generała Dwernickiego. Po krótkiéj przemowie Lafayetta, Słowacki imieniem Towarzystwa Litewskiego i ziem ruskich ofiarował mu medal, bity na pamiątkę powstania rewolucyjnego tych ziem: poczém nastąpiły mowy w języku francuskim Dwernickiego, Lelewela, Worcella, Krępowieckiego. Wiersze francuskie deklamowali Lemercier i Lemaitre. Uroczyste to posiedzenie zakończył przemową powtórną Lafayette."

Owoż już w 10 dni po téj uroczystości, pisał Juliusz w liście wyżéj wspomnianym do matki o stanowczém postanowieniu swojém przeniesienia się do Szwajcaryi, nie powiadając, jaka „potrzeba" go zmuszała do wyjazdu z Paryża, jakkolwiek przytaczał kilka różnych okoliczności, mających niby usprawiedliwić tę jego nagłą zmianę pobytu.

„Przez kilkanaście dni, które poprzedzą mój wyjazd, będę ciągle zwiedzał teatra, bo mi się zdaje, że do Paryża nie prędko, a może i nigdy nie powrócę. Bo tu przykro — drogo — niespokojnie. Między nami ciągłe zwady — a w tych zwadach wykrywają się tak puste głowy, że aż to obraża

dumę narodową. A potém, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencyą, któżby do Paryża wracał? — Pisałem już, że interes zmusza mnie do wyjazdu. Ale zapewne z własnéj woli w Genewie zostanę na mieszkanie i wiele sobie obiecuję przyjemności, i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam doniosę o mieszkaniu Russa, Woltera, a nadewszystko jak pielgrzymkę na Mamy intencyą odprawię i zwiedzę Coppet, gdzie pani Staël mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad jeziorem genewskiém w jakim wiejskim domku — i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowymi, bo ja stworzony jestem do życia mniszego, spokojnego, i w najludniejszych miastach tworzę sobie samotność — ale nudną, przerywaną hukiem powozów, rozmową nudnych znajomych. Więc mnie nie obwiniaj Matko, że cichszéj samotności szukać będę"...

I w drugim liście potém pisanym, już datowanym z Genewy (z dnia 30 grudnia 1832 roku) nie wyspowiadał się Juliusz, co mu tak zaciężyło na sercu. Rzucił tylko nawiasem wzmiankę o ostatnich chwilach pobytu swego w Paryżu, która tém bardziéj mogła każdego zaciekawić:

„Powiem Ci jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednem zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażebym został. Ale już było zapóźno, przygotowania do podróży już były porobione"...

Dopiero po upływie całego niemal roku dowiedzieli się krewni rzetelnéj przyczyny, która Słowackiego wypędziła z Paryża. Świadczy ona może o zbyt daleko posuniętéj drażliwości u niego; roz-

ważywszy jednak wszystko, przyznać należy, że w jego położeniu trudno było inaczéj sobie postąpić. Rzecz tak się miała:

W samym początku roku 1833 wyszło w Paryżu dzieło, o którego mającém niebawem nastąpić wydaniu donosił już poprzednio matce swojéj Słowacki. Pojawiła się Część trzecia Dziadów. Poemat ten był drukowany w zakładzie znanych Juliuszowi panien Pinard, i nie wątpić, że go czytać musiał jeszcze przed ogłoszeniem. Otóż w jednéj scenie tego utworu występuje jak wiadomo figura, któréj tam dano nazwę Doktora. Zajmuje ona jedno z przedniejszych miejsc na całym planie obrazu; wystawiona jest w takiém świetle, że odpowiedzialność za te wszystkie bezprawia, jakie się działy w Wilnie w latach 1823 i 1824, na nią w znacznéj części spada i to z tém większą sromotą, że jest to rodak i członek ciała uniwersyteckiego, którego więc obowiązkiem było zasłaniać od gwałtów młodzież niewinnie prześladowaną, podczas gdy on działa w poemacie Mickiewicza jako intrygant, podżegający jeszcze podejrzliwość Nowosilcowa zarówno przeciw młodzieży, jak profesorom, i nie wstydzi się być jego nadskakującym pochlebcą, a nawet denuncyantem wręcz oskarżającym profesora historyi Lelewela i kuratora uniwersytetu księcia Czartoryskiego o spiski przeciw rządowi w gronie uczniów utrzymywane.

Mickiewicz wprawdzie w Dziadach nie nazwał po imieniu tego doktora. I stądto może też poszło, że stawiwszy go jako figurę typową — z wyobraźni tylko wziętą, a nie z rzeczywistości, pozwolił sobie, nie tylko intrygi, z historycznymi

zdarzeniami rzeczywiście związek mające na karb jego położyć, ale dodał do nich jeszcze i kilka rysów dokomponowanych (naprzykład owo zajście nieludzkie z X. Piotrem itp.), które same jedne wystarczałyby najzupełniéj na to, żeby każdego jako nikczemnika potępić na całą wieczność...

Wiedział oczywiście każdy, kto tylko z zajściami czasu owego jakokolwiek był obeznany (a któż ich w emigracyi nie znał natenczas?), że tą figurą bezimienną nie był kto inny, jak profesor medycyny w uniwersytecie wileńskim doktor Bécu, rzeczywiście od pioruna w roku 1824 zabity, jak to i w Dziadach jest przedstawione.

Czy oskarżenie podobne ojczyma Słowackiego było uzasadnione i sprawiedliwe?

Nam późniejszym, oddalonym od czasu i miejsca zdarzeń — wobec takiéj powagi, jak autor Dziadów — trudno zaiste zaprzeczyć temu dzisiaj stanowczo. Sądzę atoli, że był to w każdym razie jeden z tych smutnych przykładów, w jakie pierwsze lata emigracyjne szczególniéj były obfite, przykładów mówię ryczałtowego piętnowania ludzi nieraz niewinnych znamieniem odstępstwa, zdrady i Bóg wie jakich przekroczeń. Chociażby nie żyli jeszcze ludzie, co pamiętają te czasy, a którzy, o ile tylko mi się mówić z nimi zdarzyło, po większéj części zgadzają się na to, że się tym krokiem względem profesora Bécu dopuścił Mickiewicz grubéj przesady: to już samo porównanie rzeczy, jak ona jest dana w Dziadach, ze znaném pisemkiem Lelewela „Nowosilcow w Wilnie“, okazuje, że musiał być Mickiewicz, kiedy układał tę scenę, w dziwném jakiémś rozdrażnieniu. Patrząc na

rzecz z tego punktu widzenia, można i trzeba wprawdzie wierzyć, że wypowiadał autor Dziadów to co pisał, w najgłębszém przekonaniu i w godziwych zamiarach, i że się czuł podniesionym na wysokość, z któréj giną przed okiem drobne względy na pojedyncze osoby wobec zamiaru podniesienia pewnéj idei: pomimo tego wszystkiego zaprzeczyć jednak nie można, że przedstawienie to jego scen wileńskich z roku 1823 więcéj było poetyczne, niż zgodne z prawdą, a sądy o niektórych osobach w wysokim stopniu polegały na uprzedzeniu.

Lelewel był naocznym świadkiem, a nawet jednym z głównych czynników całego tego dramatu. Był on nadto osobistym przeciwnikiem stronnictwa w uniwersytecie wileńskim, po którego stronie stał Bécu. Co większa, i Lelewel miał przekonanie, że profesor ten czynnie i umyślnie się przyczynił do oddalenia jego z katedry wraz z niektórymi innymi jeszcze profesorami. Nie było tedy powodu, ażeby winę profesora Bécu Lelewel zmniejszał, i widać też po całym sposobie, jakim rzeczy te opisuje, że mu bynajmniéj na tém nie zależało, ażeby go od zarzutu oczyścić. Przeciwnie! sądzi on o nim z uprzedzeniem; o zachowaniu się jego opowiada namiętnie. I cóż mu więc takiego zarzuca? Jestże najmniejsze podobieństwo pomiędzy winą, jaką mu przypisuje historyk, a ową rolą, w jakiéj go wystawił w dziele swojém poeta? Bynajmniéj! podobieństwa, stósunku nawet między jedném przedstawieniem a drugiém — nie ma żadnego...

Wprawdzie grube są i Lelewela zarzuty przeciw niektórym profesorom, a między nimi i przeciw

doktorowi Bécu. Z tém wszystkiém, kto tylko całe przedstawienie rzeczy w wspomnioném dziełku Lelewela przejdzie z uwagą i rozwagą bezstronną: niepodobna żeby nie widział, że grzeszyła niewątpliwie i jedna strona i druga. Tu podejrzliwość — tam zaciekłość; tu brak umiarkowania i taktu w postępowaniu, a tam przebieranie znowu miarki w sądach o dążności i postępkach przeciwnego obozu: — takieto były na nieszczęście w ówczesnéj inteligencyi litewskiéj przymioty, od których wymówić nie można ani jednych ni drugich.

Starsi nie pojmowali w ówczesnych okolicznościach innéj drogi ku lepszéj, ku upragnionéj przyszłości, jak drogę jawną, pewną, bezpieczną — drogę na podwalinach danego stanu rzeczy opartą — wśród pracy powolnéj wprawdzie i niejaskrawéj, ale trwałym skutkiem wynagradzającéj za trudy. W podziemne knowania... żadnéj wzbudzić w sobie nie mogli wiary. Lękali się entuzyazmu, którego kierunek ginął w mistycznych jakichś sferach extazy, a doniosłość przekraczała wszelkie granice rzeczy prawdopodobnych, a nawet możliwych.

Dla młodszych profesorów przeciwnie i dla całéj uniwersyteckiéj młodzieży nie miało wtedy uroku, co nie nosiło piętna tajemniczości i nie wiało wonią zakazanego owocu. Niepokonana moc jakaś parła całą tę generacyą ku robotom, o których ostatecznych następstwach bodaj który z nich miał jasne wyobrażenie. Oda do młodości była ich pieśnią. Gorąca wiara w to, czego wszyscy pragnęli, przy wzgardliwém odrzucaniu na bok wszystkiego, co wyglądało na kalkuł — to była modła postępowania tego zastępu.

W owych czasach nazywano to wszystko romantyzmem. Ale wiedziano już wtedy dobrze, że się w téj nazwie ukrywało coś więcéj, jak same kwestye dotyczące poezyi lub estetyki...

Takie były dwa stronnictwa w łonie społeczeństwa naszego, których głównem ogniskiem był w owym czasie uniwersytet wileński. — Stronnictwo gorętsze zwyciężyło. Jego hasła wzięły z czasem na całą rozległość kraju zupełną przewagę nad instynktami przeciwnéj partyi. Co tylko szczytnego posiadamy w literaturze — zawdzięczamy niewątpliwie popędowi i świetnéj inicyatywie, jaka była dana z téj strony. I po za literaturą nawet — wszystkie pierwszorzędne sprawy nasze publiczne od owego czasu począwszy, były prowadzone kierunkiem, jaki narodowi wytknęło i ciągle potém wytykało przekonanie tychto zwolenników peryodycznie obudzać się mającego w społeczeństwie naszém zapału i wiary w cudowność polityczną. Łatwo tedy było Mickiewiczowi — w uczuciu odniesionego tryumfu... wprawdzie tryumfu nie pod murami Warszawy, ale tylko w zakresie myśli i niedaléj jak między swymi — łatwo mu było w roku 1832 na owych pokonanych, prześcigniętych, już w mgle zapomnienia ginących przeciwników niegdyś swego zastępu rzucać gromy wzgardy i potępienia! Ale dziś — kiedy dalszy przebieg romantyzmu owego w polityce leży już przed nami doprowadzony do ostatecznych swych kresów, i owoce jego dojrzałe jak na dłoni widne są wszystkim: — dziś zdaje mi się, ani sam nawet Mickiewicz ani Lelewel nie śmieliby już w podobny sposób sądzić i mówić o ludziach owéj epoki...

Czas wreszcie, byśmy powiedzieli to sobie, że może ci starzy i niby zacofani antagoniści Lelewelowskiéj partyi w uniwersytecie wileńskim nie byli wcale ani tacy obskuranci, ani tacy obojętni dla kraju, za jakich ich okrzyknięto wśród walki! Mieli oni zdrowy rozum i kochali ojczyznę równie dobrze, jak drudzy! A że się nie mogli z młodszymi godzić na sposoby, jakimiby jéj służyć: — za to winować nie ich należy.

Za to winować by można tylko znękane, ciężkie i ciągle jeszcze chore społeczeństwo nasze, na którego siłach się ci młodsi przerachowali potężnie, a które ludzie przeciwnego tamtym obozu snać dobrze znali. Wedle tego, jakiém je znali, urządzali oni swoje postępowanie. Ich przekonaniem było: wprzód ogół narodowy odrodzić, a potém — przyszłości to pozostawić, co tamci czynić chcieli od razu, jakby wszystkie okoliczności już były przygotowane do tego.

Ale wróćmy do rzeczy. Samo się rozumie, że co tu mówię o profesorach wileńskich umiarkowańszych dążności, r o z u m i e m o o g ó l n y m k i e r u n k u tychże postępowania, a nie o pojedynczych krokach bez taktu, jakich się niejeden i między nimi pod naciskiem prześladowania dopuszczał czasem. Zupełnie zaś tego co powiedziałem nie ściągam do takich zaprzańców i nikczemników, jak naprzykład Pelikan, późniejszy rektor uniwersytetu, który zajmował stanowisko zgoła odrębne...

Co się tyczy doktora Bécu: sam Lelewel w jedném miejscu broszury swojéj, w nocie dodanéj niżéj textu na dole, a zatém jak jest prawdopodobna, dopisanéj kiedyś późniéj, kiedy już

był ochłonął z pierwszéj niechęci przeciwko niemu, sam Lelewel przyznaje, że byli koledzy, którzy rzeczonego profesora dla osobistych uraz „zamierzali złośliwie zgubić“; że nie brakło nawet i na takich uczniach uniwersytetu, co dawniéj w domu jego bywali, a potém dostawszy się do kozy, „plątali wesoło i nieszkodliwie“ (!?) profesora w sprawę, za którą zostali uwięzieni. A więc i jego stanowisko było zachwiane. I jemu groziło niebezpieczeństwo. Broniąc się z konieczności przeciw złośliwości jednych, a lekkomyślności drugich, może nie trafiał zawsze na sposoby najstósowniejsze; może powodując się zbytecznie osobistém rozdraźnieniem i żalem, postąpił sobie w czém niezupełnie, jak należało. Lecz trzebaż było zaraz rzucić bezwarunkowego potępienia kamieniem na człowieka, który w pracowitym zawodzie swoim całe życie przeżył bez skazy, dopędzał późnego wieku wśród czci powszechnéj i miał, jak to sam Lelewel przyznaje, i przedtém i w ciągu owego śledztwa najściślejszą przyjaźń z Janem Śniadeckim?! Ta jedna okoliczność, ta jedna rękojmia, ta jedna pewność o przyjaźni ze Śniadeckim, już zdaniem mojém wystarcza, żeby mu nie przypisywać winy, o jaką go może wtedy w Wilnie posądzano chwilowo. Charakter tak nieposzlakowany, wzrok tak bystry, znajomość pobudek ludzkich taka wytrawna, a nadewszystko owa surowość zasad, która Śniadeckiego przez cały ciąg życia jego jako osobistość tyle podnosi po nad innych ludzi tych generacyi, nie byłaby mu pewnie dozwoliła żyć w poufałym stósunku z kolegą, któryby stał na jednéj linii z intrygantami, jak Pe-

likan albo ta inna hołota, która się obławiała w zyski i rosła w honory przy owéj sposobności...

Wspominana tu Lelewela broszura, w sposobie pamiętnika traktująca o owych czasach i stósunkach wileńskich, obchodzi nas tu bardzo blisko i z innéj jeszcze przyczyny. Została ona ogłoszona drukiem po raz pierwszy w Warszawie w ciągu listopadowego powstania, w jednym z pierwszych trzech miesięcy roku 1831. Zważywszy, że w niéjto właśnie ojczym Juliusza w takiém świetle jest przedstawiony; daléj, że wyjazd Słowackiego z Warszawy już w marcu tegoż roku nastąpił nagle, tajemniczo, bez dostatecznych powodów takich, z którychby się było można wytłómaczyć przed matką; dodając do tego i to nareszcie, że we wszystkich listach swoich Słowacki odtąd nie wspomina nigdy o Lelewelu inaczéj, jak w wyrazach świadczących o namiętnéj niechęci i z gryzącém tylko szyderderstwem: — zdaje się być rzeczą więcéj niż prawdopodobną, że téj jego jakby ucieczki z Warszawy — bez planu, w świat obcy, byle daleko, ucieczki w ciągu wojny z niejakiém jeszcze powodzeniem trwającéj — nie mogło być co innego powodem, jak właśnie owa broszura! Dla mnie przynajmniéj jest to wniosek, o którego prawdziwości wcale nie wątpię. Niepodobieństwem było dla Słowackiego oddychać dłużéj atmosferą miasta, które zdawało mu się, że patrzało na bezkarną zniewagę imienia, które jego matka nosiła. Nie śmiał jéj wyznać, że dlatego wyjeżdża z kraju, ponieważ jeden z mężów składających rząd najwyższy w stolicy, człowiek w dniach owych może najpopularniejszy w narodzie, którego przeto trudno było niepokoić

wtedy o rzeczy czysto prywatne... że się ten człowiek dopuścił takiéj krzywdy względem dobréj sławy jéj męża. Dlatego to wtedy wolał osłonić milczeniem, co go właściwie wypędziło z Warszawy. Dlatego też i w późniejszych listach tak się o tém mimowolnie nieraz wyrażał, że tylko za pomocą takiego téj zagadki wytłómaczenia można i wyjazd i dziwne o jéj pobudkach napomknięcia i niechęć ku Lelewelowi w korespondencyi jego zrozumieć.*)

Jeżeli go zaś już ta publikacya Lelewela tak boleśnie wtedy dotknęła: témci bardziéj uczuć musiał tę nową krzywdę, jaką rodzinie jego wyrządził w Dziadach Mickiewicz. Nie przeto tylko, że tu mniemana wina jego ojczyma dosięgała rozmiarów prawdziwie monstrualnych. Lecz wszakże to było dzieło, które czytane i odczytywane być miało przez wszystkich! To był poemat — to był Mickiewicza poemat!... Pamiętniczek Lelewela, szorstkim stylem pisany, mógł ugrzęznąć w rękach samych tylko uczonych, samych historyków z zawodu; ani z rzeczy ani z formy nie mógł on sobie obiecywać nieśmiertelności. Dziady były dziełem poety, na którego zwrócone były oczy każdego, kto tylko język polski rozumiał. Broszury Lelewela nie znała matka Juliusza i nigdy się ani o jéj exystencyi nie dowiedziała, jak o tém wnosić można na pewne z milczenia o tém dziełku w listach Juliusza do niéj pisanych. Lecz możnaż było przypuszczać, żeby i Dziady rąk jéj dojść nigdy nie

*) Obacz miejsca odnoszące się do całéj téj sprawy na stronie 42 i 43, 64 i 202 niniejszego dzieła.

miały? Lelewel wreszcie, w czasie kiedy drukował swoję książeczkę, był zupełnie obojętnym człowiekiem dla Słowackiego. Ani wiek, ani stósunki, ani zawód nie zbliżał ich obydwóch do siebie. Inaczéj rzecz się miała z Mickiewiczem. Jeżeli już nie dla innych powodów, to przez sam wzgląd na obecność Juliusza na emigracyi w Paryżu, przez wzgląd na to, że to brat jego młodszy po lutni, że z nim koleguje w przełożeństwie nad Towarzystwem Literackiém — już dla tych mówię przyczyn nie godziło się Mickiewiczowi obierać sobie właśnie jego ojczyma za ofiarnego kozła, któryby dźwigał cały ogrom wzgardy poety dla wszystkich samolubów i zaprzańców, jacy tylko byli i kiedykolwiek być mogli...

To też łatwo sobie wystawić, co się po przeczytaniu téj książki dziać musiało w duszy naszego poety, tyle zawsze draźliwego, a tak serdecznie przywiązanego do matki... Oto, co jéj pisał w rok dopiero po wyjeździe swoim z Paryża, kiedy ona dowiedziała się już skądinąd o wszystkiém:

„Więc wiecie o Adamie! Och! teraz dopiero powiem, ile mię kosztowało przełamanie pierwszego popędu dumy! Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała (Skibickiego), przyjaciela mego, aby mi pomocy swojéj użyczył. Przyszedł Michał wieczorem, i różnymi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dlaczego do Genewy wyjechałem — i teraz nie uwierzycie, ile męki cierpię, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie usłyszeć. Nienawidzę go!...

Wyjątek z mojéj przedmowy *) on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał całkiem inne znaczenie — pozór jakiejś uszczypliwości. A przedmowa moja jest raczéj mojém usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił. Onto bowiem o dziełach literackich w pisemku pisał.**) — Nic mi nie pozostaje, jak okryć Ciebie Matko moja, promieniami takiéj sławy, aby Cię inne ludzi pociski dojść nie mogły. I muszę tego dokonać — Bóg mię sam natchnął — bo rozwi-

*) Mówi o przedmowie do IIIgo tomu Poezyi, obejmującego Lambro. O utworze tym, który wyszedł w początku roku 1833, będziemy niżéj mówili obszernie.

**) „Pisemkiem“ nazywa tu Juliusz Pielgrzyma Polskiego N° (czyli „półarkusz“) 6ty, z d. 16 maja 1833. Donoszono tam o wyjściu tomu IIIgo Poezyi Słowackiego, i dołączono do tego doniesienia następującą uwagę:

Autor (Słowacki) we wstępie szydzi z krytyków. „Minął (powiada) ów czas błogi, chociaż mało dla literatury naszéj korzystny, kiedy oda lub ballada nadawała imię poety... Nadto pisma czasowe dzienne (przed kilku laty) zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiéj. Szczęśliwy, kto ją zrozumiał — szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianéj wierzył! Dziś dziennikarze, owi tworzyciele literackich królów, milczą. Gazeta warszawska umieściła w sześciu numerach całego Żmiję — bez uwag.“ (Czy Autor teraźniejsze czasy uważa za lepsze, czy za gorsze?)

Otóż powyższe miejsce w Pielgrzymie miał Słowacki przed oczyma, kiedy oskarżał Adama, że jego przedmowę obciął i nadał jéj pozór jakiejś uszczypliwości i „ze złą wiarą postąpił“. Oskarżenie zupełnie chybione! Gdyż owego artykuliku w Pielgrzymie bynajmniéj nie był autorem Mickiewicz, ale pisał go Jański, jak mi to wiadomo z listu Eust. Januszkiewicza, redaktora Pielgrzyma, pisanego do mnie w kwietniu 1867 r. (Przypisek do II wydania).

nął w myśli mojéj wielkie dzieło.*) Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi Matko droga, że się nie zaślepiam, żem to dzieło osądził, po napisaniu, obcego człowieka rozwagą... i drukuję bezimiennie. Będzie to równiejsza walka z Adamem... (Z listu rokiem później pisanego z Genewy dnia 30 listopada 1833 roku).

— Kiedy już zapadło niecofnięte postanowienie przeniesienia się do Szwajcaryi, rozpoczęto przygotowania do bezzwłocznéj podróży. Wśród najrozmaitszych zajęć, jak to bywa na wyjezdném, przyszła do głowy myśl Słowackiemu odwiedzić jeszcze sławną naówczas wróżkę paryską, pannę Lenormand. Było to w samę wilią Bożego-Narodzenia.

„Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o sławnéj pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacyi, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła. — Ułożyliśmy natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała; dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: „Librairie de Mlle Lenormand". Wchodzimy do sieni, wita nas stara duguenna pytając, czy przyszliśmy na konsultacyą. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia i śród tych malowideł wisi ogromny portret saméj wróżki, w aksamitnéj czarnéj sukni, ze

*) Stósuje się to do Kordyana, który był napisany w rok po wyjściu Dziadów, w Genewie.

złotą u dołu frendzlą i w zamyślonéj postaci odmalowany. Kilka osób przybyłych przed nami czekało na kabałę, słychać było w drugim pokoju ciągłe mruczenie czarownicy. Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę: Jest to baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szaréj sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier aksamitny ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocię P. przypomina. Siadła na krześle z poręczami, przy biurku z wytartém suknem, na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitéj wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. — Zapytana, odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6 aż do 60 franków. Prosiliśmy o sześciu-frankową przyszłość. A więc przyznacie sami, że ludziom, co po 6 franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć. Zadała mi pierwszemu następujące pytanie: „w którym miesiącu rodziłem się?“ — „w Auguście;“ — „którego dnia?“ — „23;“ — „jaka pierwsza litera imienia?“ — „J;“ — „pierwsza litera kraju?“ — „P;“ — „jaki kolor najwięcéj lubię w ubiorze?“ — „czarny;“ — „jakie zwierzę najwięcéj lubię?“ — „psa;“ — „jakiego zwierzęcia najbardziéj niecierpię?“ — „pająka;“ — „jaki kwiat najbardziéj lubię?“ — „różę“. Na tém zakończyła, i wziąwszy talią kart zwyczajnych, ułożyła z nich długi szereg, dwie zawsze karty odrzucając. Potém wzięła ogromne karty, z dziwnymi wizerunkami, i kazała mi z nich wybrać jedenaście lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potém z trzeciéj, równie ogromnéj talii kazała mi wybrać 23 karty; z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak excytarz jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróżby zupełnie

pospolite; między innymi powiedziała, że będę się dwa razy kochać; że rozpoczynam podróż, któréj mi rozpoczynać nie radzi aż do odebrania pewnych wiadomości; że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości; że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował; że między 27 a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków. Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnia tylko dosyć interesująca. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż; a ponieważ jéj mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. — Tumani baba i niczém zbywa chorych na zdrowy roządek pacyentów.*) — Po tak przepędzonéj godzinie wyszliśmy z Michałem do ogrodu Luxembourg. Gadaliśmy długo drwiąc z siebie nawzajem, a potém mimowolnie

*) Ażeby zaspokoić czytelnika ciekawość i powiedzieć mu o wypadku tych przepowiedni, póki pamięta jeszcze o wróżbie, nadmieniam, że jednak w tym pojedynczym razie niekoniecznie „baba tumaniła!“ Niejedno się z jéj zapowiedzi spełniło rzeczywiście. I tak, co się tyczy dwukrotnego zakochania — okaże się niżéj, że w tém było wiele prawdy, chociaż nie trzeba brać rzeczy w zbyt ścisłym sensie. Obietnica szczęścia i czasu obfitego w wypadki między 27 a 28 rokiem życia, ściągnęła się wprawdzie do skromniejszych nieco rozmiarów, bo tylko do podróży do Włoch i na Wschód, odbytéj w r. 1836—37. Z tém wszystkiém, chociaż nie były to czasy bardzo szczęśliwe, to były one jednak jeszcze stósunkowo najszczęśliwsze w całém życiu poety od chwili wyjazdu jego na emigracyą, a nawet i najobfitsze w wypadki, a przynajmniéj w przygody. A co ze wszystkiego najdziwniejsza, to że trafiły właśnie na wiek jego oznaczony!

Byronowi, kiedy jeszcze był chłopcem, wróżyła także wieszczka jakaś, nazwiskiem Msr. Williams. Przepowiedziała mu, że rok wieku dwudziesty siódmy i trzydziesty

wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: „Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków, może by nam co więcéj powiedziała.“ Odpowiedziałem śmiechem na te jego słowa, malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradzały go aż do głębi serca. Ale ja także wyznać muszę i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samę myśl wpadłem“... (List z dnia 30 grudnia 1832 roku z Genewy).

W wilią wyjazdu pożegnało grono bliższych znajomych Słowackiego obiadem na cześć jego wyprawionym przez któregoś z przyjaciół. A nazajutrz, dnia 26 grudnia, w samo więc drugie święto Bożego Narodzenia, o godzinie 7 wieczorem wsiadł do dyliżansu.

---

siódmy będzie dla niego niebezpiecznym. „Jedno się rzeczywiście spełniło“, pisał Byron w swoich pamiętnikach, stósując rzecz do swego ożenienia, które przypadło właśnie na rok jego 27my. „Nie zapomnę nigdy 2go stycznia 1815. Było mi, jak gdyby podpisywali mój wyrok śmierci. Lady Byron (młoda panna) była jedyną spokojną osobą w całém towarzystwie. Ksiądz wymówił nazwisko moje fałszywie matka narzeczonéj wrzeszczała; ja drżałem jak osowy listek, dawałem odpowiedzi niedorzeczne i nazwałem żonę po ślubie Miss Millbank (nazwisko panieńskie)“... Tak tę rzecz opisywał Byron w kilka lat po owym ślubie złowieszczym, który mu całe życie zatruł goryczą. Nie upłynęło wiele czasu i okazało się, że i druga przepowiednia owéj wróżki miała się spełnić. Mając właśnie lat 36 i kilka miesięcy, poeta zakończył życie.

Więc wierzyć przepowiedniom? — Nie zawsze! Ale zdarzają się czasem rzeczy na ziemi i na niebie, o których się nie śniło naszym filozofom... Byron w nie wierzył, Walter Scott także, i Rousseau, i Göthe, i Napoleon — i wielu innych sławnych ludzi!

„Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokoło, gadając ze mną przez okna karety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika (Zienkowicza), który się wywlókł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu. Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojéj, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dyliżans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potém przez pont Neuf, a potém przez ulice, na których nigdy nie byłem, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu. I tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy nie mogąc rozerwać niczém mojéj uwagi, przebiegłem myślą mój pobyt w tém mieście — i nic nie znalazłem przyjemnego — żadnego wspomnienia, prócz chwili, w któréj przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezyi"...

A znajomość z panną Korą? — Nie ma o niéj wzmianki w tém rozmyślaniu poety o najbliższéj swojéj przeszłości. Pożegnanie się ich obojga było, zdaje się, z jego strony obojętne — dla niéj było bardzo bolesne.

„Powiem Ci Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu żałowało, mówi Juliusz w inném miejscu tegosamego listu. Kora płakała i z drugiego pokoju było słychać łkanie; a kiedy wyszła do salonu, czerwone miała tak oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czém bardzo ubolewałem"...*)

*) „Panna Kora Pinard, prześliczna dziewczyna, ostatecznie wyszła za mąż za dość bogatego handlarza drzewem

Ale wróćmy do przerwanego opisu podróży.

„Przejeżdżałem przez ładną Francyą — ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dyliżansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą. Zacząłem ich naśladować i często po całéj mili uchodziłem. Co dziwniejsza jeszcze, że w towarzystwie naszém znajdował się jeden sławny szybko-biegacz, który się w Paryżu popisywał i któremu dotrzymywałem kroku. — Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszymi wędrówkami i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jednę górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa była cała szronem obsuta, futro u mego płaszcza obmarzło; wyprzedziłem z daleka dyliżans i stanąłem sam jeden, a widząc naokoło skały, Waszymi imionami próbowałem ich echa... Jechałem przez Tonnerre-Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie 5 z rana, przyjechaliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wziąć sanki, aby przebyć śniegi téj góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dyliżansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem Szwajcarem w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie, na trzecie spakowano rzeczy i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz — śniég dawno niewidziany — tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami! —

---

okrętowém w Hawrze.“ (Z notatek mi udzielonych Eust. Januszkiewicza).

O 7 zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tém ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kortyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz. — W oberży samotnéj na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dosyć Wam powiedzieć, że prędkim kłusem jechaliśmy z téj góry godzinę, i porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy na otaczający naokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wmówić w siebie, żeby o téj porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Ferney; widziałem z daleka zamek Woltera i kościołek, który Bogu postawił. — Ferney mniéj na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez 12 godzin widząc śniegi wokoło, o Was marzyłem, marzyłem o dawném dzieciństwie, o dniach przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że Wam tego wystawić nie potrafię. — O półtoréj mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o 5 wieczór wjechaliśmy do miasta. Teraz patrzcie na początek listu, a będziecie mieli wyobrażenie, jak pierwsze chwile w téj mieścinie przepędziłem"...

Początek listu był taki:

„Nie masz smutniejszéj dla mnie chwili, jak ta, w któréj przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5

wieczór przyjechałem do Genewy, wniósłem się do hotelu pod Wielkim Orłem i nie mogąc po nocy włóczyć się po nieznajomém mieście, kazałem sobie do pokoiku przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanéj Mamy"... (Wszystko z listu datowanego z Genewy dnia 30 grudnia 1832 roku),

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Rok 1833. — Pensyonat na przedmieściu genewskiém i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiéj recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do niego. — Życie towarzyskie roku owego dość zajmujące. Boston — Eglantyna — Eliza. — Wiosna — różne figury z dalekich krajów sąsiadujące teraz z Słowackim — rodzina Uwarow — Potapow — hrabina Seidwitz — misyonarz Wolf itd. — Wycieczki w góry okoliczne. — Uroczystość szkolna — imieniny Juliusza. — W jesieni praca nad Kordyanem.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe do Genewy znalazł tam Słowacki kilku ze swoich dawnych znajomych, i ci mu dopomogli w wynalezieniu mieszkania. W ich towarzystwie i wśród stósunków genewskich wcale przyjemnych, po niewielu już dniach, owe przykre uczucia, jakich doznawał w pierwszéj chwili za przybyciem do tego miasta, ustąpiły miejsca usposobieniu nie tylko znośnemu, ale nawet bez porównania swobodniejszemu, aniżeli w Paryżu.

„Genewa jest niezmiernie drogą — pisał dnia 5 stycznia 1833 r, w dalszym ciągu listu, z któregośmy

dali ustępów kilka w poprzedzającym rozdziale — i wszyscy, nawet najbogatsi cudzoziemcy mieszkają w tak nazwanych pensyonatach. Pochodziwszy trochę, znalazłem bardzo piękny pensyon w wiejskim domu o kilkadziesiąt kroków od miasta położonym (aux Paquis Nr. 10 pod Genewą). Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków, bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme. Patteg. Jeżeli zobaczycie Grocholskiego lub Kosielskiego, powiédzcie im, że zaraz na wstępie zapytała mi się panna Patteg, czy ich znam; i odtąd ciągle mi o nich gada Oni kiedyś mieszkali u téj saméj pani, trzy razy przejeżdżając przez Genewę: ale wtenczas pensyon był w mieście, dziś zaś zmienił lokal i ukrywa się w ogrodzie między świerkami i sosnami.

„Muszę Wam opisać pensyon genewski. A naprzód dom, w którym się mieści, potém gospodarstwa moich portrety skreślę — potém opiszę mój pokój — a potém moich towarzyszy. Dom leży trochę za miastem, ale wyszedłszy z niego, w kwadrans można być na drugiéj stronie Genewy. Bo Genewa mniejsza jest prawie od Kamieńca, tylko domy są stare i wysokie. Możecie sobie wystawić, jak jest mała, kiedy pomimo największéj drogości mieszkań, liczy tylko 24.000 mieszkańców. Otóż dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie za miastem, wysoki na trzy piętra, szary z zielonymi okienicami. W ogrodzie najwięcéj jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów nie widać. — Pani Patteg — jest to stara kobieta, przyjemnéj twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zachorował, w jéj domu nie byłbym jak obcy.

Córka jéj, panna Eglantyna Patteg, wszystkiém w domu się trudni. Jest to panna mająca około lat 30 — ładną być dawniéj musiała — teraz pokazują się w niéj wady staréj panny. Z tém wszystkiém bardzo przyjemna w konwersacyi, i dobrze gada o swoich znajomych. Czule wspomina Grocholskiego i Kosielskiego, z uśmiechem mówi o Ilkiewiczu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakeśmy go widzieli — bo wystawiła mi go panna Patteg jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie. Przybywszy na pensyon, zastałem w nim rodzinę francuską — starego pana z żoną i synem, bo tu i kobiety mieszkają w pensyonach. Ci państwo wczoraj wyjechali — jeden mi tylko więc został towarzysz — jest to Francuz, ksiądz protestancki, z którym grywam w szachy wieczorami. Mała ta liczba pensyonaryuszów powiększa się nieskończenie w lecie. Wtenczas mnóstwo przyjeżdża Anglików, często ładne przybywają Angielki — a wtenczas pensyon staje się bardzo przyjemną wioską naszą. Wszyscy się bez przymusu schodzą w godziny uczt — bawią się — wieczorami pływają po jeziorze i późno przy księżycu wracają do domu. — Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski — z obiciem w kraty zielono-karmazynowe — biurko czeczotkowe — ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siędę, to mnie nie widać — i krzesła i stołek i piec okrągły — okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małymi szybami — a przed oknami świerki — sosnę — dąb stary — wiele krzewów — murawę teraz nawet zieloną — i kląb z róż. Okna moje są obrócone na wschód, będę więc miał w lecie słońce — i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał zapach róż — zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz Mamo, jak

mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mnie w około otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, abym odpoczął po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakobym był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie.

„W pensyonacie tym wstają wszyscy o 9 rano — o 10 schodzą się do wielkiéj sali na śniadanie, złożone z jajek miękko gotowanych, z mięsa na zimno, z kawy i herbaty. Ostatnie te dwa napitki przyprawiają tu doskonale — ale kawa w mieście jest niegodziwa. Potém rozchodzą się wszyscy. Ja idę najczęściéj do miasta, do salonu lektury — odwiedzam moich znajomych — i znów o 4 schodzimy się na obiad. Ile razy jem obiad smaczno zgotowany — dziękuję Bogu, żem się od paryskich traktyerów wyzwolił — i czuję, że mi to daleko lepiéj na zdrowiu. Po obiedzie często ktoś z dam genewskich do pani Patteg przychodzi z wizytą — i tak pozawczoraj wieczór przepędziłem na rozmowie z panną Liną, jest to ładna z czarnymi oczyma Szwajcarka — a we czwartek mam pójść do jéj rodziców na wieczór. O 9 godzinie pijemy herbatę — i potém przy kominku ciągnie się rozmowa, po któréj każdy do swego pokoju odchodzi“...

W ciągu następnych tygodni i miesięcy przywykał Słowacki coraz więcéj do miejsca swego nowego zamieszkania, i do ludzi, którzy go otaczali. Ujrzał się tu bez wszelkiego zachodu pośród nader ożywionych stósunków towarzyskich, na brak których często w Paryżu narzekał. Oto, co swoim Krzemieńczanom o tém wszystkiém opowiadał w liście z dnia 10 lutego 1833 roku:

„Co do mojego teraźniejszego położenia, bardzo miłe życie prowadzę. Mieszkam u ludzi, którzy kazali mi Mamie napisać, że mnie bardzo kochają i starają się tosamo dla mnie uczynić, co chcą aby dla ich oddalonego syna czyniono. Stara dama, pani Patteg, ciągle mnie się pyta o moje chęci — gusta; wszystkiemu chce dogodzić — nad zdrowiem mojém czuwa — słowem, mogę Wam zaręczyć, że bardzo godna i uczciwa osoba. Jéj córka, panna Eglantyna, bardzo mnie także lubi — stara się bawić — w kilku domach mnie zapoznała, a w domach tych przyjmują mnie ze znaczną atencyą i rozróżniają od innych. Winien jestem pannie Eglantynie, że wprowadzony zostałem na kasyno i bywam na niém często dosyć. Kasyna tutejsze są bardzo świetne. Szwajcarki, ładne blondynki jak śnieg, mieszają się w kołach walca z zamyślonymi Angielkami, których tu jest najwięcéj. Tańcują tylko kontredanse, walce i galopady. Zaproszony byłem także na kilka balów, przez nieznajome dawanych osoby — dziwny to wcale zwyczaj! Byłem na jednym z nich i z trudnością wyśledziłem przeczuciem prawie gospodynią, któréj się trzeba było ukłonić. Na takich balach tańcują mazura, i to mi największą sprawia przyjemność. Najprzyjemniejsza jednak część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi — z rana po śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj w lutym chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł — niebo błękitne — na horyzoncie wysoko wznosi się Mont-blanc śnieżny — lekko jak chmura skreślony — czasem wiankiem białéj chmury okryty. Wyrysuję Wam kiedyś i przyślę widok domu, w którym

mieszkam, wzięty z ogrodu. — Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne przypadki mojego życia i zbieramy fijołki, które się już pokazują. Kilka dni temu pani Patteg umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła — kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo jak mogłem, nauczyłem mazura — z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur — i bardzo były panny kontente. Potém ustawiłem wszystkie do angleza, i znów im różne nasze figle pokazywałem. Wkręciłem wszystkie w długiego gąsiora i tak się rozhasałem, żem im wszystkie tańce pokazał aż do kozaka. W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek, wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napełniały puste serce"...

„Miałem jeszcze jednę wielką przyjemność. Jednego wieczora przyszła do nas pani Morin. Jest to żona jednego z pierwszych doktorów — bywam u nich — ona sama Włoszka — trochę sawantka, ale w miarę — ma ładną córkę, która się nazywa Lina — i sama śpiewa prześlicznie metodą włoską. Otóż pani Morin przyszła do nas wieczorem i wśród konwersacyi powiedziała mi z uśmiechem: „Młody N. N. mówił mi dziś, że w jednym z dzienników francuskich czytał długi i pochwalny artykuł o poezyach Juliusza Słowackiego. Czy Pan znasz tego poetę?" — Udałem, że mnie ten artykuł mało obchodzi; ale nazajutrz z bijącém sercem pobiegłem do Société de lecture, gdzie znajdują się wszystkie dzienniki, i wynalazłem krytykę moich poezyi w Revue Européenne.*) Bardzo pochlebnie

*) Nadmieniłem już wyżéj, że ten artykuł wyszedł potém i w osobnéj broszurce, wydanéj r. 1833 w Paryżu p. t. *Notice sur les poésies de Jules Słowacki*, podpisanéj przez p. Lemaitre.

mówią: zaczynają od wyjścia na świat Bogarodzicy — dają tłómaczenie tego hymnu — potém mówią o Żmii z pochwałami — potém przytoczony jest w tłómaczeniu wyjątek wiersza do Skibickiego — rozbiór dość obszerny tragedyi, z cytatami — pochwała śmierci błazna i charakteru jego w Maryi Stuart. Nakoniec tłómaczenie całego Araba, wcale niezłe. Jest wszędzie trochę ocukrowanéj krytyki — ale jest i to, że mam lat 22 i że rzuciłem podstawy wielkiéj literackiéj sławy. — Widziałem potém w Société de lecture czytających artykuł o mnie — widziałem, jak jeden dobywszy pugilaresu, imię moje zapisywał, nie wiedząc, że tak blisko niego stałem — a to mnie nadzwyczaj bawiło. Wczoraj znalazłem w gabinecie czytających samego poważnego pana Morin, który zapewne przez żonę wysłany, nad rozbiorem moich poezyi siedział. Wszystkie damy moje znajome starają się, aby tego żurnalu dostać — i wiedzieć, co ja za jeden."

„Właśnie rok temu, jak drukowałem w Paryżu poezye. Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu — zupełnie inne obrazy i bardzo odcieniami wydatne zostawił w mojéj pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie, i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy; bo dom, w którym mieszkam, latem napełnia się mnóstwem wojażerów. Bardzo to będzie korzystnie dla mnie, że nie wychodząc z domu, będę się w różnych towarzystwach ocierał. Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mnie w salonie w dobrém świetle wystawia. Pomaga mi w tém rodzaj małéj sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniéj ludzi dobrze o mnie uprzedza i często tłómaczy milczenie moje, które zgubiłoby w opinii innych. I sam nie czując się w potrzebie

ciągłego gadania, gadam więcéj, bo nie doświadczam żadnego przymusu."

O samém mieście Genewie takich udzielał spostrzeżeń:

„Teatr tutejszy jest szkaradny, albowiem wielu jest metodystów w arystokracyi, którzy teatr za zakazaną i zgubną uważają zabawę. Obyczaje genewskie zadziwiają. Nigdzie nie ma mniéj intryg — ale wiele jest plotek, jak zwyczajnie w małém mieście. Zwyczaj tu jest, że panny same chodzą po ulicach; zwyczaj także, że przed pobraniem się młodzi ludzie kochają się po lat 10. Słowem, wiek tu złoty trwa dotąd, i z tego względu miasto dziwną ma postać moralną. Arystokracya tutejsza złożona z kupców i zegarmistrzów — nudna bardzo i płaska. Oto macie w kilku słowach rys Genewy." (List z d. 10 lutego 1833 r., z Genewy).

Lubo oddalony znaczną przestrzenią od miejsca dawniejszego swego pobytu, wiedział Juliusz jednak, co się dzieje w Paryżu, odbierając mnóstwo listów od znajomych tamtejszych; i porównywując stan rzeczy tam, a około siebie, powtarzał bardzo często: „lepiéj mi jest w Genewie, niż w Paryżu"...

W listach paryskich donoszono mu nieraz o osobach, które go szczególnie interesowały, o Zienkowiczu, o pannie Korze, o Mickiewiczu i t. d. Wiadomości o Zienkowiczu były coraz smutniejsze, wreszcie przysłano mu wiadomość o jego zgonie.

„Pisałem Wam o moim wyjeździe — o moim chorym przyjacielu... Okropną otrzymałem wiadomość —

w kilka dni po moim wyjeździe mocno zasłabł — był bez nadziei — siedział nieruchomy na łóżku i ciągle powtarzał: „nie ma Julka“ — a wymawiając te słowa płakał. Kilku znajomych ciągle go pilnowało — kilkoma dniami przed śmiercią odebrał mój list — a list był wesoły, szalony prawie, bo nie wiedziałem. że się tak źle miał. Czytano mu ten list — płakał. Dnia 18 w nocy o 10 godzinie wszyscy go opuścili i został tylko służący. W pół godziny potém chory otworzył oczy — westchnął trzy razy i skonał. Pochowano go na cmentarzu père la Chaise, gdzie tyle razy całe ranki przepędzałem... Matko moja, pomódl się za tego, który kochał do śmierci Twojego syna i któremu Twój syn nic w zamian nie dał, tylko łzę po śmierci.“ (Z Genewy d. 10 lutego 1833 r.).

O pannie Korze pisano mu z Paryża, że go zawsze wspomina, — rumieniąc się, kiedy go kto inny wspomina. — „Druk mego Lambra — mówił z tego powodu Juliusz do matki w tym samym liście — przypomni jéj, jak niegdyś drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny. Będzie jéj trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszéj cichéj miłości stanie jéj przed oczyma“...

To jest ostatnia wzmianka o pannie Pinard w korespondencyi Juliusza.

Nie długo potém, w początkach marca (1833), zaczął się rzeczywiście druk tomu IIIgo Poezyi. Korektę mu tu arkuszami z Paryża przysyłano. W maju było już dzieło gotowe i w rękach publiczności. Są zamieszczone w tym tomie: poemat w dwóch pieśniach p. t. Lambro, i następujące

krótsze utwory: Hymn do Bogarodzicy — Kulik — Pieśń legionu litewskiego (te trzy rzeczy ogłoszone już były podczas listopadowego powstania w Warszawie) — Duma o Wacławie Rzewuskim — Paryż — i Godzina Myśli.

„Dla tego jednego poematu — pisał autor o Godzinie Myśli do matki — chciałbym, abyście tom III czytali kiedyś. Jest to poemat serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki! Śmiej się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzéć nie może“... (Z listu z d. 15 marca 1833 r.).

Na czele tego tomu Poezyi położył autor Przedmowę, w któréj się skarży na obojętność, z jaką przyjęto dawniejsze jego publikacye. Między innymi rzeczami są w niéj i następujące ustępy:

„Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszéj, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poecie. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest, znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiéj — szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianéj wierzył. Dziś dziennikarze owi, tworzyciele literackich królów, milczą...

. . . „Szanuję szkołę religijną, owę wieczerzę pańską polskich poetów, do któréj zasiedli w Paryżu: — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchniętą słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiéj religii źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów, nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku itd.“

Z powodu onéj przedmowy pisał później — po wyjściu już dzieła — do matki, jak następuje:

. . . „Od dni 20 wyszedł na świat tom IIIci moich poezyi... Przedmowa krótka i gryząca trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jedném z małych pisemek, *) ale dosyć niezgrabnie. Polakom tu mieszkającym podobał się ten tom bardzo — ale nie wiem, jak u Was sądzić będą ludzie. O ten tom bardziéj jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeżeli o tém co usłyszycie. Jeżeli tak daléj płodną będzie moja imaginacya, jeżeli co roku zacznę tomy nowe drukować, to wkrótce w Waszéj małéj szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jednę policę — a po mojéj śmierci ten, co mię poznać zechce, będzie musiał miesiąc cały ze mną obcować. Takie są teraz sny moje“... (Z listu pisanego w czerwcu 1833 r).

Cały zajęty planami coraz nowych utworów, czuł na wygnaniu swojém dotkliwie brak sposo-

*) Że bez żadnéj podstawy Mickiewicz jest tu wmieszany w rzecz i że raczéj o Jańskim należało tu mówić naszemu poecie: o tém już nadmieniło się wyżéj. Ale i Jański bynajmniéj nie miał ani powodu ani zamiaru mszczenia się na nim.

bności zasilania się ożywczém źródłem literatury ojczystéj, zwłaszcza dawniejszéj. Dzieła Kochanowskich, o które w Paryżu jeszcze prosił, nie nadchodziły. Nie ma prawie listu, w którymby o nich nalegliwie nie przypominał. Oprócz tych dwóch Zygmuntowczyków, żądał jeszcze i Obrazu wieku panowania Zygmunta III przez Siarczyńskiego.

„To dzieło wielkim byłoby dla mnie skarbem! Ta mała biblioteka polska wiecznie mi będzie towarzyszyć, i będę bogatszym od wszystkich moich kolegów. Co Ci tylko Mamo wpadnie w ręce ze starych kronik, które się czasem po rękach Żydów walają, to mi przyślij"... (List z d. 15 marca 1833 r.).

Wśród tych rozmyślań o swojéj przyszłéj sławie i o drogach, któreby go do niéj zawiodły, wśród pracy nad pierwszymi scenami nowego dzieła (Kordyana?), któréj zwykle ranki poświęcał, nie stronił w owych czasach Juliusz i od zabaw towarzyskich. A było do nich wiele sposobności w domu pani Patteg. Dawano amatorskie przedstawienia komedyi — tańczono na wieczorkach wiele.

„Czy wierzycie — pisał w tymże liście do krewnych — że ja tu pierwszy animuję towarzystwo? Kiedy tańczę, młodzież ściga mnie oczyma i zgodnie mi pierwszego miejsca ustępuje. Na ostatnim wieczorze zdziwiłem ją walcem tańcowanym tak, jak u nas tańcuje wojsko, to jest uderzając ostrogami. Ja zaczynam mazura, ja prowadzę kotyliona i pokazuję nowe figury, jakoto: z szalem, z czterema królami kartowymi itp. Często gram do tańca na fortepianie — i potém pann

Patteg opowiada mi, co o mnie damy gadają — i bardzo pochlebne rzeczy słyszę, o czém Wy z trudnością wierzyć możecie. Widzieliście mnie bowiem dzieckiem nudném, teraz zaś umiem czasem grać rolę wesołego chłopca, i tylko domowi widzą mnie smutnym i posępnym. Nie odraża ich to jednak odemnie, bo moje położenie oddalone od Was i od kraju usprawiedliwia tygodniowe spliny"...

Kiedy nie było tańców, siadano do zielonego stolika i bawiono się grą w karty.

„Wiecie jak najczęściéj przepędzam wieczory? Oto przychodzi do nas stara dama, zupełnie do pani Lebrun podobna, z żywszą trochę imaginacyą. Otóż ta dama — pani Patteg — ja — i minister protestancki, który u nas mieszka, zasiadamy do bostona. Gram doskonale w bostona — i nieraz staje mi w myśli moje dzieciństwo. Bo pamiętam, jak niegdyś jako dziecko leżąc na sofie w Mianowskiego jeszcze mieszkaniu, widziałem mego ojca, Rustema, Bogatkę przy zielonym stoliku, i mówiono mi, że grają w bostona — że do Słowackiego przyszli na bostona.*) Gra ta nie jest tak nudną, jak mi ją wystawiano — owszem, daleko łatwiejsza od wista i ma tysiąc rozmaitości"...

Przy takiém zachowywaniu się, przy takiéj łatwości w potocznem towarzyskiém pożyciu — nie dziw, że Słowackiego w cichym domku owym na przedmieściu Genewy wszyscy lubili. A szczególniéj zdaje się, że go lubiła coraz więcéj panna Eglantyna Patteg.

*) Mianowski i Rustem byli koledzy starego Słowackiego, profesorowie wileńscy.

„Dobrze z nią żyjemy (pisał w liście z dnia 15 marca) — zwierza mi się ze wszystkiego i mówi, że żadnéj ze swych przyjaciółek tegoby, co mnie, nie wyspowiadała“...

W miesiąc późniéj uskarżał się gorzko poeta, że mu matka pozwoliła tak długo czekać na swój odpis.

„Dwa miesiące, a raczéj cały miesiąc drugi tortury moralne wycierpiałem. Co dnia czekałem posłańca z poczty od godziny 11 do 2, a od drugiéj godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mnie porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znowu o godzinach nadchodzącéj poczty, i tak było przez cały miesiąc... Kochana Eglantyna cieszyła mię, jak mogła. Często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając pocztmistrza... Często widząc go mijającego dom, biegła za nim lękając się, aby nie zapomniał był wstąpić. Nie uwierzysz Mamo, jakito jest mój stróż anioł ta Eglantyna. Ale teraz nie ma jéj tutaj, wyjechała do staréj i choréj ciotki w Lionie i dopiero za dni czternaście wróci“... (D. 24 kwietnia 1833 r.).

Przez te dni czternaście starała się sama pani Patteg, matka Eglantyny, rozweselać rozmową smutnego swego lokatora. Ale jéj wysilenia, ażeby go rozerwać, nudziły Juliusza. Natomiast była inna osoba, która lepiéj znała tajemnicę, jak mu skrócić chwile przemijające zanadto zwolna. Było jéj imię E l i z a. Oto, co o niéj pisał d. 26 kwietnia:

„Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przyznam się Tobie Mamo, dla widzenia jednéj miłéj

osôbki, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności — gdybym sobie mógł każdéj chwili powiedzieć: jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę, wtenczas obecne życie wydałoby mi się bardzo przyjemne. Panny nie opuszczają mię. Dawniéj Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie — dziś, gdy jéj nie ma, stokroć ładniejsza od niéj panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż nas odwiedza?... zapewne nie dla widzenia staréj pani Patteg... A zresztą, sądź sobie Mamo, jak chcesz, — ale prawdziwie zdaje mi się, że glina, z któréj mię Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien... Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jest to osóbka mała, bardzo podobna do Kazimiry Niepokojczyckiéj — ma czarne oczy pełne iskier, wiele dowcipu i miłości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24 (więc właśnie tyle, co i nasz poeta liczył ich sobie natenczas. Eglantyna miała niestety lat wtedy już około 30). Dawniéj bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach. wtenczas podobała mi się bardzo — i ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła; a dlatego ją ubierałem, że podobał mi się jéj kapelusz... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnéj lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się c a l è c h e, kocze... i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, choć do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżéj róży rozkwitłéj na oknie gotyckiém; więc dlatego ubierałem ją,

gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jéj jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jéj matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią... dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściéj z córką przepędza wieczory — u starych — u chorych. Eliza musiała się nauczyć bostona — aby grać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dlatego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jéj dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niéj; więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów, wróciwszy do domu, ułożyłem je naśladując Twój gust Mamo w układaniu bukietów, a potém w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe — i w środek ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie — ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się, przypomnienie się było skuteczném — przyszła z mamą wieczorem — i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, które jéj nieprzychylny dały wyrok. Widzisz Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niéj słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jéj nie chcę zapytać, czy mnie kocha; bo mówiła mi, że była smutną przez 4 dni, a ja nie pytałem, dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała; „Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10 i czytałam.“ — „Jaką książkę?“ zapytałem. — „Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę“... i mówiła daléj: „Dziś rano obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam,

że dzień ten będzie szczęśliwy.“ — W tym dniu odebrała bukiet — i chodziliśmy po ogrodzie. Dobra dziewczynka! Nie wiem, czy Ciebie takie detale interesują; ale te detale są całą rozmaitością mego życia; bardziéj mnie zajmują, niż mój tom IIIci, który za 8 dni wyjdzie z druku“...

Było to słowo, którego zaledwo się spodziewać było można z ust Słowackiego, tyle zawsze zajętego swoimi pracami poetyckimi. To też matka to przeczytawszy, pewnie co więcéj tam sobie pomyślała o Elizie, jak tylko: „dobra dziewczynka!“

A trzeba właśnie było, że mu w dniach owych pisała, czyby nie było dobrze, gdyby sobie którą z tych panien, z którymi miał tyle sposobności przestawać, upatrzył na towarzyszkę życia i złagodził choć takim związkiem cierpkość samotności tułacza? Tak praktyczne widoki nie przypadały jednak do myśli poetyzującego młodzieńca.

„Ty mi Matko piszesz o ożenieniu? — odrzekł jéj na to w tym samym liście, gdzie właśnie tyle o Elizie donosił. — Nie chciałbym niszczyć Twoich marzeń — a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojéj żonie ciężarem być nie myślę. Dosyć, że nim jestem dla Ciebie...

„Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małym talentem utrzymują całe rodziny — zasłaniają je od niedostatku; a ja jestem jak niepotrzebne ziele! Jestem nawet ciężarem dla Ciebie Mamo moja!... Przebacz mi, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę...

„Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, żeby Bóg Ciebie nie nagrodził za to, że Ci dał takiego syna! Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w Revue Européenne, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach nareszcie napisała: heureuse votre mère! Ona także jest matką. Więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że Ty jesteś nieszczęśliwą przezemnie"...

Wracając do projektów, jakie sobie matka układała, do projektów ożenienia Juliusza, te już dlatego były więcéj niż trudne do doprowadzenia do skutku, ponieważ uczucia jego choćby obudzone w sposób wiele obiecujący, zbyt rychło zawsze urywały się jakoś.

O Elizie naprzykład nie ma już ani jednéj wzmianki w dalszéj korespondencyi!

Byłoż rzeczywiście prawdą to, co pisał niedawno przedtém o sobie:

„O kochani moi! smutno mi, smutno czasem — i często — bo się już przerabiam na obywatela świata! Już się ani do miejsc, ani do osób, z którymi żyję, nie przywięzuję tak silnie, jak w dzieciństwie — i to jest jedną z wad, jakiéj nabywa serce tułacza" . . . (D. 30 grudnia 1832 r.).

. . . „Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci — kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którém wyrósł!"... (Z listu z d. 22 września 1833 r.).

Byłoż, powtarzam, w saméj rzeczy to tułacze jego życie przyczyną, że się serdecznie nie był

zdolny do nikogo przywiązać? Czy też może przeszkadzał temu ów obraz w pamięci jego niezatarcie wyryty... obraz, który mimo wszelkiéj dumy i na przekorę najsilniejszym postanowieniom, ażeby zapomnieć o nim, ciągle mu się odnawiał przed oczyma?

„Kochana Mamo (pisał w czerwcu 1833 roku), czy Ludwisia Ś. wyjeżdża do Odesy? Spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swojém pamięta.*) Spodziewam się, że mój tom IIIci pogodzi ją trochę ze mną“...

Pośród zajęć, rozrywek i melancholijnych rozpamiętywań, któreśmy opisali powyżéj, minęła tedy poecie naszemu pierwsza zima w Szwajcaryi i nadeszły upragnione miesiące wiosny. Zakwitły wonne bzy w ogrodzie Eglantyny — w parę tygodni późniéj horyzont domku jej matki zamknięty drzewami okrył się tysiącem róż — nadeszło lato. Z początkiem każdego lata pensyonat pani Patteg zwykł był napełniać się mnóstwem różnych podróżnych. Przygotowany na to Słowacki, cieszył się już naprzód owéj rozmaitości, jaką to w dom wprowadzi. Posłuchajmyż opowiadań jego, rozrzuconych po całéj korespondencyi owego roku, o współmieszkańcach, których miał w ciągu lata 1833:

„W domie, w którym mieszkam, mijają się różne cienie, jak w czarnoksięskiéj latarni. Najprzód z jaskółkami przyleciał pewien Anglo-Szkot — niezmiernie cichy i nabożny — młody i dziecinny... Kupił zaraz siatkę

*) Prosił ją z Paryża jeszcze Juliusz o przysłanie sobie portretu, który mu też ona nadesłać obiecała, lecz późniéj.

na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowéj łące. Jak mi to boleśnie przypomniało moje dzieciństwo — Mickuny, Wilejkę — lasy sosnowe i jeszcze coś — To dziwnie, że już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lozanny"...

„Dom po odjeździe Anglika został pustym przez czas niejaki — wtém jednego poranku zwaliła się, jak lawina, ogromna familia rosyjska: pani Uwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia, — teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmiernie grzeczni dla siebie. Pani Uwaroff sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca — córka najstarsza dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jéj imaginacyi — została nieociosaną statuą. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści stósując się do jéj gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze 3 omyłki w aryi każdéj — nigdy mniéj, ani więcéj. W nótach ma mnóstwo polskich teraźniejszych śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójdą za powrotem. — Młodsza jéj siostra żywa i piękna, jeszcze dziecko. — Synek mały w czerwonéj huzarce haftowanéj złotem, bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciel syna karzeł lat ma 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniéj gniewliwym. — Przy dzieciach guwerner — ze wszystkiego do Szantyra mierzącego pola w Jaszunach podobny. — Przy pannach guwernantka, dwie panny służebne i służący. — Oto jest cała familia wojażerów — zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe 3 piętra domu rozlegają się od ich

krzyku; mówią różnymi językami i nieraz mi się zdaje, że jestem w Babilońskiéj wieży. — Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karła. Doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie — wyciągnął z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał łzy, które mu mimowolnie płynęły. Okropnie było myśleć, że on wracając do kraju, nie znajdzie osoby, któraby go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie siostra, która w Petersburgu lekcye na fortepianie daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za ręce. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia wstając z rana — i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i biorąc rękę moję w dwie swoje małe rączki, ściska z całéj siły"... (List z czerwca 1833 r.).

Familia ta rosyjska czas tylko krótki zabawiła w Genewie. Po ich odjeździe tyle jeszcze Słowacki donosił o nich matce:

... „Z obu stron między nami panowała taka delikatność, żeśmy sobie uczuć nie dali różnicy narodowéj. Zdaje mi się nawet, że te osoby mnie dosyć polubiły; bo po odjeździe w listach, pisanych do pani Patteg dały mi długie dowody pamięci, a panna Alexandra (starsza córka) odjeżdżając, zostawiła mi rysunek przez siebie zrobiony domu wiejskiego, w którym mieszkał niegdyś Byron"...

Kiedy jeszcze mieszkali ci Rosyanie w owym domku genewskim, urządzali różne wycieczki

w okolice. W wyprawach tych towarzyszył im czasem i Słowacki.

„Jeden z tych spacerów najprzyjemniejszy był na góry otaczające jednę stronę Genewy — góry, z których mniejsza równa Waszéj zamkowej górze... Damy jechały w dwóch powozach, ja zaś dostałem sobie dosyć niezłą szkapkę i tak przyjechaliśmy aż do stóp Salève. Tam wszyscy wsiedliśmy na osły, — moje zwierzątko największe i najmocniejsze prowadziło cały orszak, orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnymi kolorami sukien damskich. Na górze czekało nas wiejskie śniadanie — na długim stole z desek — pod gruszami i jabłoniami. Potém oczy nasze rzuciliśmy na ogromną dolinę, w któréj płynie kręty Rodan — jezioro — w końcu jeziora najeżona dachami Genewa i kilkanaście innych miasteczek — łąki — drzewa — słowem widok ogromny — rozległy — prawdziwie prześliczny! Po górach snuło się mnóstwo dzieci, ubranych fantastycznie w pióra, z chorągiewkami i muzyką. Były to dzieci Szwajcarów, bawiące się w Niedzielę, jak przystoi na potomków Tella. Uformowani w dwa oddziały, snuli się po wąwozach, strzelali z pistoletów — podobni niegdyś do Julka Achillesa w zbroi... Kilka razy pływaliśmy w czołnach na jeziorze. Majtek, który nas woził, był niegdyś przewoźnikiem Byrona, i dlatego często z nim wchodzę w rozmowę. Stary wioślarz dotąd o niczém nie gada, tylko o angielskim poecie — zdaje mu się, że jakaś część sławy przy nim została, przy długiém obcowaniu z lordem... Między innymi szczegółami opowiada, jak raz z Byronem poszli w zakład o lujdora, kto z nich prędzéj na drugi brzeg jeziora dopłynie. „Nie dziw, że mię lord wyprzedził, po-

wiada Maurycy (tak się nazywa majtek), albowiem za Byronem płynęło czołno i służący leżącemu na wznak Anglikowi lał do gardła dobre wino, co nie mało w pływaniu dopomagało.“ Powiada daléj, że przegrawszy zakład, oddał Byronowi lujdora, który się długo wzbraniał, ale nareszcie przyjąć musiał. Dodaje wszelako Maurycy, że Byron chociaż dobrze trzymał się w wodzie, nie wiele robił drogi, bo miał koszlawą nogę, nie większą od jego dłoni. Bardzo czasem wielką przyjemność znajduję w rozmowach majtka, — i patrzę na wielkich ludzi z téj saméj strony, z jakiéj się na nich lud zapatruje.

„Patrząc co dnia na szczyt góry Mont-Blanc, przychodzi mi często na myśl Malczeski, który po śmierci jednym poematem tak wzrósł, że nawet głową przewyższa naszych poetów. Przebiegając opisanie wejścia na górę Mont-Blanc, znalazłem na ostatniéj karcie między wyliczonymi bohaterami tego trudnego przedsięwzięcia imię Malczeskiego, ale skaleczone tak, że gdybym skądinąd o jego wędrówce na tę górę nie wiedział, tobym się był o tożsamości osoby nie domyślił. Nie wiem, dlaczego — ale myśl o Malczeskim została głęboko w moich dumaniach utkwiona; zdaje mi się, że jest coś podobieństwa między nami, — ale burza jeszcze mię nie złamała. Wiesz Matko, że teraz jedyną modlitwą moją jest prośba, aby mi Bóg pięknie i szlachetnie dał umrzéć; bo kiedy pomyślę, że wędrówka moja może być długą — że przyjdzie na mnie nędza — że mnie duma moja zabije: to prawdziwie, że mię okropność takiego losu przeraża“... (Z listu z d. 15 lipca 1833 r.).

W chwili, kiedy to pisał, już familii Uwaroff w domu pani Patteg nie było. Zmieniły się dekoracye w następujących miesiącach, a raczéj wystąpiły na scenę inne osoby, grające jak się wyraża poeta, razem z nim tragi-komedyą życia.

Najprzód przybyła po nich znowuż rodzina Rosyan i na długo w miejscu osiadła.

Była to, jak u nas nazywają, poczciwa szlachta.

„Wdowa Potopof, ładna jeszcze kobieta, choć ma w Rosyi córkę dorosłą — bardzo dobrego serca, łagodna jak anioł i prosto-duszna. Kuzynka jéj, panna Aneta, zupełnie ze wzrostu i twarzy do Maryi Kukulnikówny podobna — także bardzo dobra i prosta. Kuzyn obu tych dam, pan Szaszin — brzydki z twarzy — ale szczery i otwarty — nie mówi po francusku, tylko po rosyjsku. Z tymi osobami jestem jak można najlepiéj. Kuzynowi gadam, co mi przez głowę przejdzie — z panią Potopof także często po rosyjsku rozprawiam. — Obok mego pokoju ma mieszkanie la Comtesse Seidwitz, lat 65 — z wszelką grzecznością dla dam to piszę, — trochę uróżowana — co dnia w innéj sukni — wygorsowana — krzyż dworu wiedeńskiego zawieszony na ogromnéj kokardzie nosi przy boku, — za nią zawsze lokaj Niemiec z dwoma poduszkami, które kładzie gdziekolwiek baba usiąść zamierza. Z tém wszystkiém jest to bardzo dobra osoba — wesoła — przyuczona u dworu do grzeczności — każdemu ma coś powiedzieć; bardzo lubi kalambury — wozi ze sobą papugę, która kilka słów z okna krzyczy, — a oprócz służącego ma służącą Niemkę, którą sama pilnuje i na klucz zamyka przed wielkimi

pokusami — a tak zamknięta panna oknem cały dzień wygląda — i cały dzień śpiewa nieuczonym lecz łagodnym głosem, z akompaniamentem gitary. Biedna dziewczyna, prawdziwie jak papuga wygląda! Ta pani la Comtesse siedzi przy mnie u stołu, ciągle mam z nią konwersacyą, ciągle wyciąga szklankę, do któréj wina nalewam, a baba cukru nasypuje, a ja znów trochę wody dolewam — i jestem podobnym do Ganimeda. — Z drugiéj strony mego pokoju mieszka Anglik — oryginał — łysy, z ogromnym nosem, trochę głuchy, ograniczony i całą sławę swoję ufundował na dobrém graniu w wista, i choć tu po 5 sous punkt gramy, on jakby o wielkie sumy chodziło, łaje, jeżeli który z grających słowo przemówi. Wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku ubrany. — Oto są osoby, które ze mną zajmują pierwsze piętro domu. Dół jest zajęty salonami i pokojem jadalnym: na drugiém piętrze mieszkają gospodynie — dwie Angielki, matka z córką. Córka trochę do Julki Michalskiéj podobna — naiwna, żywa jak dziecko: matka ładna jeszcze, tak że za siostrę córki mogłaby uchodzić. Przyjechały ładną karetą, z dwoma służącymi, widać że bogate — nazywają się Donnelan — jadą na zimę do Włoch. — Nakoniec mieszka z nami Anglik Hamilton, ładny chłopiec, wysoki, zawsze pięknie ubrany, mało mówiący z powagą i przymusem — oto jest nasze towarzystwo.“ (Z listu z d 23 sierpnia 1833 r.)

Nie było to jednak jeszcze całe towarzystwo Juliusza. Przybyła bowiem później nieco jeszcze jedna para do domu pani Patteg — jakiś pan Wolf z żoną, duchowny anglikański, wysłany z Anglii, ażeby ludzi na metodystów nawracał.

Ten dowiedziawszy się, że Słowacki jest autorem, przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbywał, a do niego się przyczepiał; postanowił sobie bowiem wykierować koniecznie i jego także na metodystę protestanckiego.

„O gdybyście widzieli — pisał o nim w liście z d. 22 września 1833 r. — jego tłustą, okrągłą postać — przy chudéj żonie — jego uśmiech jezuicki... Gdybyście widzieli, jak przy stole z jezuicką miną spożywa pokarmy; śmialibyście się, jak ci się śmieją, którzy z boku na nas patrzą"...

Z tém później głównie z Anglików złożoném towarzystwem odbywał Juliusz także niekiedy wspólne wycieczki w dalsze okolice Genewy. Jednę z nich szczegółowo opisał.

„Przepłynęliśmy jezioro i na drugiéj stronie widzieliśmy dom, w którym mieszkał niegdyś Byron bawiąc w Genewie. Dom ten teraz zamieszkały przez kogo innego, oddalony o 3 wiorsty od miasta — dom mały, murowany i wcale pospolity. Nie wchodziliśmy do środka — dziedziniec nadzwyczaj smutny, otoczony stajniami — z drugiéj strony ogród na schodzącéj do jeziora płaszczyźnie. Wioska, w któréj mieszkał, nazywa się Cologny.*) Wracaliśmy po jeziorze przy świetle księżyca. Nie możecie sobie wystawić, co za

*) Pobyt Byrona w tych miejscach nie był długi. Mieszkał on tu tylko w ciągu lata 1816, porzuciwszy Anglią i co tylko rozwiódłszy się z żoną. Następnie, w końcu roku tego, przeniósł się do Włoch. W tymto domku powstał więc Sen — Więzień Chillonu — IIIcia pieśń Childe Harolda i pierwsze pomysły Manfreda.

przepyszne jezioro przy księżycu... z jednéj i z drugiéj strony błękitniejące brzegi mgliste — a w końcu jeziora migające światła i rzędy oświeconych okien — to Genewa! Z czwartéj strony brzegów nie widać przy świetle księżyca. — Taki spacer byłby zachwycającym z miłymi osobami. Ale Wy sobie nie możecie wystawić, co to są Anglicy i Angielki! Jest trzech Anglików w naszym domu — żaden z nich nawet jednéj myśli swojéj w głowie nie ma. Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem — wcale nie sentymentalne — i nigdy jeszcze z Anglikami nie było w naszym domu interesującéj rozmowy"...

Tak mówił o tém w liście z dnia 22 września. A w miesiąc późniéj, kiedy już wszystko w różne strony porozjeżdżało się z owego ustronnego zacisza na przedmieściu Genewy, znalazło się w jego doniesieniach jednak wspomnienie zupełnie innym tonem wypowiedziane o jednéj z osób należących do narodu, który tak niekorzystnie wtedy osądzał.

„Pusty dom nasz — a dla mnie pustynią się zdaje od czasu wyjazdu młodéj Angielki, która tu mieszkała, przez drzwi tylko oddalona odemnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwnie, jak wiele dotąd we mnie dziecinnego, a czasem jak wiele we mnie splinu"... (D. 27 października 1833 r.).

W ciągu jeszcze pełnego lata, w miesiącu sierpniu, kiedy całe towarzystwo owo ożywiało jeszcze dom pani Patteg, miał Słowacki przyjemną scenę, którą opowiadał matce ze wszystkimi szczegółami. Wizytator szkółek miejscowych uprosił gospodynią domu, ażeby mu pozwoliła ogrodu swego na wyprawienie dzieciom festynu.

„Porobiono więc w ogrodzie wielkie przygotowania; jakoto zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszone były cacka dla dzieci — pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki — pozastawiano stoły; i do tak urządzonego ogrodu o godzinie pierwszéj weszły dzieci ordynkiem z bębnami wojskowymi na czele i niosąc mnóstwo chorągiewek. Nie uwierzysz Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci ładnie ubranych, ubogich, bogatych — z jaką wesołością wchodzili do ogrodu, jak mrówki rozsypali się po trawie, potém znów około chorągiewek zasiedli. Pani Potopof, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając czy którego podobnego nie znajdzie — i łzy miała w oczach. Ja także — nie wiem dlaczego, oczy miałem łez pełne i coś mię dusiło w gardle. Prawdziwie że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzéj płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mię burza tak gwałtownie od wieku dziecinnego oddzieliła... Podczas gier — cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypomniałem sobie Czackiego — przypomniałem sobie własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na examinach — i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-letniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas; wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojéj ojczyzny — zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój, prosząc ażeby sobie kiedyś będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiecie, że podczas téj sceny wielu przytomnych łzy miało w oczach. Mały chłopczyk ściskał mię za rękę i nie znalazł słowa na ustach. —

Eglantyna mi potém mówiła, że chciałaby mię w téj chwili uściskać. — Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że Tybyś była ze mnie kontenta“... (Z listu z d. 23 sierpnia 1833 r.).

Podobnie rzewnych, ale i miłych zarazem uczuć doznał Słowacki w tymże samym miesiącu przy innéj jeszcze sposobności. Były to jego urodziny — dzień sierpnia 23ci: w dniu owym rozpoczynał 25ty rok życia. W wilią dnia tego doręczono mu list z Krzemieńca, „który choć smutny, był mu najmilszém wiązaniem“. Nazajutrz po odebraniu listu, w sam dzień urodzin, obudził się o godzinie 7méj i spostrzegł rękę, która naprzód odchyliwszy firanki, rzuciła na jego łóżko bukiet kwiatów. Zapewne bukiet ten będzie od Eglantyny, pomyślał sobie.

„Przebudzony tak mile, nie mogłem i nie chciałem spać dłużéj, choć zazwyczaj do 10, to jest do śniadania łóżko zalegam; ale pomyślałem sobie, że miléj mi będzie, pierwsze dwie godziny tego dnia Tobie Mamo poświęcić — i oto piszę do Ciebie“...

Kiedy tak pisał, bukiet dany mu na wiązanie stał przed nim — w głębi jednéj róży w bukiecie spał sobie spokojnie zielony żuk. „Zdaje mi się — są słowa Juliusza — że on ma teraz los podobny do mnie — który spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu“... Potém zszedł na śniadanie i zastał pannę Eglantynę samę, która go zniewoliła, aby przyjął od niéj złotą obrączkę.

„Obrączka ta otwiera się — i we środku napis: 23 Aout 1833. — To dziwnie, że tak pamiętała o

dniu moich urodzin, o którym kiedyś w zimie jeszcze mówiłem — a tego miesiąca zapytywany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę, z pierścionkiem niegdyś od babuni darowanym, na jednym palcu noszę“...

W dalszym opisie donosi o powinszowaniach ze strony niektórych Polaków w Genewie bawiących, o obiedzie, na którym pito jego i matki jego zdrowie, i o wieczorku, na którym tańcowano do 11 w nocy.

Zwróćmy teraz uwagę naszę na autorską czynność poety — na tle towarzyskich stósunków, któreśmy właśnie poznali. Zajmowały fantazyą jego przez ciąg całego tego roku pierwsze pomysły do dzieła, którém, ile wnosić można, był wydany późniéj poemat pod tytułem K o r d y a n. Już w marcu (1833) donosił matce, że ranki poświęca pracy nad jakimś nowym utworem. W lipcu przypomniał o nim w sposób, że wątpić nie można, iż miał na myśli to właśnie dzieło. Za nadejściem jednak lata, przesuwające się przez dom, w którym mieszkał, coraz nowe osoby sprawiały mu tyle roztargnienia, że w tym wirze i zamęcie niepodobna mu było przedłużać pracy. Rzucił tedy pióro, z uśmiechem nieco szyderczym zwrócił oczy badawcze na oryginalne te typy, z którymi pod jednym dachem się mieścił — i doznając już to przyjemności w towarzystwie z tylu żywiołów różnych złożoném, już moralnego znużenia, bawił się — nudził — marzył — wygrywał na fortepianie — czytał bardzo wiele, ale nie pisał nic. W ogóle nie czuł w sobie

żadnego do poważnéj pracy przez całe te miesiące popędu.

„Napada mię czasami chęć czynniejszego życia — takimi słowy opisywał usposobienie swoje w korespondencyi z czerwca i lipca — marzę o różnych projektach; ale wszystko to napróżno... Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora — i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mię pszczoły Twojéj Mamo pasieki pokąsały. — Smutno mi, smutno!“...

Z nadchodzącą jesienią — i cisza w domu z powodu powoli rozjeżdżających się gości i wrodzona właściwość, że o téj porze właśnie zazwyczaj nawiedzała go jakaś konieczność poetyckiego tworzenia — wszystko to zaczęło się składać na to, że owe pierwsze zarysy dzieła, jeszcze na wiosnę rzucone, nabierały w jego wyobraźni coraz więcéj ciała i kształtów.

„Téj zimy zamyślam pisać i pisać — mówił o sobie w liście z dnia 22 września — jestem jak góra w połogu. Prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak o pewnych epokach ożywia myślami — przepełnia — wylewa — i znów jestem jak Turek (przez pół roku), po wytrzeźwieniu się z opium, zupełnie zimny i prozaiczny“...

W październiku donosił:

„Anglicy i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napełniały — z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe. W towarzystwie samych tylko gospodyń domu możebym się

nudził szalenie, gdyby nie kraina marzeń i urojeń, która silniéj niż kiedykolwiek oddzieliła mię od świata. Piszę wielkie dzieło — napisałem już 1300 wierszy; ale to jest jeszcze niczém w porównaniu do całéj budowy"... (Z listu z d. 27 października 1833 r.).

W końcu listopada mógł już zdać sprawę z dalszego postępu pracy:

„Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem i w dni 20 napisałem 2200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie straconą dla dobra Ojczyzny mojéj. Przynajmniéj tak sobie powiadam i słodzę tém wszystko... Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki Ojca i Twoje kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemiany i znajduję, że Treny są niezrównanéj piękności. Uwagi Ojca mego po większéj części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczasowy klasyczny, a raczéj francuski trochę obłąkał. — W teraźniejszéj poezyi Brodziński się najwięcéj do Kochanowskiego zbliża — ale jest od niego niższy o trzy wieki. Oprócz tych dzieł nic więcéj teraz nie czytam, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się K o r d y a n. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem"... (Z listu z d. 30 listopada 1833 r.).

Z saméj skwapliwości przepisywania widać, ile zależało autorowi na jak najrychlejszém w świat wyprawieniu téj książki. Temu życzeniu stawały znowu w drodze zwykłe trudności z powodu

braku funduszów nakładowych. Za poprzednio wydane tomy koszta zwracały się zwolna, bardzo późno i jak to mówią, tylko kapaniną, a pewnéj części takowych nawet pozbawiała go nierzetelność osób do rozprzedaży użytych albo księgarzy, na których też często wyrzeka:

„Ci, którzy je wyprzedają, tacy są hołysze, że mi przychody moje kręcą — i długo zatajają. Słowem przekonywam się, że księgarze — jest to najgorsza klasa“... (List z d. 23 sierpnia 1833 r).

Dało się jednak jakoś wszystko załatwić. W miesiącu styczniu czy lutym następnego roku pojawił się w Paryżu poemat, bez żadnéj przedmowy i bez wyrażenia imienia autora, pod tytułem: Kordyan, Część pierwsza Trylogii — Spisek koronacyjny. Paryż 1834. 12° str. 159.

Autor dziełem tém zamierzał rzucić rękawicę Mickiewiczowi, pójść w zapasy ze sławą jego: dlatego też wydał je bezimiennie. „Będzie tak równiejsza walka z Adamem“, wyrzekł przy wiadoméj nam już sposobności do matki. Stawiał Kordyana wyżéj nad wszystkie swoje aż potąd ogłoszone utwory. Obiecywał mu wielkie powodzenie: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką“ — pisał mając przed sobą pierwsze arkusze druku do korekty sobie przysłane (d. 3 stycznia 1834 r.). I miał przekonanie, że „osądził to dzieło swoje po napisaniu obcego człowieka rozwagą“.

Nim się daléj zapuścim w rozpowiadanie o kolejach życia poety, zatrzymajmy się na tém

miejscu i pomówmy nieco o téj jego świeżo wydanéj publikacyi, jako też o utworach, które zapełniają wydany przed nią Tom III. Przedsięwzięliśmy sobie bowiem iść w ślady nie tylko za ruchem zdarzeń w życiu jego zewnętrznem, ale i dopatrywać rozwoju wewnętrznéj w nim siły, któréj miarą były dzieła z kolei wydawane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zdanie o poemacie Lambro. Czy narodowość poezyi na tém polega, ażeby obrabiać materye brane jedynie ze sfery własnéj? — Rozbiór Kordyana — kilka uwag o Dziadach Mickiewicza i o Garczyńskiego Wacławie.

W wydanym w roku 1833 tomie trzecim Poezyi zajmuje główne miejsce „powieść poetyczna“ w dwóch pieśniach, nazwana Lambro. Rzecz wzięta jest z historyi nowogreckiéj, z drugiéj połowy zeszłego wieku. Lambro był dowódcą Greków, którzy namówieni przez jedno z wielkich mocarstw północnych do zrobienia powstania, zostali następnie pozostawieni sobie samym i niesumiennie zdradzeni w chwili stanowczéj. Powstanie naturalnie upadło. Przypłacili je strumieniami krwi wytoczonéj najdzielniejsi synowie tego ujarzmionego narodu.

Podjąwszy jako przedmiot do dzieła zdarzenie wzięte z dziejów postronnych, poeta rozminął się z praktyką przestrzeganą i wtedy i dziś jeszcze w literaturze naszéj. To też w przedmowie usprawiedliwia to zboczenie swoje z drogi utartéj. — „Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wy-

padki są tylko szatą, ciałem, pod którém trzeba szukać duszy narodowéj lub duszy świata... Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czém być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczém"...

Powyższe zdanie Słowackiego o warunkach narodowości w poezyi nie przypadło do przekonania pisarzów zajmujących się w latach owych krytyką. Jeden z najdzielniejszych pomiędzy nimi, mający po sobie powagi tém więcéj jeszcze przez to, że był zarazem i sam znakomitym poetą — Goszczyński, zupełnie się inaczéj na rzecz tę zapatrywał. On żądał koniecznie, aby w poezyi polskiéj nawet przedmiot był swój i własny. To też mówiąc o Słowackim, pogardliwie prawie wyraził się o Lambrze: — „Nad dziełami obcéj osnowy, jak Lambro, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi." *)

Mnie się zdaje, że słuszność tak stanowczo jest po stronie Słowackiego, że nie ma nawet potrzeby tego dopiero dowodzić. Wprawdzie teorya Goszczyńskiego utrzymuje się dotychczas w praktyce. Zacieśniliśmy więcéj może, aniżeliby należało, horyzont poezyi naszéj. Przy obecnych stósunkach nie jest to wprawdzie bez pewnych ubocznych korzyści. Ale prędzéj czy późniéj przyjdzie chwila, gdzie się

*) Obacz bezimiennie ogłoszoną jego rozprawę „Nowa Epoka poezyi polskiéj" w Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności krakowskim, r. 1835.

to jednak będzie musiało zmienić. W każdym razie godzi się być mniemania, że użyźniłoby to niwę pięknéj literatury naszéj, gdybyśmy czasem pomnażali jéj plony zasobami czerpanymi z przeszłości przynajmniéj innych rodów słowiańskich. Może nas dzisiaj odstrasza od podobnych zetknięć pusta mara panslawizmu. Byłaby to bardzo nieuzasadniona obawa! Jeżeli już nie co innego, to ostatnie sceny Kordyana, o którym niebawem przyjdzie nam mówić, mogłyby stanąć za dowód, że bez narażenia się na niebezpieczeństwo obłędów panslawistycznych, można w tych dalszych światach słowiańskich znajdować nieraz przedmioty godne fantazyi Szekspira. Dzieje nasze są czyste, pod etycznym względem nieskończenie wyższe od przeszłości nie tylko innych słowiańskich plemion, ale i wielu dalszych europejskich społeczeństw: ale właśnie przeto ogólne ich znamię stanowi pewna że tak powiem, beznamiętność. To też rzadko kiedy udaje się na tém tle wznieść dzieło większych rozmiarów, któreby samą treścią doraźnie działało na wyobraźnię i tchnęło grą tych pasyi gwałtownych, bez których pewne rodzaje poezyi nie mogą się obejść.

Poddając to napomknięcie nawiasowe pod rozwagę szczególniéj naszych dramatycznych pisarzy, wracam do poematu, o którym mam zdanie moje powiedzieć. Podzielam najzupełniéj z Goszczyńskim wstręt, który go powstrzymywał od zapuszczania się w uwagi nad Lambrem. I ja nie mam zamiaru rozpoczynać szczegółowéj analizy tego utworu, któremu z mego stanowiska jednakże nie dla tego odmawiam wyższéj wartości, że to

„dzieło obcéj osnowy“, lecz że wykonanie i całe przeprowadzenie obranego przedmiotu uważam za chybione pod każdym względem.

Czego chciał Słowacki, zabierając się do téj pracy? — Powiada on w przedmowie o swoim bohaterze, że „jest to człowiek będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań“. — Obaczmy, czy to prawda.

Rozebrawszy rzecz z pięknych rymów, wierszy, obrazów i tym podobnych przyborów poetyckich, którym nic zarzucić nie można, bo pod tym względem wykonał autor dzieło z całym przepychem: ściągnijmy osnowę poematu do jak najściślejszego streszczenia i okażmy w suchych słowach, jaki to człowiek dostarczył tu rysów na skreślenie obrazu naszego wieku.

Bohaterem poematu jest młody wódz w jednem z tych licznych powstań, jakie poprzedziły wydobycie się ostateczne Grecyi z pod tureckiego jarzma. Miał on był już w którymś z poprzednich ruchów czynny udział; ale wtedy, skoro tylko przyszło do walnéj bitwy, skończyło się wszystko dla sprawy téj jak najgorzéj. Cały zastęp Greków wyginął. Lambro sam jeden tylko potrafił opuścić pobojowisko przy życiu. Udał on się natenczas na emigracyą — „lecz nie samotny! znalazł się ktoś drugi, co przy nim giermka podjął się usługi“. (Była to Ida, jego kochanka. Odpowiedzialność za ten pomysł niedorzeczny — musi rad nie rad przyjąć tym razem na siebie Byron, protoplasta całéj familii giermków tego rodzaju). — W kilka lat późniéj zaczęło się w Grecyi zanosić

na nowy wybuch. Wystąpił w narodzie natchniony poeta Ryga i budził pieśnią swoją ducha z letargu; któreś z mocarstw popierało pomysł powstania: więc przyszło wreszcie do pierwszych objawów jawnéj walki między ludnością grecką a rządem. Na pierwszą wieść o tém wszystkiém Lambro emigrant zjawił się w kraju! Powrócił z daleka z gotowém postanowieniem, odegrania w tym ruchu zbrojnym, który się właśnie zaczął, roli naczelnego wodza. Ale zaczyna i to powstanie bardzo rychło doznawać niepowodzenia: pierwsze starcia Kleftów z Turkami wypadły nieszczęśliwie; co gorsza, ów wieszcz narodowy został ujęty w niewolę, i właśnie przygotowuje się scena straszna, gdzie go w skutek zapadłego wyroku mają stracić publicznie.

Właśnie w przededniu téj exekucyi, schodzi się Lambro w umówioném miejscu z kochanką. (Ida od niejakiego czasu nie dzieliła już z nim wygnania, ale spędzała czas w kraju. Teraz, po długiém niewidzeniu, witają się oni tedy z sobą na nowo). Przy téj sposobności zapoznajemy się nieco lepiéj z osobą bohatera powieści. Widzimy w nim rodzonego brata Mindowy, Botwela, Żmii i t. d. z różnicą chyba, bez jakiéj nie znaleść i dwóch listków na drzewie. Melancholia i skeptycyzm — oto znamiona choroby duszy tego człowieka. Na twarzy przyszłego zbawcy Grecyi „jakiś szatan mięsza“ rozpacz i śmiech szyderczy i cierpienie; a na dobitek, wyczytuje jeszcze na niéj kochanka „ostatni stopień wszystkich nieszczęść... nudę“! — Dalsza rozmowa odsłania, że Lambro został (już po oddale-

niu się Idy od niego) korsarzem, nad czém oboje, i ona i on nawet także, ubolewają. Dawniéj — mówi Lambro o sobie — byłem innym człowiekiem; ale mię nieszczęście złamało! To też teraz szerzy on śmierć z obojętnością około siebie, jak daleko tylko działa okrętu jego sięgają, i z uśmiechem dziwnéj radości patrzy nawet na konanie własnych swych majtków, którzy wiernie dzielą z nim wszystkie koleje losu...

Po tym obrazie Lambra, który pomimo wszystkich starań, jakie podjął autor, żeby go otoczyć urokiem pewnéj wielkości, wzbudza jako człowiek odrazę, a jako przyszły zbawca narodu najwyższe niedowierzanie: — następuje epizod rzeczywiście oddany z niepospolitym talentem — jedyne miejsce w tym poemacie, które się może i które się musi każdemu kto je czyta podobać, opis wykonania wyroku na skazanym na śmierć poecie. Postać ginącéj na szubienicy ofiary oddana jest à bas-relief, niewielu tylko rysami; ale te kilka rysów staje za szczegółową opowieść o całém jego szlachetném życiu i daje wymowne, tryumfujące świadectwo tym ideałom, którym Ryga wszystko na ziemi poświęcił. — Nie podnosi za to bynajmniéj w oczach naszych osobistości głównego bohatera czyn, jakiego Lambro dokonywa właśnie przy téjże exekucyi, mszcząc się nibyto za tę krew niesprawiedliwie przelaną. Jest to brawura — może wyborna, żeby dowieść kwalifikacyi na korsarza, ale niewiele dobrego rokująca o rozumie wodza narodowego! Poeta opisywał to wszystko na nieszczęście w przeciwném przekonaniu.

Po spaleniu w taki awanturniczy sposób tureckiego okrętu, czeka Lambro, co powie na to naród, i gotuje się do dalszego działania. Ale nim przyszło do tego, żeby się choć był dowiedział, jakie jest usposobienie ludu: — przytrafiło się na jego korsarskim statku, téjże nocy co nastąpiła po owym akcie brawury, zdarzenie, które położyło koniec i karyerze jego jako naczelnika sił zbrojnych powstania narodowego, i... poematowi. Zdarzenie to bardzo naturalne, choć dla czytelnika wcale niespodziewane! Okazuje się bowiem — w drugiéj pieśni — że Lambro, oprócz innych przymiotów niekoniecznie potrzebnych wodzom naczelnym, posiadał jeszcze i ten najniepotrzebniejszy ze wszystkich, iż był... nałogowym amatorem opiatu. Poeta starał się tę smutną stronę swojego bohatera ubarwić i osłonić, ile to tylko być mógło. Zamiast powiedzieć otwarcie, że się Lambro po prostu lubił zapijać, wyraża się tedy w tych poetycznych słowach:

„Że Lambro co dnia bledszy o północy
Szaleje trucizn namiętném piciem
I życie mieni na sen gorączkowy.“

Tym razem -- po tém co zaszło — tuż przed czynami, jakich się Ojczyzna ma prawo po nim spodziewać — czuje to Lambro, że mu jakoś nie wypada brać i téj nocy czary do ręki... Nadeszła północ: nasz człowiek trzyma się twardo! łamie się z nałogiem, jak tylko może. Ale ludzie tego rodzaju daleko pochopniejsi bywają do walki z całym światem, aniżeli ze sobą samymi! Siebie zwyciężyć nasamprzód, a potém dopiero zapróbować i

z drugimi tego samego: — téj zasady Słowacki w młodocianych robotach swoich nie zastósował nigdzie! Tak też miała się sprawa i z Lambrem. Długo on dumał blady samotnie na pokładzie swego okrętu — patrzał w milczeniu na spokojną powierzchnię morza, oświeconą bladém światłem księżyca — bladł coraz bardziéj i chwiał się: nagle upadł bez przytomności. Po jakiéjś chwili wróciły siły — powstał: — ale teraz gromkim głosem zażądał swojéj zwyczajnéj czary! — Podano mu ją — wypił. Zbieg przypadkowy okoliczności sprawił tu nieco zamętu. Zamiast pazia, który obsługiwał w razach takich naszego kapitana okrętu, wcisnęła się była tym razem do niego przebrana za pazia — Ida: ona mu tedy podać musiała fatalną czarę owę, któréj zażądał. Kiedy ją nalewała, drżała jéj ręka i kilka kropel trucizny wpadło do czary więcéj, niż należało. Więc nastąpiło, co musiało: otruł się zbawca ojczyzny.

Powyższe streszczenie saméj osnowy Lambra uwalnia mię od potrzeby rozwijania uwag i nad artystyczną i nad moralną wartością poematu. Zdaje mi się, że byłby to utwor wyborny, gdyby był wykonany w formie satyry, parodyi, komedyi dowcipnéj i gryzącéj, słowem czegoś z dążnością szyderczą. Chodzi tu wprawdzie o rzeczy zbyt poważne i wzniosłe, żeby się który z poetów polskich był mógł ośmielić na to. W naszéj literaturze takie traktowanie podobnego przedmiotu byłoby niepodobieństwem. Ale gdyby taki Heine naprzykład, dla którego nie było rzeczy, z któréjby nie baraszkował, był się zabrał do tego: to jestem pewien, że nie

potrzebowałby on w całéj téj powieści niczego zmienić ani też dodać ni ująć, a byłby wystawił farsę, którąby stanowiła kamień węgielny dla jego autorskiéj nieśmiertelności. Figura Lambra — to typ stworzony dla Heinego! Jako ideał — jest to zero, ladaco: — ale właśnie przeto, że będąc zerem, chce uchodzić za wielkiego człowieka, jest to niewyczerpany materyał dla komika i humorysty...

Na nieszczęście, podług założenia poety, miał to być człowiek, „będący obrazem naszego wieku i bezskutecznych jego usiłowań". Tak jest, niezawodnie! Usiłowania naszego wieku są bezskuteczne, ale właśnie tylko dlatego, że tacy ludzie, jak Lambro, i w taki sam sposób, jak on, narzucają się społeczeństwu na przewodników, a ono daje im się prowadzić i wyzyskiwać! Nie przeczę tego zatém, że udało się tu Słowackiemu dać dość wierny wizerunek jednego z całéj legii tych mniemanych bohaterów, którzy są prawdziwą plagą bieżącego stulecia! Zaszła przy tém jedna tylko mała pomyłka. Poeta stworzył karykaturę, a rozumiał, że stawia ideał! W przekonaniu, że roztacza obraz poetyckiéj wielkości, starał on się bohatera swego uposażyć w wszelkie warunki zapewniające dla postępków jego współczucie i podziw czytelnika: gdy tymczasem odsłania się z pod tych sztucznych osłon wyobraźni autorskiéj sama tylko nędza i zgniłość moralna tego człowieka, tém przykrzejsza dla oka, że występuje z olbrzymimi uroszczeniami i z dumą, któréj nic zgoła nie usprawiedliwia.

Razem z poematem Lambro zostawiamy po za sobą okres Słowackiego byroński (a raczéj pseudobyroński), i przechodzimy do naturalniejszych natchnień i do więcéj przynajmniéj samodzielnych kierunków w jego zawodzie. Bez symptomatów pewnéj chorobliwości nie obyło się i w tém drugiém stadyum u niego; ale przynajmniéj była to już chorobliwość własna — chorobliwość, jakiéj w owym czasie podlegali tysiące. Zbliżył się więc poeta nasz więcéj do usposobienia ogółu. Pierwszym czynem na téj nowéj drodze był Kordyan. Pod każdym względem możnaby go nazwać słupem granicznym pomiędzy pierwszą dobą poety a drugą.

Dziełem tém więcéj Juliusz przekonał naród o swém niepospolitém uzdolnieniu poetyckiém, aniżeli tém wszystkiém razem, co wydał poprzednio. Kordyan wyszedł bezimiennie. Nie od razu zdołano się domyśleć, kto jego autorem. Podobno mieli być tacy, którzy w pierwszéj chwili przypisywali go Mickiewiczowi.

„Mój śpiew ostatni — pisał autor Kordyana niebawem po jego ogłoszeniu do matki — jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jedném z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór pochlebny — o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a ta przeciwna partya, są to nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam. Od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże w Paryżu przypisuje pieśń moję Adamowi. Oto wyjątek z listu do mnie pisanego: — „Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, i kiedy ten się wypierał,

że nie jest autorem dzieła i że nie wie o niczém, Ogiński rzekł: to przynajmniéj wiemy, że Pan chce to mieć tajemnicą.“ *) — W drugim liście (mówi daléj Słowacki) pisze mi jeden ze znajomych: — „Z Memla(?), dokąd exemplarze posłałem, piszą mi o Kordyanie z wielkiém uniesieniem — i biorą to za pracę Adama.“ — Z tych dwóch doniesień widać, że w wielu miejscach bezimiennie wydaną moję pracę przypisują innemu. Znając uprzedzenia naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka“.. (Z listu z d. 27 kwietnia 1834 r.).

Do mniemania takiego (jeżeli to wszystko prawda) przyczynić się mogło niejakie podobieństwo w zewnętrznéj formie pomiędzy Kordyanem a wydaną niedawno przedtém Częścią IIIcią Dziadów Mickiewicza. I jedno i drugie dzieło jest nieregularnym, niescenicznie ułożonym, lecz zato wielkiéj lirycznéj siły dramatem. Jest nawet pewne pokrewieństwo i w całym pomyśle. Na okoliczność tę atoli zbyt wiele przycisku kłaść nie należy: pokrewieństwo to bowiem wynikło z intencyi, w jakiéj Słowacki zabrał się do napisania Kordyana. Chciał on, jak to już wyżéj okazałem, dziełem tém — rzuciwszy niejako rękawicę Mickiewiczowi, iść z nim o lepszą. Mickiewicz stworzył w postaci

*) „Kordyana za utwor Mickiewicza nikt nie brał. Ogiński, co się introligatorstwem na emigracyi trudnił, pewnie przez czas swego pobytu w Paryżu jednéj książki nie przeczytał. Przyjaciele Słowackiego znając jego słabość, miłość do nowych dziatek, rozpuszczali bajki, aby brak pochwał rzetelnych czém bądź zastąpić.“ (Notatka Eust. Januszkiewicza).

Konrada wizerunek najszlachetniejszych i zarazem do najwyższego stopnia siły i natchnienia podniesionych wysileń, właściwych generacyi współczesnéj. Bohater jego, póki jeszcze nosił imię Gustawa, wplątany był we wszystkie potoczne stósunki świata i doznał najdotkliwszych bolów, jakie tylko mogą zranić serce zwyczajnéj jednostki w społeczeństwie. Przesiliwszy się w duchu, czyli jak to poeta wyraża: przetworzywszy się w Konrada, bohater Dziadów podniósł się po nad poziom tych wszystkich pragnień i zawodów osobistych i wyłącznie poświęcił życie ojczyźnie. Pragnie ją „dźwignąć i uszczęśliwić"; lecz nim przystąpi do czynu, żąda od Boga... rządu dusz! Konrad czuje się nieśmiertelnym i jako Bóg sam wszechwładnym myślą własną, „któréj ludzie mu nie dali", „tą myślą, co niebiosom pioruny wydarła". Czuje się w sobie równym Bogu uczuciem, „co się samo w sobie chowa — jak wulkan, i tylko dymi niekiedy przez słowa". Ale tymi dwiema dźwigniami, dopóki one w nim samym tylko zawarte, nie spodziewa on się ani przemóc ani podnieść odrętwiałego ciężaru martwéj bryły, jaką mu się być wydaje w danych stósunkach cała masa narodu. I dlatego żąda od Boga potęgi, żąda bezpośredniéj, nieograniczonéj, choć niewidzialnéj władzy nad duchami ludzkimi...

„Ja chcę władzy! daj mi ją lub wskaż do niéj drogę!
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzéć na ludzkie dusze!"

Konrad chce nad bliźnimi władzy doraźnéj, i to nie za pośrednictwem pieśni, ani wiedzy, ani siły zbrojnéj, ani nawet cudów.

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie,
Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tém się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!“

Ponieważ zaś téj potęgi nadludzkiéj nie otrzymuje Konrad od Boga, wpada w szał rozpaczy i zaczyna wątpić o dobréj woli Stwórcy. Ośmiela się do bluźnierstwa:

„Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością —
Ty jesteś tylko mądrością!“

To jest najwyższy zenit, do którego się wznosi bohater Dziadów, przynajmniéj w wydanéj części dzieła. Bóg nie zsyła na niego kary za tę pychę i za takie buntownicze wypowiedzenie posłuszeństwa niebiosom, albowiem płynie ona u niego z miłości kraju, z nieszczęścia... zresztą modlą się za nim anieli i dobrzy ludzie (matka zmarła Konrada, X. Piotr, Ewa). I pozwala Konradowi — po uznaniu korném obłędu — wyjść z tych walk ducha czystym, rozgrzeszonym i nawet przeznaczonym w przyszłości do wielkich rzeczy. Ale do spełnienia tych obietnic nie przychodzi w téj części dzieła, tak iż Adama ideał, jak tu jest dany, ostatecznie nie wychodzi z po za sfery samych tylko zamiarów, pragnień i uczuć... I jeżeli walczy, to chyba z Bogiem walczy, a nie z tymi potęgami ciemności, nie z tymi monstrualnościami wieku, na powaleniu których właśnie zależy.

Otóż Słowacki podjął umyślnie w dziele swojém właśnie tę myśl w powyższy sposób wyto-

czoną przez Mickiewicza, ale zamierzył wykonać ją po swojemu i o tyle lepiéj, że wprowadził bohatera swojego właśnie w ten zakres, w jakim Konrada nie widzimy, to jest w zakres czynów. Punkt wyjścia zatém jeden jest u obydwóch poetów; ale ludzie ich różni i zawody ich różne. Słowacki nie mógł spodziewać się osięgnąć wyższości nad swoim współzawodnikiem ani potęgą natchnienia, ani artyzmem, ani wykonaniem szczegółów; bo to wszystko było tak niezrównaném u niego, że wszelka chętka do walki z nim na tém polu byłaby chyba lekkomyślnością. Słabszą stroną Dziadów jest ich ogólny pomysł — niejasno i niecało rzucony! To też w tém tylko mógł upatrywać Słowacki możność jakichkolwiek korzyści swoich nad nim, że zamierzył bohatera swego daléj doprowadzić w zawodzie podjętych usiłowań, aniżeli się w Dziadach Konrad na drodze swojéj posunął. A zarzutu, że się przedmiotem zanadto zbliża do Mickiewicza, zarzutu tego się autor Kordyana nie mógł obawiać. Boć umyślnie i samochcąc i wręcz wyzywając Adama do walki, wytoczył ideę jego na nowo jakby przed sądy drugiéj instancyi.

Skorośmy już wpadli na ten trop uwag dotyczących genezy obecnego utworu, niech mi wolno jeszcze będzie zwrócić uwagę na inne dzieło, które równie, a może nawet więcéj jeszcze wpłynęło na wyobraźnię poety w chwili, kiedy obmyślał układ Kordyana. Mówię o poemacie Stefana Garczyńskiego „Wacława Dzieje“. Kto tylko dwa te dzieła zechce porównać ze sobą, to niepodobno żeby go nie miało uderzyć dziwne podobieństwo pomiędzy

nimi. Wartość artystyczna Kordyana wprawdzie nieskończenie jest wyższa. Ale założenie, główny pomysł i zamiar artystyczny w obydwóch tych utworach jest niewątpliwie i oczywiście — jeden tylko. Charaktery wprawdzie głównych figur znacznie się różnią. Wacław — to filozof, myśliciel; wrodzoném usposobieniem swojém więcéj na Fausta albo na Hamleta zakrawa. Kordyan przeciwnie jest marzycielem namiętnym i entuzyastą, — w pierwszéj wiośnie życia podobny do Wertera, w dalszéj młodości przypomina Manfreda; w głównéj zaś akcyi, w sile wieku (w IIIcim akcie) — nie wiem do kogo bym go porównał... Snać jest on tu tylko Kordyanem, jest tém, czem go mieć chciał poeta, typem samoistnym i własnym. Przy tak różnych charakterach atoli, zamiar i role obydwóch tych ludzi godzą w jedno i tosamo. Niemniéj szczegóły i postaci podrzędne tak się w obu poematach wzajemnie przypominają, że niepodobna, żeby się miały rzeczy te spotykać ze sobą zupełnie przypadkowo. Tak naprzykład cała ta scena na czele Juliuszowego dramatu, nazwana „Przygotowanie“ — to tylko bujne i fantastyczne rozwinięcie idei, która u Garczyńskiego wcielona jest w jednę osobę, w osobę „Nieznajomego“. A ten spisek koronacyjny, służący i tu i tam za punkt centralny, za oś, około któréj toczy się wszystko! A ta piękna postać starca, jaśniejąca zapałem i srebrnym włosem tak wydatnie na tém tle ciemném tajemnych obrad... Wszystko to są szczegóły, które — trudno przypuścić, żeby miały być bez wszelkiéj zawisłości wzajemnéj.

Gdyby poemat Garczyńskiego wyszedł był później, aniżeli Kordyan: byłby to tylko plagiat, plagiat bardzo blady. Tak jednak nie było. Wacław jest dziełem rychlejszém. Czy go Słowacki znał, pracując nad swoim dramatem? — Mnie się zdaje, że go znać musiał.

Wacława Dzieje pisane były w Dreźnie, w ciągu roku 1832, a wyszły z druku w Paryżu roku 1833 w miesiącu czerwcu albo najpóźniéj w początkach lipca.*) Kordyan zatrudniał myśl Słowackiego już w ciągu wiosny tegoż roku (1833). W środku lipca już był plan jego gotowy. Rzecz ostatecznie jednak spisana została dopiero w miesiącach jesiennych. Nie było tedy niemożności fizycznéj, dla któréjby mu nie miał być znany utwor wielkopolskiego poety, przed ostatecznem dokonaniem Kordyana. Niemożność ta znika do reszty, jeżeli wspomnimy, że Stefan Garczyński przez ciąg tegosamego lata bawił w Szwajcaryi, a nawet spędził czas niejaki (miesiąc sierpień) w samejże Genewie wraz z Mickiewiczem, który go tu (po raz ostatni przed jego śmiercią) widzieć przyjechał z Paryża. Czy się Juliusz przy téj sposobności zapoznał osobiście z Garczyńskim, tego nie wiem i wątpię, żeby było przyszło do tego. Bytność autora Dziadów w mieszkaniu Garczyńskiego nie mogła go do zabrania téj znajomości zachęcać. Zresztą Słowacki nie był pochopny do pierwszych wizyt, a Garczyński znowu był już natenczas

*) Wyrozumieć to można z dat listów Mickiewicza do Garczyńskiego pisanych w sprawie drukujących się właśnie jego poezyi.

bardzo cierpiący i zapewne także nowych znajomości nie szukał. Z tém wszystkiém nie mogło być bez tego, żeby ta jego bytność w Genewie choćby za pośrednictwem trzecich osób nie była miała zwrócić uwagi Słowackiego na niego i na świeżo wydane jego poezye w Paryżu, których exemplarze musiały się rozejść wtedy i pomiędzy Polakami bawiącymi w tém mieście. W kilka miesięcy po zgonie już Stefana Garczyńskiego (w liście z d. 3 stycznia 1834 r.) donosił Juliusz matce o nim w następujących wyrazach:

„Ukazał się był na chwilę nowy talent poetyczny, Garczyński. Wydał dwa tomiki, w których było wiele pięknych rzeczy, a więcéj jeszcze nadziei; ale nieszczęściem suchoty zniszczyły go — i umarł. Ciągle wzdychał do Neapolu, i miał nadzieję, że tam dojechawszy uzdrowi się; ale nieborak w drodze w Awinionie życie zakończył“...

To wspomnienie pobieżne, pisane właśnie nad korektą drugiego arkusza Kordyana, którego mu w ciągu druku dosyłano dla kontroli z Paryża — są to, zdaje mi się, słowa człowieka, który nie znał się osobiście z autorem i co o nim wiedział, to od trzecich osób (inaczéj bowiem byłby ciekawych szczegółów niewątpliwie więcéj o nim udzielił); ale który niezawodnie czytał jego poezye. Jeżeli zaś znane mu były takowe w pierwszych dniach roku 1834: to dlaczegoż nie miałby ich był znać i jaki kwartał rychléj?

Nie przeto mówię o téj okoliczności, żebym chciał z tego punktu widzenia uwłaczać w czémkolwiek autorowi Kordyana. Mimo to wszystko

bowiem konkurencyi pod artystycznym względem z Wacławem to dzieło obawiać się żadną miarą nie potrzebuje. Lecz ciekawą zdaje mi się być rzeczą dochodzić, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, niewiadomych zazwyczaj wpływów, jakie towarzyszyły poczęciu dzieł poetyckich. Ileż światła rzucają na tę zagadkę geniuszu nieraz szczegóły wiadome o Szekspirze.

A krom tego jest jeszcze jedno, czego milczeniem tu pominąć nie można. Kiedy Mickiewicz, w Paryżu jeszcze, zajęty był właśnie drukiem poezyi Garczyńskiego, pisał on do niego z powodu Dziejów Wacława, co następuje:

„Niezawodnie pokazuje się, że więcéj przez Twoję głowę przeszło myśli, niż przez moję, choć ja moje wiele lepiéj wyrobiłem. Ileż wierszy w Wacławie, nad którymi dumam jak nad drogami w Pompei, myśląc o kołach, które musiały w tył i w przód wyjechać, nim tę koleinę wygryzły! Nie byłem nigdy zdolny czuć zazdrości poetyckiéj; ale mnie się zdaje, że gdyby Wacław był nie Twoim utworem, tobym może zazdrościł autorowi. Teraz — kocham go, jak gdyby wspólne dziecko. Możesz być pewny, że to dzieło zupełnie leży w teraźniejszym czasie i dziwnie odbija stan duszy wielu ludzi"...*)

Że się nie pomylił Mickiewicz, iż myśl dzieła tego leżała rzeczywiście w usposobieniu czasu: tego najwymowniejszym dowodem okoliczność, na którą zwracam właśnie uwagę. Widzimy bowiem,

*) List Mickiewicza do Garczyńskiego z Paryża d. 12 stycznia 1833 r.

że w tymsamym niemal czasie zajmował ten przedmiot wyobraźnię i naszego poety. W ciągu rozmyślań nad nim wpadła mu w ręce praca Garczyńskiego. Kreacya ta ożywiła jego imaginacyą i dorzuciła żywiołów palnych w ognisko, które już i bez tego gorzało. Kilka zarodów gotowych wniosła w ramy jego obrazu. Ale zarody te przybrały tu dziwną bujność, pod wrącém czuciem genialniejszego ducha. Co u Garczyńskiego jest tylko napomknięte, niedonoszone w wyobraźni, mgliste, niekiedy chorobliwe: to się ukazuje w utworze Słowackiego, przynajmniéj pod artystycznym względem, rozwinięte do pełni i wykonane plastycznie. Nawet i po za obrębem względów na artyzm, mała jest wartość Wacława w porównaniu z tém dziełem. Garczyński jeszcze w najlepsze byronizuje, Słowacki właśnie się z pod wpływu tego otrząsa. Garczyńskiemu się bohater jego wydaje tytanem — ideałem skończonym... a kiedy nie wie, jak nieudolność jego usprawiedliwić, radzi sobie w taki sposób, że oto — urywa dzieło w pośrodku! Autor Kordyana podobny jest do niego w pierwszéj połowie swego dramatu. W trzecim akcie... spostrzegł się i o s ą d z i ł swego człowieka.

Te kilka myśli ogólnych niechaj zastąpi to wszystko, co w dalszym rozbiorze Kordyana zdawać się może będzie nie dość dokładném. Są okoliczności — łatwe do odgadnienia, które nie pozwalają na zupełnie swobodne traktowanie tego przedmiotu. Zresztą jest to tylko ułamek większéj całości, do utworzenia któréj nie przyszło. Autor zapowiedział trzy takie dzieła, pomiędzy sobą

związane węzłem trylogii. Trylogia ta, jak z prologu czyli „Przygotowania“ na czele umieszczonego wnosić trzeba, miała obejmować wypadki z przed roku 1830, z czasów samegoż powstania, i zapewne z dalszych lat potém. Kordyan stanowi tylko część pierwszą trylogii. Dalszych części nie ma. Materyał części trzeciéj zdaje mi się, że wpłynął w głównych zarysach w utworzonego nieco późniéj Anhellego. Środkowy dramat pozostał niezapełnioną próżnią. Jego osnowy nawet się domyślić nie można, chociaż surowy materyał jest każdemu wiadomy.

Jeżeliby się jednak godziło, odgadującym sposobem rzucić zarys ogólnéj myśli, na tle któréj ta obszerna budowa miała się wznieść: to napomknienia tu i owdzie spotykane w części pierwszéj upoważniają przypuścić, co następuje:

Żyjemy w wieku materyalnym, karłowatym, upadłym, w wieku, w którym się nic światodziejowego nie dokonywa w ludzkości. Jest to dzień wypoczynku Stwórcy po pracy, dzień siódmy, szabat myśli bożéj w tworzeniu dziejów powszechnych:

„Bóg przez sześć dni dziejowych stwarzał ziemskie ludy,
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy:
To była ziemia — na niéj wyrosły narody.
W drugim dniu — porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim — jak drzewa. greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym — wzleciały orłów rzymiańskich znamiona:
To były ptaki; — a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona —

W szóstym — człowieka zlepił Bóg: Napoleona!
Dziś dzień siódmy — Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył!"...

Słowa te znajdujemy wyrzeczone w VItéj scenie aktu IIIgo, przez figurę fantastyczną, która tam ma nazwę „Doktora", a którą oczywiście jest Szatan. Przybywa on do szpitala, ażeby i kusić Kordyana i naigrawać się z niego. Zdawaćby się wprawdzie mogło, że ponieważ Szatan to mówi i to jeszcze w takim zamiarze: nie jest to przeto nic więcéj, jak tylko prosty fałsz, sofizmat, przypuszczenie przewrotne, nie mające żadnéj spółki z rzeczywistym pomysłem autora. Tak jednak nie jest. Poeci zwykli — jak wiadomo, dawać nieraz i demonom mimowolnie wypowiadać ukrytą prawdę. Są to zazwyczaj prawdy gorzkie dla ludzi, ale zawsze prawdy. Przypomnijmy sobie tylko Mefistofela w Fauście. Ma się rzecz podobnie i w razie obecnym. Doktor Słowackiego rzuca wprawdzie w scenie téj wiele i zdań bałamutnych, bezwarunkowo obłędnych. Ta jednakże myśl jego spływa doskonale z całém założeniem poematu, i jeżeli się różni od innych miejsc podobnych w „Kordyanie", to chyba tylko tém, że rzecz jest tutaj wręcz wyrzeczona i nazwana po właściwém swojém imieniu. Taki wypadek wynika też ostatecznie z całego przeprowadzenia dzieła, do tego stopnia, że bez tego klucza zrozumienie celu jego wcale byłoby niepodobném.

My na ostateczny sens tego dyktu piszemy się. Jest on niestety — de facto co się zowie prawdziwy! Ale zobaczmy, co idzie za tém.

Kiedy więc w myśl założenia poety ta siła twórcza, dodatnia, boża, która kieruje biegiem świata, obecnie wyjątkowo odpoczywa po pracy i nie tworzy nic: poczuwają się do tém większéj czynności w wieku obecnym demoniczne potęgi. Pragnienie i zabiegi tych potęg zawsze ku temu zmierzają, ażeby się niweczyło w samym zarodzie to wszystko, czego ludzkość pragnie i za szczęście swoje uważa. W tym też celu i teraz przystępują one do dzieła. Pierwszy ustęp Kordyana, nazwany Przygotowanie, odsłania właśnie te ich roboty. W saméj chwili poczęcia się wieku obecnie bieżącego, w nocy z dnia 31 grudnia 1799 na 1 stycznia 1800 roku, zgromadzają się na ustroniu, w chacie niegdyś Twardowskiego, najprzedniejsze mocy szatańskie i przygotowują zapas kierowników narodowych na cały wiek dziewiętnasty:

. . . . . „Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę."

Oczywiście wychodzą z tego kotła szatanów same osobistości zdaniem poety niedołężne, wsteczne, potrzeb wieku niepojmujące, jeżeli zgoła nie napiętnowane czém gorszém jeszcze. I tak nasamprzód otrzymuje tam sankcyą na wielkiego człowieka XIX wieku — Chłopicki. Na dalszych kierowników wydarzeń, które mają nastąpić, przeznaczeni zostają: Czartoryski, Niemcewicz, Lelewel, nakoniec Krukowiecki. Obok nich jeszcze zostaje przygotowaną dla tém pewniejszéj zguby narodu

cała zgraja świetnych bohaterów salonu i brukotłuków („wymuskani rycerze-ospalcy"); niemniéj i tłum niezliczony krzykaczy i intryganów („co narodowéj chwycą się mównicy — dyplomatycznych mówców plemię").

O takich siłach ma się tedy snuć odtąd wątek spraw, dotyczących żywotnéj kwestyi jednego z głównie w stuleciu tém do działania powołanych narodów, aby się dokonało, co przepowiedziało piekło, że „wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany"..

W jaki sposób winy tych wszystkich ludzi, tak lekkomyślnie stawionych na jednéj linii ze sobą, zamierzał autor w dziele swojém rozwinąć i udowodnić — na wyrozumienie tego braknie nam wszelkiego punktu oparcia. Ich role przypadają prawie bez wyjątku dopiero na czasy, które miały być pomieszczone w ramach dalszych obrazów, składających tę trylogią. W Kordyanie — wyjąwszy jednego Niemcewicza — kończy się wszystko na téj ryczałtowéj kondemnacie rzuconéj na nich w prologu bez żadnego téjże poparcia. Gdyby autor był poprzestał na twierdzeniu, że tak usiłowania Chłopickiego, jak X. Czartoryskiego i wreszcie Lelewela w roku 1831 były nadaremne; że kroki ich były nieodpowiednie celowi i t. d. nie mielibyśmy nic przeciw temu do powiedzenia. Ale wystawiać w nich istoty, z piekieł przysłane na zatratę narodu: to cokolwiek gruba przesada. Gdyby która z osób nazwanych była autorem powstania; gdyby się byli okazali chciwymi władzy; gdyby ją byli przemocą lub podstępem sobie przywłaszczyli, odtrącając od steru innych, zdolniejszych, a po tém wszystkiém okazali niezdolność, złą wolę albo złą

wiarę: — wtedy możnaby składać na nich odpowiedzialność za wszystko i godziłoby się poecie wprowadzać ich w dziele swojém w taki sposób, jak to jest wszystko uczynione w Kordyanie. Tak to jednakże nie było. Na tę genezę z kotła szatanów zasłużyli sobie zatém chyba zupełnie inni! Powziąć lekkomyślne postanowienie — wykonać je gorzéj, niż niedorzecznie — rozdmuchać pożar — potém niewiedzieć, co z nim począć — w braku lepszéj rady przyjść do ludzi, których ani wiek, ani stanowisko, ani wyobrażenia, ani tradycye nie były potemu, żeby mogli uwierzyć w dzieło, z którém nie mieli żadnéj wspólności, i powiedzieć im na klęczkach i upominając, z prośbą i groźbą: teraz ty prowadzić musisz, bo ty masz zaufanie w narodzie, a my go nie mamy! — nareszcie po wszystkiemu winić ich i przeklinać za to, że się ta z góry i w zarodzie samym zwichnięta robota nie udała: — to wszystko dziać się może tylko w społeczeństwie tak zupełnie pozbawioném zmysłu politycznego, jak nasze!... Na obronę Słowackiego wprawdzie powiedzieć można, że takie wtedy były wyobrażenia o tém powszechne. W takito sposób odbywały się sądy o rzeczach i o ludziach z roku 1831, przez kilka lat potém, śród całéj emigracyi, a nawet po większéj części i w kraju. Łagodzi to niezawodnie zarzut zrobiony temu ustępowi Kordyana. Ale mylność założenia całego dzieła dlatego się nie naprawia.

Większéj jeszcze niesprawiedliwości dopuścił się autor Kordyana przeciwko Niemcewiczowi, o którym dlatego tu z osobna mówię, ponieważ jego jednego tylko wina jest w zupełności niby odsło-

nięta i przeprowadzona w dramacie. – Mówi o nim Słowacki w prologu w takich wyrazach, że się wierzyć nie chce, żeby się to do Ursyna odnosić mogło:

. . . „Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą
Na pół zastygłą, przegniłą —
Poeta — rycerz — starzec — nic,
Dziewięciu Feba sułtanic
Eunuch“ i t. d.

Że nie kto inny jednak, jak ten mąż, pod tylu względami dobrze ojczyźnie zasłużony, jest tu rozumiany, to się dowodnie okazuje w IVtéj scenie aktu trzeciego, gdzie mniemana jego zbrodnia jest skreślona śmiałym pędzlem i bez ogródki. Wystawiony tam jest Niemcewicz jako P r e z e s knowań (z roku 1829), które się odbywają w podziemiach kościoła św. Jana w Warszawie... Pomimo wyraźnego zamiaru poety, ażeby rola, jaką tam wypadło starcowi temu odegrać, wiekuiście go potępiała: postać Ursyna występuje tam po nad tłumem zebranych zapaleńców tak czysto, tak posągowo i z taką szlachetnością, że nie można mu było wystawić piękniejszego pomnika, jak ową właśnie sceną Kordyana.

Ale wrażenie takie sprawia ten ustęp tylko w umysłach głębszych. Czytelnik nierozmyślny, z rzeczami najświeższych dziejów kraju źle obeznany, rzuca czytając to miejsce, na siwe włosy starca tesame gromy, jakie na niego myślał że rzuca poeta, kiedy je pisał. I byłże jaki, choćby też najmniejszy powód do tego wszystkiego? To

już polega na czystém urojeniu! Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad samym spiskiem koronacyjnym, który tu stanowi główny przedmiot. Był to... pierwszy w nieskalanych jeszcze wtedy dziejach naszych, szalony — na szczęście, nie czyn, lecz tylko czynu zamiar. Co o nim nasz autor włożył w usta Prezesowi sprzysiężonych, co u Garczyńskiego mówi przeciw téj robocie „Nieznajomy“, uważany przez tamtego poetę w skutek dziwnego pomieszania pojęć równie za wroga dobréj sprawy, jak nim jest u Słowackiego Niemcewicz: — wystarcza to zupełnie do ocenienia i moralnéj projektu tego wartości i nawet praktycznéj jego pożyteczności w bezpośrednich i dalszych skutkach. Tego jednego wszelako milczeniem tu pominąć nie można, że choćby tam sobie zresztą każdy rozumiał o tych zamysłach z roku 1829, co mu się żywnie podoba: to w każdym razie wmieszany tu w nie został Niemcewicz — co się zowie, jak Piłat w Credo. Nie miał on z nimi nic zgoła do czynienia! Że plany te spełzły na niczém, temu Niemcewicz nie winien! — jedynym tego powodem był brak energii i odwagi, kiedy nadeszła chwila działania, u samych autorów tego projektu.*)

Śmiało zatém powiedzieć można, że cała ta część Kordyana wypadła jak najfatalniéj. Autor nie znał faktów, a pozwolił sobie, idąc za utartym przykładem drugich, rzucić (nibyto *pro bono publico!*) potępienie na starca, który całe życie poświęcił dobru narodu, a w mniemanéj owéj zbrodni żadnego

*) Bliższe szczegóły o tém wszystkiém podaje w dziele swojém Mochnacki.

nie miał udziału. Ironia losu zrządziła, że spotkało to właśnie człowieka, który z taką gościnnością przyjmował niegdyś w Ursynowie młodego autora Mindowy. Postąpił więc sobie z nim Słowacki gorzéj jeszcze, aniżeli Mickiewicz w Dziadach z jego ojczymem. Mogli sobie obaj podać teraz ręce do zgody: krzywda nie powinna boleć takiego, który ją i sam drugim lekkomyślnie wyrządza.

Rzuciliśmy ogólny zaryz pomysłu, na którym zdaje się że miała stanąć cała budowa trylogii. Teraz powiedzmy zdanie nasze o części jéj wykonanéj, a mianowicie o samymże bohaterze utworu.

Na tle wieku, z góry potępionego za karłowatość i niejako skazanego na to, żeby w dziejach minął bez wieści, stworzył poeta postać, która przerasta małość duchową ludzi tych generacyi, i czuje nędzę takiego życia, i pragnie je czém wznioślejszém zapełnić, i rzuca się z jednego kierunku w drugi... ale klątwa wieku położyła znamię swoje i na tym duchu. Jest to natura głębsza, ale chora na duszy; jest to entuzyasta, ale nie charakter; jest to bohater, ale o słabych nerwach. Reszta tłumu — najszczęśliwsza z tego kału, w którym brnie — nie żąda i nie chce od nikogo poświęceń. Ani rozumie, ani też nie popiera wysileń podobnych ludzi. Tym — braknie znowu téj siły, przelania swego zapału w ogół. Gore tedy cały ogień w ich własném wnętrzu, gore płomieniem jaskrawym, ale racowym: to też nim jeszcze nadejdzie godzina — cała moc ducha i ciała u natur takich zwęgla się w popiół.

Kordyan Słowackiego łączy w sobie prawie wszystkie znamiona wielkości. Wzgarda życia,

gotowość do ofiar, żądza sławy, dzielność i duma szlachetna — są to niezawodnie warunki niezbędne człowiekowi, mającemu pchnąć społeczeństwo nowymi tory. Pomimo tego wszystkiego, odsłonił w nim umyślnie i z całą świadomością poeta także i własności ujemne, niedostatki, dla których one zarody wyższości w duchu Kordyana nie dopełniają się do rozmiarów prawdziwéj wielkości charakteru, na jaki się niby zanosi. W ogóle jest coś spaczonego, jest i coś z sobą sprzecznego w tym duchu. Szuka on pola szerokich działań i nie wzdryga się przed żadnymi trudnościami: a w każdéj jednakże sprawie hamują go jakieś pęta, staje mu na przeszkodzie jakaś siła, któréj nie zwalczyć. Te pęta, ta siła jemu na przeszkodzie stojąca — one wynikają głównie z niego samego. I w tém też właśnie tragiczność jego zawodu.

Jedną z głównych takich ujemnych własności w charakterze Kordyana jest melancholia. Melancholia ma to wspólnego z reflexyą, że jak jedna tak też i druga, jeśli przemożnie i wyłącznie opanuje człowieka, zabija w nim wszelką zdolność do ostatecznego działania. Hamlet Szekspira przez ciąg całego dramatu morduje się ze skrupułami bezdennéj jakiéjś reflexyi, i przez to właśnie nie dochodzi wcale do powzięcia żadnego postanowienia. Podobnie ma się rzecz z melancholią. Komu się smutek wpije aż w samę rdzeń serca i zamieni w drugą u niego naturę: takiego człowieka dzielność duchowa jest jakby znurtowana. Każde silniejsze wstrząśnienie wystarczy, aby odsłonić niemoc na zewnątrz takiéj wiecznie w sobie tylko pracującéj natury.

„Wierzcie mi, wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny“

mówi Kordyan w chwili najwyższego zapału do sprzysiężonych, w scenie owych narad prowadzonych w podziemiach kościoła. Kładzie mu poeta wszelako w usta natychmiast takie słowa, które to zapewnienie potężnie ograniczają:

„Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczém —
Robak smutku mnie gryzie. . tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami!“

W ogóle zdaje się, że było zamiarem Słowackiego okazać jakąś sentymentalną miękkość w naturze swojego bohatera. Kiedy naprzykład już postanowił Kordyan wziąć na się wykonanie czynu, który zdaniem jego przyniesie dla ojczyzny zbawienie, ale dla niego śmierć: — widzimy go w owéj chwili w takiém oto usposobieniu:

PREZES.

„Na Boga, Kordyanie,
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDYAN.

To nic! starcze. To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa;
To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I róże. — Potém spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym.“ i t. d.

Jest to prześliczne miejsce i niezawodnie jedno z lepszych w dramacie. Wątpliwości nie podlega, że takich rozpamiętywań zdolna być może tylko natura poetyczna, głęboko czująca, najidealniéj szlachetna. Ale jeżeli to jedno pewne, to równie będzie pewném i owo, że kto już tak fantazyuje przed czasem, kto tak ze łzami rozbiera swoje poświęcenie, samotność i ofiarę, zanim jeszcze dzieła dokonał, i z takiém usposobieniem przystępuje do rzeczy: ten jéj pewnie nie potrafi dopełnić! Entuzyazm, serce, w ogóle władze duchowe będą go parły do czynu; ale ciało samo, fizyczność, nerwy rozigrane temu się oprą. A natenczas opadną go dokoła wspomnienia, widma, strachy jakieś w wyobraźni rozkołysanéj wylęgłe... i taki zamęt powstanie w głowie takiego człowieka, że owo z taką niby pewnością siebie powzięte i zapowiedziane jego postanowienie niepodobna żeby się mogło skończyć inaczéj, jak tylko w sposób téj sceny, co potém następuje w dramacie, w sposób mówię sceny Vtéj aktu IIIgo (w przedpokoju komnaty carskiéj).

Są i inne jeszcze strony w charakterze Kordyana, których nie podobna nazwać inaczéj, jak chorobami wieku, a które i sam już autor świadomie odsłonił jako braki i niedostatki. Patrząc na człowieka tego z pewnego oddalenia, biorąc duchowy jego wizerunek w całości: każdy powtórzyłby do niego to, co mu mówi spowiednik jego w więzieniu:

„Synu! powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu!

Bóg cię wyrywa z lwiéj paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu“...

Zważywszy jednak na ten brak miłości ludzkiéj, zdradzający się mimowolnie w wyznaniu Kordyana, które on składa spowiednikowi niby to w formie skargi, że nie ma nikogo na świecie, któremu by miał coś do przekazania... że nikt z ludzi nie był dla niego przyjacielem; zważywszy na to, co mu Kordyan daléj oświadcza, iż słyszy jakiś głos tęskny w głębi ducha swojego, który

„Pamiątek woła i śladu na świecie:“

to w każdym razie niepodobna niewidzieć i tego, że wiele w téj naturze jest niekonsekwencyi i jak na bohatera narodowego, za jakiego on sam chciałby siebie uważać — nader drobniuchnych, acz zresztą wcale ludzkich i poetycznych nawet podnietek. Jeżelić bowiem tacy mu obojętni ci ludzie, że nie obdarzył ani jednéj duszy na świecie imieniem przyjaciela: to jakież tedy źródło zamierzonych jego poświęceń? Na cóż mu też w takim razie ów ślad na świecie, którego koniecznie pragnie? i dla kogoż te pamiątki, któreby rad pozostawił po sobie? — A nadto: czy to też tylko świat jedynie temu winien, że Kordyan na nim nic miłego dla siebie nie pozostawia? Czy się Kordyan usilnie starał zasłużyć sobie na to, na brak czego się teraz skarży? Czy Kordyan żył w świecie? czy w nim żył w taki sposób, żeby zasłużył na miłość ludzką? Czy ludzi poznał? Czy to potępienie, jakie na nich wszystkich ryczałtem rzuca, nie płynie

też więcéj z jakiéjś dumnéj, choć bardzo może poetycznéj fantazyi, aniżeli z rzeczywistego doświadczenia?...

Wszakże słyszymy w téjże saméj scenie i następujące oto jeszcze z ust własnych jego wyznanie:

„Gdybym był wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem: przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innymi oczyma —
Dłużéj, ciekawiéj, a może ze łzami; —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał! — Czegoś mi nie staje!“ i t. d.

Powyższa analiza natury, stawionéj jako główna postać tego dramatu, okazuje w niéj zatém z jednéj strony niezawodnie szczytny i wyjątkowy fenomen w dzisiejszém społeczeństwie; z drugiéj strony jednakże jest to i fenomen patologiczny, wizerunek choroby wieku. Że się czasy nasze zdobyć nie mogą na prosty, mniéj czuły i poetyczny, ale zato zdrowy w sobie, a potężny organizm; że wydają w najlepszym razie tylko takich Kordyanów: — w tém całe nieszczęście obecnego stulecia! Słowackiemu zaś poczytuję to za zasługę, że z pewną świadomością wprowadził w dziele swojém typ taki. Garczyńskiego Wacław jest chorobliwy w wyższym daleko stopniu, a poeta tego nie widzi.

Wszystko, co dotąd się powiedziało, stósuje się do Kordyana, jakim go widzimy w akcie IIIcim.

Ta też właśnie tylko część dzieła i zasługuje na rozbiór i wytrzymuje go. Ona sama jedna stanowi tutaj wszystko. Pierwszy i drugi akt — są to tylko przystawki, niezawodnie szczątki dawniejszych planów, na wiosnę (1833) powziętych, a jesienią odrzuconych. Powleka je jeszcze w całéj sile ów koloryt źle pojętego byronizmu, jaki znamionuje dawniejsze Słowackiego roboty. Z artystycznego punktu widzenia węzeł też ich z właściwą sztuką jest zgoła luźny. Przy małéj zmianie jednéj i drugiéj sceny aktu IIIgo, mogłaby się zupełnie obejść architektura tego dramatu bez tych skrzydeł psujących tylko proporcyą. Autor zdaje się, że dlatego tylko pozostawił je przy zrębie nowéj budowy, ponieważ chciał dać czytelnikowi spojrzeć na rychlejsze koleje życia swego bohatera. Miało to wyjaśnić tę całą stronę patologiczną charakteru Kordyana. Powody niedostatków w jego charakterze upatrywał autor w jego przeszłości w nienaturalny sposób przebytéj; daje tedy klucz w rękę czytelnikowi do rozumienia tego wszystkiego.

W akcie więc pierwszym spotykamy się z Kordyanem w jego 15tym roku życia. Widzimy go — przynajmniéj powiada on to o sobie — cierpiącego bardzo! Cierpienia jego jednak nie wzbudzają w czytelniku najmniejszego współczucia. Jest to dziecko w karykaturze, przeżyte, strawione czczością życia jak starzec, paniątko jakieś, zepsute widać próżnowaniem i otoczeniem. Leży sobie oto wygodnie pod wielką lipą na dziedzińcu swojego dworu i marzy... o czém? — o świata tego marnościach! Już patrzy na rodzaj ludzki z piętra,

jak geniusz; gardzi tłumem (wyraz w takich razach kanoniczny), i żali się, że nie widzi celu życia przed sobą.

„Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści!
Celem uczuć — zwiędnienie; głosem uczuć — szumy
Bez harmonii wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali“... itd.

— Nadaremnie mu stary sługa, dawny wiarus Napoleoński, prawi o wielkich swojéj młodości wspomnieniach. Kordyan ciekawie go słucha, czasami wyznaje sobie:

„Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.“

Ale ta iskra w nim nie wydaje płomienia, bo młodzieniaszek już zbyt jest mądry. żeby wierzyć w co dodatniego.

„Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.“

Główną zaś przyczyną téj całéj biedy jest, że się małoletnie paniątko kocha.

„Jam się w miłość nieszczęsną całém sercem wsączył!“

Przedmiotem téj miłości, dlatego nieszczęsnéj, bo niewzajemnéj, jest Laura, osoba starsza nieco aniżeli kochanek, która go też za dziecko — zresztą wiele obiecujące, uważa i jako takie traktuje. Ta Laura jest to znana nam już z pierwszego rozdziału panna Ludwika, a Kordyanem w tym akcie jest nie kto inny, jak Julek Słowacki z cza-

sów wileńskich. Rzeczywiście, cały ten akt, jakoby około jedynéj osi obracający się około miłosnego stósunku rzeczonéj pary, jest to tylko parafraza dramatyczna odpowiedniego ustępu owéj „Godziny Myśli“, w któréj autor swoję własną młodość opisał. Wiersz ten łączy się tak bezpośrednio z aktem Iszym Kordyana, że początek tego ostatniego byłby nawet niezrozumiały, gdyby go nie był tamten utwor poprzedził. Godzina Myśli kończy się tym czterowierszem:

„Oto jest romans życia, nieskłamany niczém —
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconém na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — Powieść nie skończona.“

Kordyana zaś początek taki:

„Zabił się młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu“ itd.

Kto się zabił — tegoby się czytelnik wcale więc z Kordyana nie mógł domyślić, gdyby nie było wskazówki ze strony tamtego poematu, że mowa jest o przyjacielu owym poety, o Ludwiku Spitznaglu, który z melancholii sam sobie życie odebrał.

Wkładając w ten sposób autor w opowieść dziejów Kordyana ustęp z własnéj swojéj przeszłości, nie zamierzał przeto bynajmniéj pod przybraném imieniem przedstawić w dramacie siebie samego. Chciał on tu tylko dać wizerunek młodości spędzonéj nienaturalnie i tak niefortunnie, że z niéj jak z fałszywego punktu wyjścia snuć się już musiał i dalszy wątek życia bezładnie.

Więc podłożył bohaterowi swemu żywcem historyą własnéj swojéj młodości, nad którą nie przypuszczał, żeby być mogło coś jeszcze jaskrawszego.

W akcie drugim Kordyan już jest dorosłym. Jak się zdaje, przebolał on już zawody, jakich w pierwszéj wiośnie wieku doznał w skutek owych melancholii miłosnych. Wyleczony zupełnie on jednak z tego wszystkiego nie jest. Szuka tedy zdrowia duszy pod różnymi niebami. Spotykamy go wędrowcem to w Londynie, to gdzieś na skalistém wybrzeżu morza, to na Watykanie, to na szczytach gór szwajcarskich. Raz go widzimy rzucającego się w sam wir zbytku i zmysłowéj rozkoszy — to znowu błądzącego samotnie z Szekspirem w ręku, albo oddającego korny pokłon głowie kościoła. Kordyan szuka wszędzie leków na swoję słabość, szuka trwałości i prawdy w uczuciach, szuka ducha w pozornych formach, imponujących jeszcze ludzkości. Pragnie znaleść choć w jednym świata zakątku ten kwiat piękności i prawdy, któryby odpowiedział jego złotym marzeniom, a zakrył smutną rzeczywistość z przed oczu. Nadaremnie! To co go miało uleczyć, staje się dla niego nową trucizną. Przekonywa się, że wszystko jest na ziemi przedajné, fałszywe, zewnątrz pozornym szychem poszyte, a wewnątrz puste i martwe...

„Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — Ciężka praca!“

Owoż więc straciwszy siłę ducha do reszty w tych wędrówkach pomiędzy ludźmi w dalekim świecie, rzuca się wreszcie w objęcia natury, natury dziewiczéj, niepokalanéj, dzisiaj jeszcze takiéj saméj, jaką kiedyś wyszła z rąk Stwórcy. To jeszcze piękność — jedyna, ostatnia dzisiaj piękność w stworzeniu! Wspina się na sam wierzch góry alpejskiéj, ze szczytu jéj ogarnia okiem cały widnokrąg. I w téj czystéj atmosferze owianéj wonią lepszych wieków, w atmosferze nie mającéj żadnéj wspólności z tym kałem tchnienia, jakiém oddychają zaludnione niziny ziemskie, zapala się w nim pragnienie zużytkowania tych ostatnich niestety szczątków już życia na pożytek czegoś dodatniego na świecie.

„Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem!
Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem
I czuję życie!“

. . . . . .

„O! gdyby tak się wedrzéć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie
I przebić czołem przesądów chmurę
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono!
Nie móc? to piekło!
Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!“

W takiém usposobieniu — natchniony, porwany — ale tylko uczuciem i zapałem — nie wolą ani też konsekwencyą dawniejszego żywota, powraca Kordyan do kraju i rzuca się w wir czynów. Z winy własnéj i z winy okoliczności, wśród zawodu — upada...

Działania jego, od téj chwili począwszy, zamyka w sobie akt trzeci. Rozbierać go szczegółowo nie będę. Wystarczy tylko nadmienić, że jeżeli gdzie, to właśnie w tych kilku scenach, które odtąd następują po sobie, ukazał Słowacki tyle świetności i potęgi prawdziwego talentu dramatycznego, że tylko dziwić się można, że nie zajął w późniejszych swoich pracach odpowiedniego takim początkom miejsca w tym rodzaju poezyi. Dramatyczne jego pisma później wydane ani siłą, ani przedmiotowością, ani wreszcie samą artystyczną dzielnością nie dorównywają już tym kilku mistrzowskim scenom, tworzącym dzieła tego akt trzeci. W ogóle jest to część utworu, którą pod względem artyzmu zdaniem mojém liczyć należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie literatura zawdzięcza Słowackiemu.

Koniec tomu pierwszego.

SPIS RZECZY

w tomie pierwszym zawartych.

Str.

Rozdział I.

Urodzenie poety — słów kilka o jego rodzicach — szkolne czasy — pierwsze objawy poetyckiego usposobienia. Pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość. Byronizm. Pierwszy krok w świat rzeczywisty — urzędowanie w Warszawie. Książę Lubecki, Dominik Lisiecki, Niemcewicz. Powstanie Listopadowe — pierwsze wystąpienie Juliusza jako poety. Wyjazd z kraju 1

Rozdział II.

Rok 1831 i pierwsza połowa 1832. Przybycie do Wrocławia, a stąd do Drezna. Odyniec — okolice drezdeńskie. Wyjazd do Londynu. Teatr londyński — Westminster - Niemcewicz. Przeniesienie się do Paryża — niekorzystny sąd o Francuzach — cmentarz Père-la-Chaise — teatra — Lelewel i inni Polacy przybywający na emigracyą. Poeta zamierza ogłosić zbiór swoich poezyi — wiadomość o próbach jego najpierwszych — trudności znalezienia nakładcy — romans w języku francuskim. Druk rozpoczęty — wiele obie-

Str.

cująca znajomość — panna Kora — owacye i nadzieje wielkiego powodzenia. Lafayette — X. Praniewicz — Skibicki. Dzieła wychodzą z pod prasy. Mickiewicz w Paryżu — pierwszy powód niesnasek pomiędzy nim a Słowackim — wspomnienie pewnego zdarzenia w Wilnie 45

Rozdział III.

Poezya polska przed rokiem 1830 — jéj stósunek do literatur zachodnich — jéj główne wewnętrzne znamię. Odrębność wyobrażeń Juliusza Słowackiego — niepopularność jego pierwszych publikacyi. Czas pracy nad każdym z utworów ogłoszonych w roku 1832. Uwagi o poemacie Hugo i o dramacie Mindowe — rozbiór Maryi Stuart 100

Rozdział IV.

Dalszy ciąg rzeczy zaczętéj w poprzedzającym rozdziale. Nieco o powieści poetyckiéj jako nowéj formie poezyi. Bielecki — Mnich — Arab — Żmija. Ogólny wniosek. Byronizm i jego ślady w poezyi polskiéj 156

Rozdział V.

Druga połowa roku 1832. Ukończenie poematu Lambro. Smutne doniesienia z domu. Nowe niesnaski z Mickiewiczem. Dziady. — Nagły wyjazd z Paryża. Pani Lenormand i podróż do Genewy 197

Rozdział VI.

Rok 1833. — Pensyonat na przedmieściu genewskiém i jego gospodynie. Tryb życia Słowackiego w Genewie. Nowe stósunki i znajomości. Wrażenie francuskiéj recenzyi jego Poezyi. Teatr genewski. — Wiadomość o zgonie Zienkowicza. — Lambro oddany do druku, przedmowa do

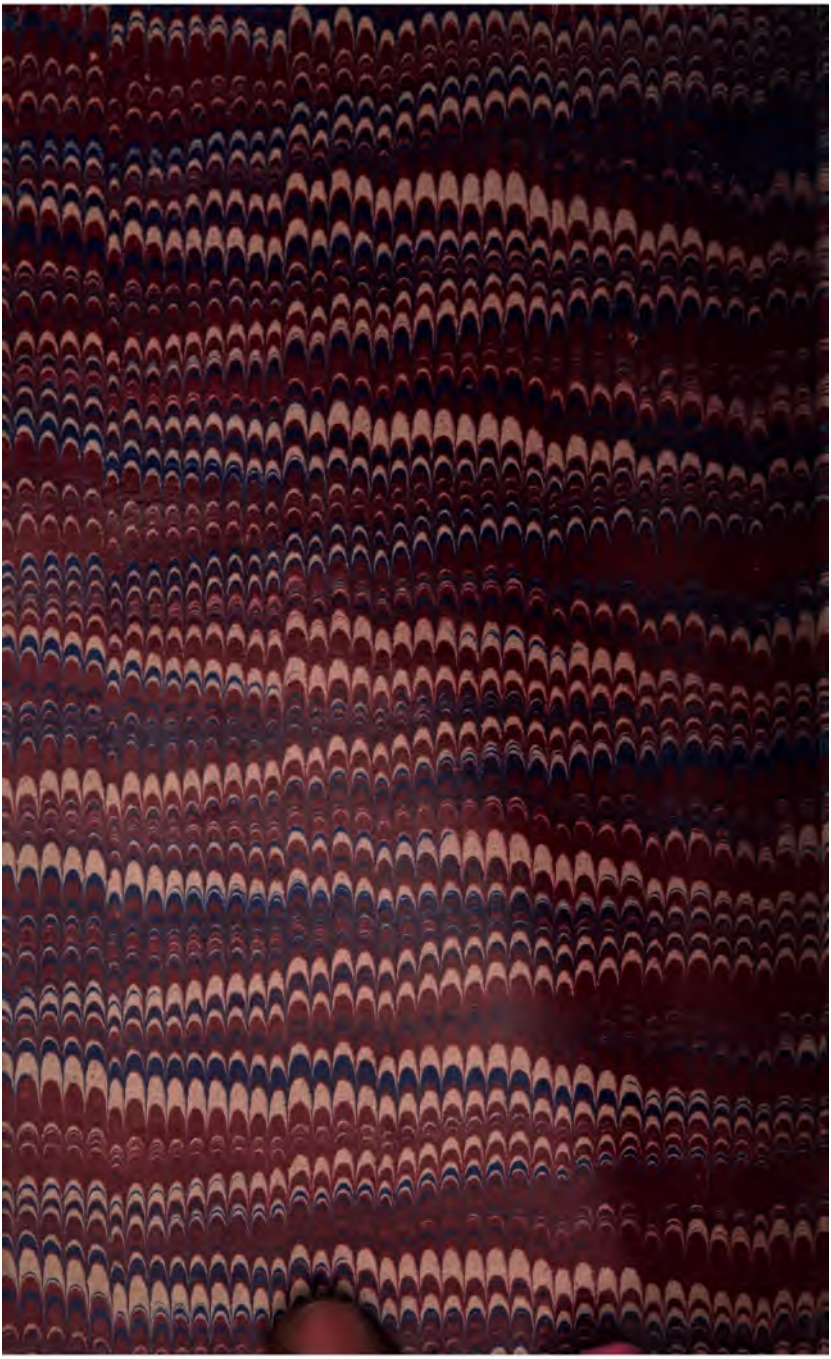

Stanford University Libraries
3 6105 015 056 810

PG
7158
.S62
M355
1881
v.1

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.